

MACIEJ R. WIERZBIŃSKI.

STACH WICHURA



POZNAŃ

KNIA Ś^W WOJCIECHA

20-14

III, L. 7, 30

5.

STACH WICHURA



"Osiemasty!" . . .

MĄCIEJ WIERZBIŃSKI

STACH WICHURA

POWIEŚĆ HISTORYCZNĄ
Z R. 1848

WINIETA OKŁADKOWA I 5 ILUSTRACYJ WEWNĘTRZNYCH
PROF. STAN. SAWICZEWSKIEGO

WYDANIE TRZECIE
TYSIĄC 9—13



NAKŁAD KSIĘGARNI ŚW. WOJCIECHA
POZNAN-WARSZAWA-WILNO-LUBLIN

Printed in Poland

ILUSTRACJE WYKONANO TECHNIKĄ ROTOGRAWURY
WE WŁASNYCH ZAKŁADACH
CZCIONKAMI Drukarni św. Wojciecha w Poznaniu

I.

O brzasku dnia 1 lutego 1848 roku Stach albo raczej pan Stanisław Wichura, przeszedłszy granicę, wkroczył w wyręb zaśnieżonego lasu sosnowego, wąskim pasmem bramującego kresy wielkopolskiej ziemi, i brodził w zaspach zamasyście.

Mrozu nie czuł, bo buciska miał wyborowe z wysokimi cholewkami, czamarkę lisiurą podszytą i pięknie barankiem krymskim wokoło szyi uwieńczoną, a na płowej czuprynie takąż czapkę lśniąca. Chociaż niepozornego wzrostu, niby krępy pniem dębowym z ziemi wyrosły i do niej przywarty, mógłby się być w tym stroju podać za dziedzica.

Brnął w skrzypiących pod stopami puchach, rozwałwał wierzchnie ich, ustępliwe warstwy, chwilami zapadał się po pas, nurzał w wełnistej topieli, gramolił, okracznie jakby żaba przerzucając krótką nogę przez garby i zadmy, nawiane nocą. Aż ciepło zrobiło mu się na grzbiecie.

Spostrzegłszy dębczak wyrosły, przystanął, odciął nożem gałąź osrebrzoną i sporzą-

dził sobie długi kij alpejski. Zaczem rozprężył się, powiódł okiem dookoła i odetchnął całą, potężną klatką piersiową, jakby olśniony zło-cistą roztoczą zórz, chciał nozdrzami zaczerp-nąć coś z tej jaśni zarannej, przedziwnie mło-dzieńczej, zapalającej w łonie cudowne blaski nadziei.

W istocie, prześliczny ranek wstąpił w szeregi drzew wysokopiennych, rozsiał wśród nich mirjady iskier figlarnych, rozlał się po jedwabistej taśmie śniegów, przed Stachem usłanych, różowo-świetlanym potokiem, prze-poił cichy świat drzew przeźrocami tak, iż zdało się, że w głębi zaroił się tłum widm szklistych, błędzących w korowodzie płochli-wym. Nad nikłą figurą wędrowca sterczały sosny, opancerzone łuską, jakby rylcem ze srebra cyzelowane, a wysokie jak maszty gi-gantyczne, górą przybrane w ogromne, ko-ronkowe wachlarze igliwne. Tu i owdzie tu-liły się do nich dęby i brzoźki, i gaiki paproci wynurzały się nieznacznie, śniegiem grubo osypane. Wszystko zamarło w najwyższym podziwieniu, struchlało w obliczu wiekuistego cu-du-słońca.

Wichura stał o kij wsparty i wodził okiem dookoła, jakby podróżnik, co nigdy nie oglą-dał polskiej zimy, i lekki uśmiech błędził pod furmańskim jego wąsem, gdyż objęła go rado-sna świadomość, że po dwuletniej, przymuso-

wej rozłace, wstępował znowu na rodzinną swoją ziemię.

A wstępował na nią z ogromnem przedsięwzięciem. Więc podniósł się w nim duch i jak ptak długo niewolony, rozwinął skrzydła — w dumnem postanowieniu, które wyrwało go z ciepłego zapiecka kaliskiego i pchnęło na karkołomną drogę powrotu.

Uprzytomnił sobie swe śluby, na dnie duszy, jakby krwią wypisane, i stał, już nie z uśmiechem syna, powracającego na łono matki, lecz z marsem żołnierza, zakutego w stal obowiązku.

U progu wielkiego okresu życia wędrowiec, pod strzechą bogobojnego chłopca zrodzony, pochylił głowę, jakby posłyszał skędyś dźwięczną sygnaturkę, niosącą po równi białej wezwanie na Anioł Pański, splótł dłonie i począł w skupieniu szeptać pacierz, na którego dnie drgało wszystkimi strunami serca i duszy najżarliwsze błaganie:

— Panie! Daj mi spełnić me zadanie!

Blask świetny, z serca królewskiego słońca wyjęty, może z pod stóp Tronu Pańskiego idący, otoczył korną jego postać aureolą, błogostawiając mu, bierzmując go mocą niezłomną.

Westchnął w cichem napięciu zestrojonych harmonijnie potęg duchowych i katedralny pokój pokrył granitem tajemnicze za-miary.

Ruszył dalej w zaspę.

Lecz na spowalniałem obliczu osiadła czarna chmura. Przyszło mu bowiem na myśl, że była to rocznica krwawej, wiekopomnej sceny w życiu Poznania, która wstrząsnęła całym społeczeństwem do posad i zapaść się musiała głęboko w zbierową duszę ziarnem bujnie kielkującym.

Rok temu, akurat w rano dnia 1 lutego, z więzienia poznańskiego, znajdującego się w starym trybunale przy ulicy Fryderykowskiej, więzienna skazańca w towarzystwie kapelana na wozie drabiniastym.

Na placu Działowym, pod jedną z topoli na zachodniej jego stronie, czekał szereg żołnierzy pruskich. Kapelan dotknął krzyżem bladego czoła i ust skazańca, zawlecił go na piersi jego, potem zbliżył się oprawca, aby chustką przyślonić mu oczy, lecz skazany szybkim ruchem uwolnił głowę i łysnął dumnie okiem na wymierzone w pierś swą karabiny.

Wśród ciszy grobowej tysiącznego tłumu, dopuszczonego z woli generała do krwawego widowiska i oskrzydłającego plac, zabrzmiała krótka komenda:

— Feuer!

Trzask, grzmot. Skazaniec padł twarzą na ziemię, legł białą plamą w krwi męczeńskiej.

Był nim Antoni Babiński, członek Towarzystwa Demokratycznego polskiego w Pary-

żu, który, przybywszy w Poznańskie, puścił się na wędrowkę po kraju, niosąc między ludzi słowo polskie. W karczmie, w Tarnowie, o kilka mil od Poznania, przydybany przez żandarma wiejskiego, Polaka, i przez niego zagrożony, zastrzelił go z pistoletu i pochwycony przez miejscowego rzeźnika, dostał się przed sąd wojenny.

Wichura nie był świadkiem egzekucji, lecz słyszał o wszystkim i brał w niej udział cichym smutkiem, pospołu z całą Wielkopolską. Opowiadano mu, że na zbroczonego trupa padły z jękiem i płaczem kobiety, maczały we krwi chusteczki, aby zachować relikwię na wzór pierwszych chrześcijan, unoszących pamiątki drogie po męczennikach.

W tydzień potem odbyło się w kościele św. Wojciecha uroczyste nabożeństwo za spokój duszy ofiary, urządzone przez komitet pań. Na kazalnicy kirem obitej, widniało imię i nazwisko rozstrzelanego. Przed ołtarzem klęczały półkolem dziewczęta w białych strojach, z jarzącymi w dłoniach świecami, a po nabożeństwie jedna z nich uniosła w górę krzyż, z piersi zabitego zdjęty i uwieńczony oleandrowemi liśćmi. Szlochanie wyrwało się z piersi wezbranych, zawtórzyło choralnym pieniom. Górą płynęła sopranem dziewczym „Pieśń Janusza“, przesycona gorzkimi łzami, podnosząc się z morza lamentów, których fala

chwilami cichła, zamierała i padała przed ołtarz apostoła i znów w rozprzegającym żalu rwała się z serc kawałami i grzmiała ogromną skargą -- echem idącą daleko, daleko.

Liście wieńca rozebrano na pamiątkę. Uroczystość ta wszakże inny jeszcze miała epilog.

Niebawem dziewczęta te prowadzono tłumnie pod strażą policji do sądów, albowiem z rozkazu naczelnego prezesa W. Księstwa Poznańskiego wytoczono sprawę osobom, biorącym udział w „demonstracji“. Pierwotnie pociągnięto do śledztwa zgórą sto osób, następnie ograniczono się do trzech pań komitetowych: Izabelli Kurnatowskiej, Tekli Dobrzańskiej i Rozalji Kierskiej, które skazano na kilkumiesięczne kary więzienne za „naigrawanie się z instytucji państwowych“.

Krwawy obraz egzekucji, wielokrotnie w duszy odtwarzany, stanął teraz przed oczyma Wichury, szarpnął nim i wpił się sępiemi pazurami w trzewia duszy. Toż nikt chyba nie rozumiał najistotniejszej treści tego aktu, nikt nie odczuwał go tak głęboko, jak on, co miał osobiste z Prusakami porachunki..

Dziwne, że właśnie w rocznicę śmierci Babińskiego wstępował na ziemię rodzinną, w epokę czynu. Lęk zabobonny przeszył go dreszczem, lecz utonął w bezmiarach młodej ufności i wiary w siebie, znikł jak sowa, która,

spłoszona, przepłynęła przed nim bez szelestu i przepadła gdzieś pod okiściami.

Pod lasem biegła do Strzałkowa dróżyna, dość wolna od śniegu, znacząca się śladami płoż sankowych. Nim Wichura wyszedł na nią, rozejrzał się niby lis z kryjówki, wychylający się ostrożnie i — strach uchwycił go za łeb.

Na tle śnieżnego krajobrazu jechał konno wzdłuż lasu żandarm!

Tam do diabła! Czyż wyczarował go ze wspomnień własnych i wskrzeszonych dziejów Babińskiego? Czyż zaraz na wstępie los fatalny miał obalić i wniwecz obrócić wypieszczone plany?

Stach czuł, że goreje na nim czapka. Nie wątpił, że żandarm zaczepi go, zaaresztuje. W rozpaczliwych opałach skamieniał na moment i otchłannem okiem zagapił się na zieloną postać jeźdźca, zbliżającego się dość szybko na doskonałym gniadoszu.

Snać dostrzegł on Wichurę, bo skoczył naprzód człapem, sięgając prawicą do pasa — może po pistolet. A Stach był bez broni.

Wtem w tuman skłębionych myśli uciekiniera padła myśl świetna, opatrnościowa.

W mgnieniu oka przypadł na kolano i wymierzył w żandarma — z laski swej przygodnej.

I raptem jeździec zdarł konia gwałtownie, zawrócił na zadzie i prysnął, ciężkiem cielskiem na kłęb koński ślaniając się nisko.

Oczom nie wierząc, Stach szedł osłupiałym wzrokiem za uciekającym. Potem obejrzał z wdzięcznością i uszanowaniem ów kij, co widocznie mógł uchodzić zdala za sztucer groźny. Nakoniec, gdy z żandarma została na horyzoncie zanikająca plamka, pomaszerował żywo miedzą w kierunku folwarczku, do śniegów przyczajonego. I chichotał w sobie, aż boki mu dygotały, świstał pod nosem.

Istny sowizdrzał wiejski!

II.

Na folwarku spało jeszcze wszystko. Gdy Wichura podszedł do strzechy, czubatą warstwą śniegów obciążonej, pies, gdzieś w stodołce zamknięty, zajazgotał i oznajmił przybycie wczesnego gościa. Ale Stach dwukrotnie musiał stukać do zapartych drzwi chaty, nim w okienku, przez mróz okwieconem i doniczkami zastawionem u dołu, mignęła twarz chłopska i wreszcie zaskrzypiały zawiasy.

Wynurzyło się na przyzbę leniwie suche, kościste chłopisko w ogromny kożuch zawinięte.

Zaspany, zpodełba zerknął na przybysza i na jego: „Niech będzie pochwalony!“... mruknął:

— Na wieki... Z czem to waść przychodzi tak rankiem na piechotkę?

— Budzę was ze snu, gospodarzu. Trudno. Przez granicę się przekradłem i do swoich zdążam. Niczego nie chcę, jeno, byście mnie ugościli trochę, a potem do Wrześni mnie zawieźli — za wynagrodzeniem. Ale najpierw skoczcie-no po drabinę!

— Poco drabina?

— Muszę popatrzeć, żali nie widać gdzie żandarma, któregom spłoszył jak zająca. Gotów namyślić się, wziąć na kiel i rzucić się w pogoń za mną, psiajucha.

Chłop, lubo niedaleki od nieufności, nie dał się prosić. Przyniósł drabinę, a Wichura, na dach ją położywszy, wspiał się na szczyt chaty i objął bezkresne rozłogi, wyiskrzone, uśmiechnięte.

Pustka zupełna leżała na okolicy.

— Pokazałem mu, gdzie raki zimują — bąknął Stach pod wąsem i, zniżając z drabiny, pytał:

— Czy nie zjeżdża on do was, gospodarzu? Nie ma w podejrzeniu jakim? Nie czyni wam wstrętów?

Gospodarz potrząsł głową zagadkowo i, nie dając na to odpowiedzi, spytał:

— A do kogo to do Wrześni?

— Ot, pojedę przez Wrześnię do Miłosławia na dzień, dwa, a potem do ojców — od-

parł i, niejako przedstawiając się, dodał: Choć strój na mnie pański, rodziłem się w takiej, jak wy chacie, i mam w niej matkę, po dziś dzień, dzięki Bogu, w dobrem zdrowiu żyjącą z ojcem. W Opoce pod Obornikami.

— Do Miłosławia?... — wyśpiewał gospodarz przeciągle, przyglądając się Stachowi, nietyle z ciekawością, którą mógł być wzbudzić chłop w pana przedzierzgnięty, ile z życzliwością, jaką żywił zgóry dla każdego, kto udawał się w progi pałacu hr. Seweryna Mielżyńskiego, otwartego naoscież dla emigrantów i wojaków.

— To pan jeden z tych... — wyszeptał z odcieniem uszanowania. — Takem zara sobie miarkował, ale zawdy ostrożność człękowi nie zawadzi.

Zaczem, przystąpiwszy do Staśka, ozwał się poufnie:

— Jesta u mnie w chacie jeden stary pan... Wiozłem go ze Strzałkowa onegdaj. W drodze zaniemógł i prosił, bym wzion go do siebie i trzymał, póki gorączka go nie minie. Rany mu się otworzyły... — dorzucił cichuteńko, jakby w obawie, aby mury nie posłyszały.

Weszli do chaty.

Z wnętrza izby o niskiej powale buchnęło gorąco jak z pieca i zapach jakby prażonych jabłek. Długą ścianę, miejscami z tynku odraśnaną i przez muchy upstrzoną, podpierały dwa

wysoko spiętrzone łózka, nad którymi grały wszystkimi radosnemi barwami jarmarczne obrazy Świętych Pańskich, ujęte w girlandy kwiatów papierowych. W ich towarzystwo zabłąkał się dostojny sztych Kościuszki uwieczniony warkoczem z kłosów.

Pod nim kłębiła się masa piernatów i poduch, z których wynurzały się kosmyki białych włosów i pełna, rozwichrzona broda. Dwoje szklistych źrenic strzeliło z pod krzaczystych brwi na przybysza z zaciekawieniem.

Stachowi zdało się, że widział już gdzieś tę pięknie rzeźbioną twarz, te oczy fosforycznie pałające, duże, zapadłe, wymowne. Odkrycie to zaskoczyło go tak silnie, że zrazu zapomniał języka, a starzec, w rannych godzinach wolny od gorączki wycedził miękkim tonem:

— Cóż to waszmość ani „dzień dobry“ nie mówi ludziom?

— Myślałem, że pan śpi — rzucił zawstydzony Stach i wymienił swe nazwisko.

— Waćpan niby włościańskiego stanu, a nosi się z pańska?...

— W chacie się rodziłem, ale edukację odebrałem klasyczną w poznańskim gimnazjum ad Sanctam Mariam Magdalenam.

— Pi! Pi!... — bąknął starzec. — Disce puer latine faciam te mościpanie. A jakże się to stało, mościpanie?

— Gospodarstwo ojca mego przylega do Węgierc pana Arsena Węgierskiego i stąd poszło, że z synem jego, Rafałem, bawiłem się jako chłopiec, harce i psie sprychy po ogrodzie wyprawiałem. Jakoś pokochaliśmy się od młodości z Rafałkiem, tak, że beze mnie do książki siadać nie chciał, więc zacny pan Węgierski nie tylko pospołu z synem kształcić mnie kazał we dworze, lecz i do szkół posłał. Zawdzięczam wiele jemu i ś. p. Karolowi Marcinkowskiemu, dobrodziejowi młodzieży, który, niestety, zmarł półtora roku temu.

— To pan posiada pono wielkie talenty?

— Nie, wcale nie, a zgoła nie mogłem nigdy równać się z Rafałem. Ale pan Węgierski mawiał, że moje towarzystwo dobrze na syna wpływa, gdyż ma on we mnie przykład spokojnej rozwagi, stateczności, oszczędności i pilności. Cnót tych łaskawość jego we mnie się dopatrzyła. Dość, że z Rafałem wygniataliśmy ławę szkolną. Miałem w nim i mam, rzecz mogę z dumą, najlepszego przyjaciela pod słońcem.

Umilkł, jakby chciał dać ochłonąć słuchaczowi z podziwu, jakim musiało to natchnąć w jego przekonaniu każdego dla młodego Węgierskiego.

— Castor i Pollux! — bąknął weteran i rzekł:



I raptem jeździec zdarł konia gwałtownie, zawrócił
na zadzie i prysnął . . .

Stach Wichura.

— Niegrzecznie, że tak pana biorę na przepytki, a sam nazwiska mego nie zdradziłem. Jestem Mikołaj Dobrzycki, żołnierz napoleoński i polski...

Westchnął głęboko. Objawiło mu się bodaj błyskawicą złotą coś z przebogatych, nieporównanych dziejów jego życia, przesunęła się barwna kanwa najromantyczniejszych wypadków, jakby z rycerskiego wysnutych romansu Waltera Scotta, i cichy cień wieczorowy spłynął po strunach zmęczonej duszy.

A Stach rozwarł oczy szeroko. Nazwisko to nie było mu wcale obce, bo któż nie słyszał o Mikołaju Dobrzyckim? Na tle jego życia snuto fantastyczne opowieści w wieczory zimowe, roztaczano obrazy heroiczne, które młodziży spać nie dawały. Dobrzycki stał się mityczną, legendarną postacią.

Jako młody, chwacki, porywający wszystkich oficer, odbył on kampanję hiszpańską i przy zdobyciu ostoji pod Saragossą tak się odznaczył, że nazwisko jego wzmiankowano zaszczytnie w raporcie dziennym. Lecz przy niefortunnej przeprawie przez wąwóz pod Monzonem, dostał się do niewoli. Uprowadzono go do Saragossy, skąd jako jeńca zesłano na wyspy Balearskie. Szereg lat spędził on na skale śródmorskiej Cabrera, aż wreszcie dostał się na pontonie do Szkocji. Odzyskał wolność dopiero w r. 1815.

Wróciwszy do ojczyzny, został urzędnikiem komisji wojewódzkiej w Kaliskiem, ale w roku 1821, wpłątany w sprawy spiskowe, dostał się w kajdany. Długie i srogie śledztwo wytrzymał w Warszawie, nareszcie, lubo cywilny, został przez sąd wojenny skazany na kilka lat robót między złoczyńcami, w ciężkie łańcuchy zakuty i z wygoloną w krzyż głową pracował motyką i oskardem nad murami Zamościa. Dopiero krótko przed Nocą listopadową został na wolność wypuszczony.

Wojnę r. 1831 odbył jako major. W czasie bojów pod Grochowem i Białolęką zarzucił zdradę Krukowieckiemu, który w uniesieniu wypalił doń z pistoletu. Wkrótce potem ranny w bitwie i pojmany, spędził lat kilka w więzieniu w Bobrujsku, lecz zbiegł i, przebrany raz za żebraka, raz za tandeciarza lub wędrownego muzykanta, dostał się w Poznańskie, gdzie ukrywał się długie lata pod przybranem nazwiskiem u krewnego swego tegoż nazwiska w Bąblinie pod Obornikami.

Sam rodem z tej parafji, Wichura dobrze wiedział, kim był ów przygarbiony starzec z siwą brodą patriarchy, którego jako młokos widywał w ławce kościoła. Wpatrywał się wówczas z czcią w rysy kościstego oblicza, w tę postać złamaną, od której jednak promieniowały jakieś blaski, w młodych duszach sięgające gwiazdy.

Tego starca, ranami okrytego, miał teraz przed sobą. Pochylił się ku niemu, zajrzał mu w żrenice, jakby chcąc wykraść tajemnicę męstwa i hartu, i zaczepił go, pragnąc, aby major zaczerpnął coś niecoś ze skarbcza wspomnień. Jednakże Dobrzycki, strawiony febrą, zbywał go krótko, ale sam niebawem zapytał ciekawie:

— Czemu to pan, u diabła, przekradałeś się przez kordon? Pozostały jakie rachunczki polityczne do uregulowania z tej strony słupów granicznych?

Zrazu wrodzona skrytość zamykała Wichurze usta. Sięgnął po garnek grzanego mleka, które gospodarz Karaś postawił dlań na stole, popił i padł na stół przy łożu wojaka, który przejmował go instynktownym szacunkiem, niby generał w orderzy zdobny prostego szeregowca. A po chwili począł swoją opowieść, ściśle z dziejami Wielkopolski związaną.

III.

„Narodowość wasza nie dozna szwanku“ — zapewnił król Fryderyk Wilhelm IV hrabiego Edwarda Raczyńskiego, po ceremonii koronacyjnej w Królewcu w r. 1840, zaskoczony przezeń śmiałą i świetną apostrofą, i tak za-
twierdził uroczyste słowo ojca swego, porę-

czające Wielkopolanom zupełne zachowanie i poszanowanie ich narodowości.

Orzeczenie to, poparte usunięciem znienawidzonego Flottwella ze stanowiska naczelnego prezesa W. Księstwa Poznańskiego, podniosło ducha, zwłaszcza, że język narodowy zajął w szkolnictwie ważniejsze miejsce, większa wolność druku przyczyniła się do ożywienia ruchu literackiego, w zakładaniu stowarzyszeń nie napotymano przeszkód, a zniesienie konwencji kartelowej między Prusami a Rosją otworzyło przystęp nad Wartę strumieniowi emigrantów z Kongresówki.

Duch polski z roku 1831 wcielił się w życie poznańskie, dźwignął moralnie Wielkopolskę, zgębioną przez otwartą i jednocześnie liśnią politykę germanizacyjną Flottwella. Zakwitło piśmiennictwo jak łąka na wiosnę, nauka przemówiła donośnym, pięknym głosem Libelta, Cieszkowskiego, życie kulturalne zawrzało, rozlało się szerokim potokiem, prąd oświatowy wciągał w kręgi uspołecznione zastępy bałamuconego dotąd przez urzędników ludu, towarzystwa gospodarcze i inne, a mianowicie towarzystwa, pod skromną nazwą „Towarzystw zabawy“ pracujące, zogniskowywały wszystkie warstwy we wspólnej pracy.

Pod względem politycznym, społeczeństwo poznańskie, jako organizm pełen bujnej żywotności, wrażliwe było na tendencje, na-

pływające z Zachodu i zróżniczkowane. Jednakże, odrzuciwszy odcienia, grupowało się w dwa wielkie, nietyle pojęciami zasadniczymi, ile temperamentem uwarunkowane stronnictwa: umiarkowane i egzaltowane. W ciasnych swych ramach przedstawiało ono mozaikę, zespoloną silnem poczuciem jedności narodowej, ideału wolnościowego i braterstwa, które nie było tam czczym dźwiękiem, lecz zrealizowanym wskazaniem podstawowem, było ciepłem, ogrzewającym podłoże pracy zbiorowej — pracy u podstaw.

Był to najświetniejszy okres porozbiorowych dziejów Wielkopolski, która stała się jedyną a godną przedstawicielką całego narodu.

Stosunek jej do Berlina wylał się w matni bez wyjścia. Obietnice korony raz jeszcze okazały się obiecankami, ustępstwa na rzecz polskości efemerycznymi błaskami. „Ojcow-ska troskliwość“ króla nie pozwalała mu na urzeczywistnienie królewskich zobowiązań. Duch krzyżacki przeciwstawiał się polskiemu.

A nagromadzone siły pulsowały w przyspieszonym tętnie, łyskały ogniem żywiołowym tak, iż nakoniec wielu nawet „umiarkowanych“ patriotów godziło się na to, iż warto w imię Boże, chociaż i bez nadziei, podnieść oręż oswobodzenia.

W roku 1845 przybył do Poznania Mierosławski, emisariusz demokratycznej centrali-

zacji wersalskiej, aby rozstrzygnąć ostatecznie kwestję, czy sprawa poznańska dojrzała do wybuchu.

„Już czas!“ — wołali radykaliści gromko, sądząc, że byle ogień podłożyć, nie tylko Wielkopolska, ale kraj cały zapali się, i podniesie się wielka, święta wojna. Zachowawcy zaś odpowiadali: „Jeszcze nie czas, pracujmy nad ludem!“ — „Jeśli powstanie uda się — mówili pierwsi w myśl demokracji emigracyjnej — okaże się ono jednocześnie rewolucją socjalną, zapewniającą niższym stanom wolność osobistą i równouprawnienie. Jeśli zaś nie, wszczepimy w miejsce pierwiastku szlachecko-wstęcznego ziarno demokracji, które samo rozwijać się będzie“. A zachowawcy, budujący przyszłość na spokojnej pracy organicznej, powiedzieli sobie wkońcu: „Jeśli zapalne, sercem wiedzione żywioły radykalne nie mają zawładnąć sterem spraw, zatracić busoli zdrowego rozsądku, popchnąć kraj w straszne oparzeliska, obowiązkiem naszym jest, przystosowując się do wytworzonej sytuacji aktualnej, poczynić pewne na ich rzecz ustępstwa i stanąć społem na jednej arenie“.

W dzień 21. lutego 1846 roku miała Wielkopolska chwycić za broń.

Rok przedtem wrócił do kraju młody Rafał Węgierski w towarzystwie emigrantów paryskich, szukających z upragnieniem okazji do

bitki. Pozostawiwszy lekkomyślnie swój majątek ziemski w Odolanowskim pod opieką kuzyna, a przeważnie na łasce Boskiej, Węgierski, chciwy wrażeń, bujał po świecie szerokim, jeździł śladami Byrona po Szwajcarii i Włoszech, aż wreszcie dostał się w wir spraw emigracyjnych.

Gdyby w Poznańskim rzeczy były toczyły się spokojnym biegiem, nie byłby z pewnością pomyślał jeszcze o powrocie, aczkolwiek wieś zaniedbana i zadłużona czekała oka pańskiego i nieraz nie było z czego zaspokoić potrzeb fantasty, goniącego wiatr po świecie.

W Poznaniu pan Rafał przystąpił natychmiast do związku, organizującego powstanie. Zastał w nim już swego Stacha Wichurę, który naonczas administrował samodzielnie kluczem dóbr pod Czarnkowem, w nadnoteckiej części kraju, już w roku 1772 do Prus wcielonej.

Piękny kawaler, europejskiego pokroju, o krwi błękitnej, u progu ruiny majątkowej stojący, i skromny hreczkosiej z pnia chłopskiego, w pierze obrastający — stanowili sprzeczność wzajemnie się dopełniającą. Różnice w położeniu, rozbieżność zakroju umysłowego, upodobań i obyczajów, co mogły dzielić ich przepaścią, miały dla nich właśnie nieprzepartry urok, cementowały ich związek w dzieciństwie zadzierzgnięty. Węgierski żywił jakąś niewyanalizowaną słabość dla zrównoważo-

nego, granitowego Staśka, który ze swej strony poprostu kochał się w wybujałości, fantazji i wykwincie szlachcica. Rafał uważał go za powiernika, oddanego brata i niekiedy w tarapatkach za bankiera, chłop zaś spóźniał nań z podziwem, jako na gwiazdę, której widok przejmował go niepojętą radością.

Obadwaj mieli wkrótce pójść w ogień ramię przy ramieniu, lecz okoliczności zrzuciły inaczej.

Dnia 12. lutego aresztowano Mierosławskiego. Wojsko, policja, żandarmi rzucili się do chwytania związkowych komisarzy powiatowych, do rewizji podejrzanych rządowi osób. Ogółem siedmset osób znalazło się w więzieniu.

Na liście „skompromitowanych“ figurowali i Rafał Węgierski i Stanisław Wichura.

Nic nie wiedząc o tem, co zaszło, Stach miał zasiąść do obiadu z siostrą, która prowadziła mu dom, gdy trzech żandarmów przyjechało przed dwór. Nie znaleźli u przezornego spiskowca nic, co mogłoby posłużyć za pozór do aresztowania kogokolwiek, jednakże zabrali go i powieźli do Czarnkowa.

„W mieście — opowiadał Wichura majorowi Dobrzyckiemu — zatrzymaliśmy się na rynku, przed budynkiem ratuszowym, obok sklepu korzennego i winiarni stojącym. Na widok aż trzech żandarmów i więźnia ludzie

poczęli się zbiegać i w kilka minut otoczyli nas tłumnie. Jeden z mych opiekunów udał się do swej władzy, a ja marzłem przy sankach pod strażą dwóch innych, gdy z winiarni wybiegli trzej obywatele okoliczni: panowie Emil i Ernest Swiniarscy i pan Paliszewski. Poczęli ścisnąć mi dłonie i wyrażać ubolewanie, że przed chwilą dopiero dowiedzieli się od pana Laskowskiego o aresztowaniach i nie mieli czasu dać mi znać o tem. Sami natychmiast wyjeżdżali do siebie, spodziewając się lada moment rewizji lub gorszych rzeczy.

„Ktoś z handelku wyniósł mi kielich węgryna. W zacieśniającem się coraz więcej kole ludzi, którzy, szepcąc, spozierali na mnie, podniosłem go i wypilem, zwracając się do tych obywateli w te słowa:

— W wasze ręce, panowie! Niech żyje Ta, co żyć będzie zawsze, chociażby nas tu wszystkich do ula wpakować mieli!

„Na wyjeźdnem nie omieszkałem poczęstować żandarmów gorzałką, aby ich usposobić pokojowo i uchronić się od szykan w drodze. Więc przeciwko węgrynowi nic nie mieli, ale przerazili się mych słów, w podnieceniu z brawurą wyrzeczonych.

„Powrócił z ratusza trzeci mój trabant i polecił im, aby zaprowadzili mnie do pobliskiej landratury.

„Sam pan Juncker von Ober-Conreuth zapragnął spojrzeć w oczy spiskowca! Przeczutowałem, że będzie to spotkanie pamiętne, gdyż landrat znany był jako człowiek wściekłą dyszący nienawiścią do wszystkiego, co polskie. W innym powiecie byłby z pewnością mizdrzył się układnie do ziemian naszych i jeździł do nich na polowania, ale w Czarnkowskim, czując za plecami falangę pruskich rolników, przy każdej sposobności zęby na nas wyszczerzał i, gdzie mógł, chwycił nas za łydkę.

„Nie kazał mnie wprowadzić do swego mieszkania, ani do kancelarji, lecz trzymał na podwórzu, w pobliżu stajni. Za mną wtargnęła tam część zbiegowiska; z bramy, dom przecinającej, wychylały się ku mnie głowy gapiów.

„Długo czekałem na łaskawe przybycie dygnitarza. Wreszcie wyszedł do mnie w towarzystwie obywatela ziemskiego, niejakiego Blumenfelda. Kroczył przez podwórze jakiś napęczniały godnością urzędniczą, i zmierzył mnie wzrokiem już z oddalenia niby gadzinę, zdeptania godną.

„Zanim ozwał się do mnie, przyskoczył doń kancelista. Odwrócili się, odeszli na bok z jakimś nieznanym mi mieszczuchem, który kładł coś panu landratowi w uszy.

„Nareszcie Juncker zbliżył się, rozczewieniony jak burak. Wściekłość buchała od niego, jakby okowita.

— Hoeren Sie, panie Wichura... — począł, gryząc słowa niby orzechy i kamienując mnie niemi. Wsiadł na mnie o to, że, lubo aresztant, ośmieliłem się na rynku wznosić jakiś toast. Zapytał żandarmów, czy to prawda, a gdy oni potwierdzili, rozżarty, oblał mnie nowym potokiem przytyków i obelżywych uwag.

„Krew we mnie się gotowała, ale, w spokój uzbrojony, ozwałem się z godnością:

— Zwracam uwagę, że przestępuje pan granice swych funkcji... Nie nato mnie aresztowano, aby landrat miał sposobność do wylewania na moją głowę pomyjów swej nienawiści rasowej. Niech pan robi, co do niego należy i... milczy! — palnąłem i, gdy coś bełkotać począł, dodałem jadowicie: „Przypominam panu niemieckie przysłowie: „Mowa — to srebro, milczenie — złoto!“ A pańskie mówienie nie jest zaiste ani srebrem. Śmierdzi stajnią...

„Zapienił się tak, iż zdawało się, że krew go zaleje. Nie mogąc znaleźć słów, wykrztusił zrazu tylko:

— Bezczelność! Bezczelność!

„Szwargotał bezładnie, grożąc, szubienicą mnie częstując, gdy towarzysz jego przyszedł mu w sukurs i, nie panując zgoła nad sobą, krzyknął na żandarmów, władzę nad nimi sobie uzurpując:

— Wiazać ramiona tego opryszka polskiego!

„Pachołki rozkaz spełnili.

„Sądziłem, że na tem się skończy, lecz gdy spojrzałem w twarz tego Prusaka... Błady, nie! trupio-siny, obłądny, zbliżył się tuż do mnie skrępowanego i...”

Tu głos utkwiał w krtani Stacha. Zabrakło mu oddechu, poczerwieniał i zbladł, jak wówczas zapewne, gdy dwóch „kulturalnych” Prusaków znęcało się i pastwiło nad związanym, strzeżonym więźniem stanu. Odsapnął i szarpiąc drżącymi palcami czuprynę zawzięcie, wykrztusił:

— Podeszedł do mnie i... wyciął mi policzek... Przytem syknął te słowa: „Ty przekłety chłopie polski! Ty szlachcica będziesz udawał?!... Teraz masz naukę, na jaką zasługujesz, ty, niewdzięczny chamie słowiański!...”

„Co się ze mną w tej chwili działo, nie zdołam opowiedzieć. Że nie udało mi się zerwać rzemieni, wydrzeć z ramion żandarmskich, to tylko przypisuję temu, że bezmierne wzburzenie źle oddziaływało na moje mięśnie. Jedno pamiętam: miałem uczucie, że coś zasadniczo zmieniło się w mem życiu i że największą na świecie rozkoszą jest... mordować...”

„Bez słowa stałem, zębami klekocąc, drżąc na ciele, jak w febrze. Wróciła przytomność

i począłem szukać w głowie obelgi. Lecz żądza nie wydała mi się dość silną, miażdżącą. Aż znalazłem i wyplułem ją, cisnąłem w twarz jego kamieniem ognistym:

— Preusse!...

„Doznałem pewnej ulgi i rzekłem:

— Znęcać się nad pojmanym, bezbronnym, skrupowanym, lżyć go i policzkować — tego nie potrafi żaden cham słowiański, jedynie tylko pruski kulturnik... Na ten policzek, Herr Preusse, odpowiem ci... przysięgą.

„Po chwili ciągnąłem w najwyższem skupieniu i z najwyższą powagą:

— Przysięgam na nasze stare kurhany słowiańskie i na krzyż Męki Pańskiej, przysięgam na miłość braci i na nieszczęście Ojczyzny, że za ten policzek wezmę sowitą zapłatę... Wezmę sto głów pruskich... jakem chłop polski, jakem Polak...”

Tu opowiadający przykrył twarz prawicą i dygotał w ogromnem wzruszeniu, a w źrenicach starego wojaka palił się jakiś ogień.

Poruszył się raptownie, chcąc dźwignąć schorzone członki, i szukał wychudzoną ręką chłopskiej dłoni Stacha, który, jakby zapominając o obecności jego i czytając w głębinie swej duszy, szeptał nawpół do siebie:

— Nie wiem, czy udawałem kiedy szlachcica. Pewnie nie, bo udawać jakoś nie umiem, ale zdaje mi się coś, jakbym od tej chwili...

istotnie był szlachcicem... Zapisałem sobie tę przysięgę głęboko, bardzo głęboko, i teraz wracam do kraju... po te sto głów pruskich — skończył bez tchu i zapadł się w siebie, zaciął.

Niby tchnienie wszechmocnego fatum, przysięga zawisała nad pochyloną jego głową, milczenie marmurowe zamknęło ich usta, i zapanował w izbie jakby chłód świątynny.

Ze źrenic majora padały na twarz Wichury, poważną a spokojną, promienie rycerskiego zachwyty. Świetne to były czasy, jeśli pod strzechą wieśniaczą rodziły się takie syny! Święta ta ziemia, jeśli „z tego, co to boli“, wyrastały na niej dęby heroizmu!

Przejęty do głębi wojak zagadnął namiętnie:

— A czy zanosi się tu na wojaczkę, sądzicie?

Uwisł oczyma na wargach Stacha, jakby błagając o potwierdzenie. A Wichura odrzekł w zadumie:

— Kto wie, kto wie, co będzie... Niby to cisza zalega kraj, przygnębienie tłoczy piersi, starszyzna w Moabie, oczy na Berlin zwrócone, ale czy te lata Flottwellowskie, czy krew Babińskiego i wyroki moabickie w zapomnieniu?... Myśl o powstaniu usnęła może, ale unosi się w powietrzu, żyje. Tak myślę.

— Rok już temu, jak wyjechałem od krewnych z pod Obornik do Kongresówki, bo ciągnęło mnie tam do przyjaciół. Niewiele wiem o tem, co zaszło w tym czasie. Ale... jakże się to stało, że pan, zaaresztowany, nie utkwiał pod kluczem, lecz przebywał za kordonem?

— Dzięki Rafałowi. Nie skończyłem jeszcze swej historii.

— Słucham!

— Otóż, po tem, co powiedziałem, landrat kazał niezwłocznie założyć mi na ręce kajdanki, wsadzić mnie na sanki i wieźć do Bydgoszczy pod strażą tych dwóch żandarmów.

„Pędziliśmy gościńcem bitym przez Lubasz, Dębę. Jeden żandarm zajął miejsce obok woźnicy, drugi obok mnie. Obadwaj byli w pałasze i pistolety uzbrojeni.

„Wjechaliśmy w lasy nadnoteckie. Zaspy piętrzyły się tam miejscami wysoko i trzeba było bieg zwolnić. Z oddali nadbiegł brzęk dzwonek, zrazu nikły, potem coraz dźwięczniejszy, jakiś weselny. Odgadywało się, że jadą na nas paradne sanki.

„Nadbiegły. Spojrzałem i — serce skoczyło mi w piersi. Rafał!!

„Na mój widok krzyknął:

— Stachu! Tam do diabła!

„Zrozumiał, co zaszło. Sanki jego stanęły.

„Jadąc do mnie z wyborową bronią, jaką mieliśmy posługiwać się w powstaniu wstąpił

na popas do pewnego znajomego obywatela i tam spadła na niego wiadomość o aresztowaniach. Z nią pędził w Czarnkowskie.

„Teraz zawrócił i pognał za nami. Moi dozorcy nie wiedzieli, co by to znaczyło, ale jednak tchórz ich obleciał i nuże w konie, gdy nagle strzał huknął, kula świsnęła nad naszymi głowami. Buch — z drugiego sztucera, buch — z pistoletu.

„Żandarmi zeskakują z sanek, strzelają, lecz jakby naoślep. A gdy Rafał raz jeszcze wypalił im pod nogi, smyknęli w las. Jeszcze plecy ich zielone nie znikły w gęstwinie, a już siedziałem w sankach Rafała.

„Popędziliśmy z fantazją kawalerską. Raz i drugi padły za nami strzały, ale, przyczajeni, wtuleni głowami między siedzenia, gwizdaliśmy sobie pod nosem, tyły żandarmom pokazując. Tyla nas było.

„Uściskaliśmy się. Rafał namawiał mnie, abym, jak stoję, dał drapaka do Kongresówki. Jeśli nie u nas, to gdzie indziej ochotnik mógł być przydatny. On sam miał zamiar uciekać w me tropy, ale dopiero po 24-tym lutego. Wpierw chciał zobaczyć... pannę, w której kochał się po uszy. Mieli spotkać się na imieninach hrabiego Macieja Mielżyńskiego w Chobienicach.

„Odradzałem mu gorąco, gwałtem z sobą pociągnąć usiłowałem, ale daremnie. Obraz

panny silniej przemawiał od mych prośb i racji. I tak... w trzy dni później, gdy już byłem po tamtej stronie granicy, Rafał siedział pod kłuczem...

„Należy on do grupy tych więźniów mobickich, których wyrokiem z dnia 2. grudnia zeszłego roku skazano na 8 lat...”

„Wieść o tem doszła mnie dopiero przed Bożem Narodzeniem. Chciałem jechać natychmiast. Nie dało się jednak... Teraz nareszcie...”

Zamilkł, wypił resztę mleka, powstał i zapatrzył się przez szybę na śnieg, ospale padający płatkami.

— Rozumiem teraz — ozwał się major — dlaczego to pan nie wracał prostą drogą. Po Strzałkowie włóczy się niemało różnych ludzi. Lecz czemu wogóle odważył się pan włożyć Prusakom pod oczy?

Po chwili wahania Wichura bąknął w zadumie:

— Nie mogę tak zostawić Rafała...

Więcej nie było można z niego wydobyć.

IV.

Przed obiadem weszła do izby gospodyni Karasiowa i zabrała się do drewnianej skrzyni o brzuchatem wieku, pomalowanej w różnobarwne kwiaty. Wydobyła z niej obrus albo

raczej sztukę płótna własnego wyrobu, na cześć gościa w tak okazałej czamarcie.

W skrzyni tej Stach spostrzegł plikę druków i książek i, zaintrygowany, poprosił o nie. Okazało się, że była to biblioteka Bartłomieja Karasia, na którą składał się: „Złoty Ołtarzyk“, „Wieczory pod lipą“, „Opowiadanie gospodarza Jędrzeja, jak to dawniej była Polska“, broszura o uprawie roli, kilka numerów „Orędownika“ poznańskiego i „Przyjaciela Ludu“, wreszcie cały rocznik emigracyjnego „Słowa Bożego“, uznawanego przez lud wielkopolski prawie za słowo wprost z niebios płynące. Widocznie Karaś, kmieć światły, czytywał pilnie tę ewangelję narodową, gdyż kartki pisemka mocno były na brzegach otłuszczone.

Przeglądając te bibuły, Wichura czytał:

„Ludu polski! Bracia mili! Jesteście siłą. Wiedźcie więc, co to jest siła. Siła polska nie jest ani jedna klasa, ani jeden stan, ani pewna część Polaków, ale cały naród polski“.

Nawiązując do tego, „Słowo Boże“ wzywało cały naród do miłości nieszczęsnej ojczyzny i do poświęcenia.

Niejedno z tych zdań, przeznaczonych dla prostaczych umysłów, należało w mniemaniu Stacha raz po raz odczytywać wszystkim Polakom, bo dobrze powtarzać sobie prawidła zdrowego rozsądku, jak pacierz.

Na innem miejscu, przeciwdziałając robotcie urzędników, waśni siejących, pouczało „Słowo Boże“:

„Szlachta złożyła już drukowane dowody, że na wieki wyrzeka się ucisku i poddaństwa waszego i powraca wam wolność waszą i oddaje wam ziemię na bezwarunkową własność waszą. Te swoje postanowienia przysięgła i przypieczętowała krwią własną“ i t. d.

Skoro zjawił się gospodarz, Wichura zaczął go natychmiast:

— Czy to sami czytujecie te druki?

— A sam! — odrzucił chętnie chłopak. — Nauczyłem się czytać na książkach dwa roky temu z pomocą pana nauczyciela ze Strzałkowa. Zaczny człowiek; oświeca ludzi i do książek napędza, kiejby pies trzodę. Za darmochę. Nie wzion ode mnie za tę naukę więcej nad dwie kopy jaj.

— A skąd to wam przyszło do głowy, by uczyć się czytać?

— Bez to więzienie...

— Jakie?

— A-no pan nie wie? Bez to więzienie w 46-tym. Było to kole świętego Walentego, jak mnie wzieni z chałupy. Wszyściuchne więzienia powiatowe i forteca poznańska napchane były aresztantami. Nie było prawie wioski ni zakątka, gdzieby ludzie z komisji śledczej nie byli czegoś szukali. Wszędzie słu-

żebnych za język ciągnęli, pod śledztwo brali. Kilka tysięcy ludu poszło pod sąd, a w tem chłopstwa coniemiarą.

Najpierw posłano Karasia do cytadeli poznańskiej i zamknięto w lochu czterdzieści stóp pod ziemią. Była to baszta do obrony wałów fortecznych przeznaczona, z jednym małym otworem, jakby szczeliną rozszczepioną, przez którą podczas oblężenia strzelcy mogli razić nieprzyjaciela ogniem karabinowym. Zimno panowało tam dokuczliwe; ściany bowiem ociekały wilgocią, okienko, otwór przysłaniające, nie zamykało się i śnieg przez nie padał na tapczany uwięzionych. Kilka grubych desek stanowiło podłogę i od spodu przeto wkładał się chłód tak, iż ręce i nogi kostniały.

Ogromne te lochy przedzielone były na dwie części przepierzeniem, zakończonem górą sztachetami, przez które z palącego się w korytarzu pieca żelaznego miało przechodzić ciepło. Lecz miasto ogrzewać, ogień rozsiewał tylko swąd.

„Bez ten płocik — opowiadał chłop — to my sobie pięknie z sąsiadami gwarzyli. Byli tam różni panowie, prawie same oficery: pan Białoskórski, co, powiadali, bił się w 31-szym roku, był inny, młody i strasznie mocny pan Guttry, i pan Kościelski Władysław, oficer z pruskiego wojska, i pan Trzeciński z Kujaw,

pan Malczewski z Pałuk. Nie pomnę, jak się wszyscy zwali. Rozmowy jednak wnetki się skończyły, bo posłali mnie do Głogowy. Ale i tam było i panów i młokosów bez liku. Po-uciekało to ze szkół i do broni się brało. We-sole to było, aż czasem za boki się brałem. Gdy przyszło iść przed sędziego, oni pisali na karteczkach, jak zeznawać, a wszyscy rozpo-wiadali nam o Polsce i uczyli, co to ojczyzna.

„Byli wśród chłopstwa i chałupnicy, co żo-nę i dzieci bez groszyczka ostawili doma, ale zawdy znaleźli się tacy państwo, co im pomo-gli. Za to niech im Bóg zapłaci.

„Gdy mnie puścili, to już całkiem insze miałem rozpoznanie i zara do książek się za-brałem, by dowiedzieć się, jak to dawniej w Polsce bywało, co na świecie słyhać. A pa-ni jedna przywiozła mi też i taką książkę, gdzie wszystko o uprawie roli napisane.

„Woła mnie do siebie komisarz na naukę, niby ksiądz. Prawi, że winienem rządowi wdzięczność, iż mnie uwolnił do domu. A ja pytam się go, za co to mieli mnie trzymać w więzieniu, kiedym nic nie zawinił zgoła. Ko-misarz na to, że i na przyszłość nie mam wda-wać się z panami, bo to nieprzyjacioły ludu. Oni to, powiada, w roku 1823, gdy król pruski chłopów uwłaszczył, okrutnie przeciw temu powstawali, bo chcieli chłopu wieczyście gniesć i za bydełko mieć. Strzeż się, powiada,

i mówi: „jedyne twój przyjaciel — to król pruski“.

„Śmiech mnie nijaki brał. Wiele my się chłopcy o tym przyjacielu i tych nieprzyjaciółach dawniej już nasłuchali.

— Czemu się to śmiejecie? — wrzasnął komisarz, a ja mu na to:

— Bo to nieprawda!

— Co?! — krzyczy komisarz. — Nieprawda? Kto was uwłaszczył? Szlachta czy król pruski?

— A-no — odpowiadam — król, ale wprzód panów się pytał i radził i, gdyby nie byli chcieli, to królby nic dla nas nie był zrobił.

„Obruszył się i krzyczy:

— Nie wiecie to, że szlachta ciągle u króla na was nastaje?

— Niech-no pan komisarz — mówię — teraz już nam chłopom więcej takich kłamstw nie prawi. Wiemy, jak jest. Z panami to jest tak: różni są, jak różni są chłopcy: źli i dobrzy, ale wszyscy z jednakowej krwi, wszyscy Polacy, wszyscy bracia. Jak co do czego przyjdzie, zawsze lepszy swój od obcego, choćby przyjaciela, bo ten, niby to przyjaciel, na swoją stronę pokryjomu ciągnie. Naostatku wydaje się, że on jeno sobie był przyjaciel. I to wiemy, że póki świat światem, nie będzie Niemiec Polakowi bratem!

„Okrutniście komisarz się rozżarł, że to my niewdzięczne bestje dobrodziejstw króla nie uznajemy, a ja mu jeszcze tak:

— Już my dość dobrodziejstw pruskich mamy. Kością w gardle nam stanęły. Nie dobrodziejstw chcemy, jeno tego, co się należy. Aby król na Miemców nas nie kierował i woli Boskiej się nie sprzeciwiał.

„Wypomniałem jeszcze, jak to polskie kościoły rząd zabierał i na niemieckie obracał, a komisarz język w gębie zapomniawszy, już nic, tylko przykazuje, abym cicho siedział.

„No, siedzę cicho, alem zara kupił „Wieczory pod lipą“. Tak to ono więzienie paskudne na dobre mi wyszło“.

Słuchając, Stach radował się, że w ciągu dwóch lat oświata ludu tak olbrzymie zrobiła postępy. Przedtem niechętny chłop wielkopolski zdał się teraz wcielonym do narodu.

— A gdyby tak przyszło do wojaczki, poszlibyście, gospodarzu, na Prusaka?

Karaś potrząsł głową.

— Poszedłbym i poszliby inni — mruknął i zaciętość odmalowała się na suchej jego masce.

Pan Mikołaj przyglądał się tym dwom chłopom i dziwował się niepomrotnie, a serce mu rośło, jak zawsze, ile razy odkrył gdziekolwiek ducha wojennego.

Tymczasem Stach zasępił się. Żał go zdjął, że tyle nagromadzonego zapалу nie miało nigdzie ujścia. Potrzebował wprowadzić sam ludzi na wszystko gotowych, ale innego kalibru.

W celu zwerbowania ich, chciał wstąpić do Miłosławia, zajrzeć w to siedlisko emigrantów, pochopnych do wszelkiej, nawet awanturycznej akcji. Jednakże ociągał się z odjazdem przez wzgląd na starego majora. Nie można było go tak zostawiać bez opieki lekarskiej, bez pieczy rąk kobiecych.

Zrazu Dobrzycki nie zgodził się na wyjazd do Miłosławia.

— Skoro doktory poczną pukać, stukać — mówił — a kobiety wkoło mnie tańczyć, litować się, zawodzić, mastyki i plastry znosić — babieję. Mdleje moja dusza żołnierska, sam nad sobą gotówbym łyzy ronić, księdza wołać i na księżą oborę spoglądać. Umiem ja radzić sam sobie. Gorączka taka, to u mnie nie pierwszyczna; chwyciła mnie kiedyś w Bobrujsku. Bywało już gorzej, wiele gorzej...

Wszelako, tęskniąc za towarzystwem, dał się namówić i przyrzekł, że jeśli nazajutrz rany nie poczną się zablizniać, pojedzie z Wichurą do siedziby zacnego Seweryna Mielżyńskiego.

Jeszcze wieczór nie zapadł, a cisza senliwa rozlała się w gorącej atmosferze izby i przykryła ich niby pierzyną. Major przy-

mknął powieki i spoczywał w półśnie, a Stach, zdrożony, wyciągnął się na drugim łóżku:

Ale nie zasnął zaraz. Wspomnienia, wydobyte z najgłębszych tajni duszy, osnuły go obłokiem, niby rój pszczoł, wypuszczonych z ula, brzęczały wkoło uszu grając na strunach serca bojowymi dźwiękami.

Z mroku jakby więziennego wyjrzała doń twarz Rafała, znękana i smutna, z niemym wyrzutem. „Idę“... zaszemrała w nim spiętrzona wysoko fala uczuć, zaczęło objęło go lubem tchnieniem wspomnienie świeże i wonne.

Wspomnienie panny Anieli.

W dom jej rodziców dostał się dwa lata temu. Nieznany, pozbawiony stosunków uciekinier w majątku ziemskim Żerkowiczów w Kaliskiem znalazł nie tylko wygodną przystań, lecz i pracę, cel życiowy, a nadto wdzięczne serce. Pan Żerkowicz, sparaliżowany i do fotelu przykuty, nie mógł gospodarować, więc doskonały rolnik okazał się opatrznosciowym gościem, który, z początku wyręczając dziedzica, wnet począł go zastępować całkowicie. I to z takim skutkiem, że Żerków w rok przeobraził się znakomicie i interesy rodziny, chylące się ku upadkowi, ukształtowały się zadowalająco.

Zabiegów Stacha i gorliwej jego pracy świadkiem niemal nieodstępnym była Aniela Żerkowiczówna, nie piękna, lecz czerstwa, mi-

ła dziewczyna, która, strapienia i kłopoty domu na swe słabe biorąc barki, przed przybyciem Wichury kołatała się w zakłętym kole spraw i zajęć, przerastających jej siły. Ona zatem najlepiej oceniała zasługi, przez Stacha położone. Śledząc jego kroki, ucząc się odeń, zbliżyła się do tego wyedukowanego chłopca wielkopolskiego jak do nauczyciela i dobrodzieja.

Nadszedł czas, gdy odczuła, że byłoby dobrze, gdyby mogła iść tak przez życie przy boku owego gościa, którego łaskawa Opatrzność sprowadziła pod ich dach. Byłoby to więcej niż dobrze. Pod ich rękami wyrastałyby kłosa dobytku i kwitły białe kwiaty pokoji i cichego szczęścia w zakątku.

Gdy Wichura, wieścią o skazaniu przyjaciela w pierś ugodzony, zerwał się niby z letargu i począł gotować do odjazdu, z oczu panny Anieli łzy ukradkiem płynęły potokiem. Usiłowała różnemi sposobami odwlec chwilę jego wyjazdu, łudząc się, że wogóle zaniecha zamiaru. Gdy zaś dłużej zatrzymać się go nie dało, przemogła się i ośmieliła zdradzić mu coś z uczuć swych i marzeń.

Byli sami w staroświeckim saloniku, jakby patyną powleczone, wśród ciżby mahoniowych mebli i kotar spłowiałych.

On zdawał sobie sprawę, że przykro będzie wyrywać się z tego domu, gdzie wszyscy

otaczali go niekłamana sympatją, i żal oczu chabrowych, które chodziły za nim wiernie po gospodarstwie, jak psy przywiązane. Rozumiał, że stał się dla niej czemś więcej, niż towarzyszem, a ona dla niego więcej, niż przyjaciółką, lecz palił się przed nim, niby pochodnia, cel tak wielki i dumny, że, zapatrzony w niego jako w gwiazdę przewodnią, nie dostrzegał wokoło siebie niczego i nie chciał się krępować niczem.

Słowa panny Anieli były sowitą nagrodą za wszystko, co uczynił dla dobra Żerkowa, ale i przykrością, bo nie chciał pozostawiać po sobie łoż. Podziękował jej za wszystko, jak umiał i rzekł:

— Pani nie wie, że mam przedewszystkiem do spłacenia dług względem przyjaciela, a następnie do odebrania od Prusaków to, co mi się od nich należy. Przysiągłem i nie mógłbym ani łączyć się węzłem z panią, ani żyć i patrzeć ludziom w oczy, gdybym zapomniał...

— Nigdy pan o tem nie mówił — szepnęła dziewczyna.

— Ale nie zapomniałem o tem nigdy... Niegodnym byłby pani człowiek, co niegodzien imienia Polaka.

Ucałował gorąco jej ręce, popatrzył długo w jej źrenice, łzami zachodzące, bolesne — i odjechał.

Przeszłość zapadła w otchłań niepamięci, rozpoczynał nowy tom życia, ale teraz głęboka cisza wieczorna przyniosła mu oddźwięk jej istoty kobiecej i zdało mu się, jakby świetlny ton jej osobowości słał się na czoło jego, zapewniając:

— Moje serce przy tobie...

Usnął, spowity w tęczę świadomości, że na czerwoną, krwawą drogę idzie za nim tęskny, ciepły prąd kobiecego serca.

Noc była głęboka, gdy zbudził go głos i szmer.

Zapaliwszy szybko lampkę, ujrzał pana Mikołaja, siedzącego na łóżku, z roztarganemi włosami, z gorączką, zionącą z oczu obłąkanych.

Starzec nie widział go, nie poznawał. Ciśkając tu i owdzie martwe, sztyletowe spojrzenia, przytulał drżące, wychudłe dłonie raz do prawego boku, do golenia, raz do szyi, do czaszki, aż przywarł je obie do obojczyka nad sercem, mruczając, bełkocąc:

— Najwięcej boli... Polska kula... Parzy... Są różne: hiszpańska, angielska... ale ta jedna żre. Kulka pistoletu, mała bestyjka, ale ostra. Kulka pamiętna... Krukowieckiego... Carramba! — zgrzytnął, zaklął po hiszpańsku z zacięciem dawnego junaka, na wspomnienie sceny pod Grochowem. Fragment gorzkiego chichotu wydarł się z warg spalonych, niby daleki krzyk

ptaka w odlocie, i starzec zastygł w osłupieniu głuchem, jakby w zadumie nad gwałtownym swym czynem.

Zgarbiony, wpół złamany, w białej koszuli, nieco oplamionej na prawym boku cięczą krwistą, w długiej płachcie zgrzebnej, z której wystawały kościotrupie, pergaminowe, jakieś sękaty nogi — z twarzą patriarchy, śnieżną koroną włosów bujnych otoczoną, sędziwy żołnierz przedstawiał obraz, przejmujący Wichurę bezmierną religijną żalością, grozą i czcią.

Ot, na co przyszło temu wielkiemu wojakowi, co chadzał borem i lasem z pieśnią legjonów na ustach, zdobywał pozycje i wawrzyny pod świetnemi sztandarami, pod orłem złotym i białym, cudów męstwa dokazując? Wypił do dna przeogromny puchar niedoli żołnierskiej. Idąc z hukiem morza w wody, na skale śródmorskiej ronił łzy tęsknoty, gnił w robaczywych podziemiach, pchał taczki niewolnicze, aby lec jak żebrak na barłogu w chacie chłopskiej, opuszczony, samotny. O dolo żołnierska! O dolo polska! O niedolo!...

Coś z wichrów jesiennych, coś z lamentów duszy zbiorowej drżało na strunach serca Wichury, a starzec szeptał łzawo w malignie:

— Szumi, szumi... od wieków i przez wieki szumieć tak będzie. Wiecznym twój szum

i wiecznym ból. Tyś powstało z łez i jęków ludzkich...

Wyciągając przed siebie ręce, jakby odepchnąć chciał nacierające fale morskie, ciągnął:

— Biegną, biegną na mnie tysiącem rumaków o grzywach białych, wałą we mnie, jak w skałę, bryzgają mi w twarz. To mój wróg; to los... który zawsze rąbie, a nigdy nie unosi mnie na miękkiej fali, jak delfiny Orfeusza. Nigdy... Wyje, aby przygłuszyć wycie serca mego. Przekłęte, obojętne morze, przeklęty mój los...

Zapadł w głuszę, potem począł dyszeć wgniecioną klatką piersiową, niby odrabiając ciężką pracę miecha kowalskiego.

Stach, zbliżywszy się doń boso, usłwał go na posłaniu, nakrył, dał mu dawkę chininy i siadł przy nim. Bezsilny starzec poddawał się wszystkiemu posłusznie, w milczeniu, aż rozwarł oczy, pałające ogniem ogników błędnych, i wpatrzył się w niego.

— Ktoś ty jest? — bąknął bezprzytomnie.

Wreszcie zaświtało w czarnej chmurze myśli skłębionych. Rozpoznając bodaj Stacha, ujął go za rękę i począł mówić chrapliwie:

— Wiesz ty, czemu ja wracam na tę ziemię?... Ile razy wiosna nadchodzi, dziwne dreszcze idą przeze mnie smugami, rwie się coś we mnie, gra, śpiewa chwilami... Echa

młodości tej dalekiej, tych cudnych marzeń i snów żołnierskich, pragnień tytanicznych. I wtedy czuję przyrodę, jej życie i z nią społem sięgam w przyszłość. Ale nigdy jeszcze prądy te mistyczne nie targały mnie tak, nie pędziły, jak teraz. Nigdy przeczucia, pragnienia nie kołatały mi się tak w piersi... Śnieg leży na polach, ale ja ci mówię, młodzieńcze chrobry, że to nie zima, lecz — wiosna...

— Wiosna idzie... Gromadzą się w powietrzu (ja czuję) siły wulkaniczne, wybuchowe. Nastaną trzęsienia ziemi, pioruny uderzą w szczyty, trysną z posad ognie nieznane, zapalą się, roztoczą pożogą...

— Wiosna idzie... Słysząc tajemnicze pomruki w Paryżu, w Wiedniu, w Peszcie... Gdybyś był tak jak ja stary i ucho przyłożył do ziemi, usłyszałbyś dziwy... A ten chłop? Ten Karaś?...

Oblał skupioną twarz Staśka gwiazdzistym spojrzeniem. Zdało się, że rysy oblicza jego stężały, wyrzeźbiły się i wyszlachetniały jeszcze więcej pod wewnętrznym naporem rozpierających uczuć. Biła odeń aureola blasków, jak od natchnionego Wernyhory; stara i chora powłoka cielesna stała się urną rozświetloną, przesączoną przez jaśnię, stała się naczyniem duszy w ekstazie proroczej, spotężniałej, i jej olśniewającym wyrazem.

Oplatając Wichurę ramionami, niby pień drzewa, starzec szeptał sam jeszcze na ucho szeptem, co zdał się iść po murach mrocznych katakumb i niósł ton zaziemski:

— Wiesz, czemu ja wracam na tę ziemię?.. Bo tutaj bije teraz serce Polski całej... Do tego serca, jak do źródła życiodajnego wlokę się — wieczny tułacz, poszukujący wolności.. Wlokę strupieszale cielsko, ranami okryte, aby posłyszć tętno tego serca i przekonać się, że ono żyje...

Odetchnął i jeszcze szept przeczuciem radosnem drżący spadł z ust płonących:

— Wiosna idzie... Wiosna ludu, wiosna ludów!...

V.

„Nie mogę tak zostawić Rafała“... powtórzał sobie Stach w duszy stokrotnie i myślał o gorąco umiłowanym przyjacielu, który ślezczał w berlińskim więzieniu, skazany na ośmioletnią kaźń, kierowała teraz jego krokami.

Nie popasając długo w Poznańskiem, puścił się do Berlina i tam pospołu z kilku Węgierskiego przyjaciółmi, gotowymi do bitki i awanturniczej imprezy, ukuł plan wyzwolenia go z moabickich murów. Akcja przedstawiała mu się dość łatwo. Byle zachować zimną krew!

Ot, przyjdzie z młodym majorem Kirkorem do rozmównicy więziennej, z czapką i pistoletem w kieszeni, oraz z płaszczem owiniętym wokoło bioder. Skoro dozorca przyprowadzi Rafała z celi i zniknie i skoro pozostaną we troje pod okiem asystującego przy rozmowach urzędnika, Kirkor na dany znak pochwyci tego jegomościa za ramiona, a Stach zatka mu usta chustką w mgnieniu oka. Ubezładnia go, zwiążą rzemykami, porzucą, zaczem wszyscy trzej wyjdą jak najspokojniej. Rafał w czapce i w pelerynie uchodzić będzie za gościa, za interesenta z miasta. Przez bramę więzienną tylu przechodziło ludzi, że odźwierny nie mógł chyba zapamiętać ani ich liczby ani fizjognomij. Gdyby jednak zaczepił ich kto w kurytarzu lub na dziedzińcu, Stach rozprawi się z nim, jak każą okoliczności. W danym razie — pistoletem.

U bramy więzienia moabickiego snuć się będzie kilku uzbrojonych rodaków, którzy pośpieszą z pomocą w razie, gdyby odźwierny wbrew przewidywaniom nie chciał wypuścić Rafała na ulicę, i umożliwią mu ucieczkę nie cofając się przed niczem. A potem? Rączy konie uniosą Rafała natychmiast w kierunku Poznania.

Już Stach ze swym nieustraszonym spółnikiem, p. Kirkorem gotowali się do wykonania tego planu, gdy zakochana w Węgierskim

panna Krysia Pinińska — potajemnie z nim zaręczona — położyła swe veto z obawy o ukochanego. Oporu jej nie było można przełamać, zwłaszcza, że wytaczała rozumne przyczyny i uzasadnione nadzieje, sądząc iż wogóle wyroki nie zostaną wykonane i Bóg miłościwy wywiedzie wszystkich więźniów polskich na wolność.

Były to bowiem czasy burzliwe, w których wszystkiego było można oczekiwać. Berlin, zwykle spokojny, senliwy, nie był podobny do siebie. Nurtowała i wrzała w jego łonie — rewolucja.

Ideje wolnościowe i prądy przewrotowe z Paryża, Wiednia i Budapesztu, które były widownią republikańskich zakusów i przeobrażeń państwowych, wtargnęły nawet w zbiorową duszę uśpionego i pod butem Hohenzollernów spodłonego Berlina. Przypomniawszy sobie o przyrzeczeniach poprzedniego monarchy, począł domagać się udziału w rządach, mówić głośno o powołaniu do życia parlamentu, a nadto o połączeniu Prus z Niemcami w jeden organizm państwowy.

Do fermentu przyczyniała się bieda. Wiele fabryk zamknęło bramy, a z Saksonji Hamburga, Bremy, Wajmaru, wielu innych miast i stron niemieckich szły wiadomości, że zerwano tam więzy, krępujące prasę, i pod naporem ogółu zaprowadzono reformy w duchu

konstytucyjnym. We Francji zaś, przodującej ruchowi demokratycznemu, rząd prowizoryczny wprowadził w życie wszystkie na rzecz proletariatu poczynione przyrzeczenia.

Więc i Berlin poszedł za hasłem czasów. Za murami miejskimi, w „Zeltach“, szalasowych traktjerniach odbywały się tłumne zebrania polityczne. Tam powzięto myśl wysłania petycji do tronu, tam odczytano ją, i tam „środkami ostrożności“ czyli patrolami rozgoryczony tłum podawał sobie z ust do ust wieści o wojowniczych zamiarach rządu, o gromkich, prochem dymiących odezwach księcia Wilhelma do wojska.

Dwa stany: mieszczański i robotniczy, spólnem związane niezadowoleniem i nieufnością do słabego rządu Fryderyka Wilhelma IV, wykoleiły się z torów codziennego bytowania i zajęły stanowisko wyzywające, niejako wołając: Swobód obywatelskich! Wolności! Chleba!

Na wracające z „Zeltów“ tłumy natarły w alei Pod Lipami patrole konne i zaświeciły pierwsze kałuże krwi.

Nazajutrz, pamiętnego dnia 18 marca pojawiły się wprawdzie na murach stolicy plakaty z ramienia magistratu, uspokajającego wzburzone umysły obietnicami, lecz gdy tłumy zebrały się przy pałacu królewskim, zaszło „nieporozumienie“, padły strzały od straży zamko-

wej i — bunt podniósł się, poszedł przez miasto z szybkością szalonego pożaru po stepie.

Tu i owdzie pojawiły się na ulicach barykady, walka zawrzała niemal we wszystkich dzielnicach, i zdało się, że rewolucja bierze górę, dyktuje monarsze prawa, stawia mu alternatywę: uzbrojenie mas albo abdykacja.

Zatrząsł się tron Hohenzollernów i zbladło oblicze króla tak, iż ukorzył się przed rewolucją.

Korzystając z chwili Polacy wystosowali do tronu petycję, domagającą się uwolnienia polskich więźniów moabickich. A że okowy urzędnicze pękły i Berlin był pod władzą zwycięskiego ludu, więc kto z Polaków miał w więzieniu ojca, brata lub krewnego, spieszył do Moabitu w nadziei, że wśród ogólnego rozprężenia otworzą się cele więzienne. W ślad za nimi zaś pędziła wieść o amnestji.

Tymczasem w celach moabickich kipiało radosne oczekiwanie. Zgórz dwustu pięćdziesięciu więźniów ze wszystkich stanów, których trzymano pod kluczem od r. 46, rwało się do wolności. Bez przeszkody ze strony dozorców, błakających się z rzadkimi minami zmokłych psów, komunikowali się oni między sobą swobodnie, łowiąc uchem odgłosy ulicy, gdy nagle wtargnął zastęp rodaków i berlińczyków z okrzykami: Niech żyje wolność!

W celach i krużgankach powstał rozgardzaj jarmarczny czy weselny, nastało święto. Rafał Węgierski, napóły przytomny, nie wiedział jak dostał się w ramiona Stacha Wichury.

— Stachu! Stachu! — wołał rozradowany i chciał coś mówić, lecz wśród zgiełkowej ciżby, posuwającej się ku wyjściu, na wymianę słów nie była pora.

Na dziedzińcu więziennym snuło się mnóstwo skazańców zmieszanych z tysiącem najprzeróżniejszych przyjaciół. Lud berliński, upojony swobodą, zgotował tam owację oswobodzonym Polakom, bo śniło mu się w tej chwili coś o braterstwie ludów. Raz wraz wzbijały się okrzyki: „hoch!“ — głównie na cześć bohaterów chwili: Ludwika Mierosławskiego i Karola Libelta. Na tle zdruzgotanych wrót, wyłamanych krat i pustych ścian święcono wiośniane, złudne święto braterstwa, a jako symbol wolności powiewała nad tłumem chorągiew polska.

I począł się triumfalny pochód do miasta. Mierosławskiego i Libelta wsadzono w otwarty pojazd, za ich głowami widniał biało-amarantowy sztandar, a obok Mierosławskiego sterczała trójbarwna chorągiew niemiecka. „Pan Ludwik“ wczoraj na śmierć skazany — dzisiaj wyrósł na bożyszcze zwycięskiego ludu berlińskiego niby na pomnikową postać

dziejową. Świetna mowa, jaką wygłosił przed sądem w swej obronie i obronie praw ludów, wzbudziła ogólny zachwyt i zjednała mu serce Berlina.

Przed uniwersytetem, Pod Lipami powitali Polaków studenci pod bronią i straż obywatelska, pełniąca służbę odwachową. Zaprezentowali broń, a nieprzebrane zastępy widzów uhonorowały rycerzy wolności niebosiężnym okrzykiem, który pobiegł do zamku i zadzwonił w szyby królewskiej komnaty.

Krew urodzonego mówcy i trybuna zagrała w żyłach Mierosławskiego. Stanął na wysokości chwili. Pewny siebie i świetny poczuciem swej wielkości, aczkolwiek mówił w języku francuskim, mocą dynamiczną nerwowego napięcia zasugerował masy potokiem swych myśli, jakby z atmosfery Berlina wyjętych, każdym na głowy ciśniętym zdaniem niby iskrą wywołując burzę owacyjną.

Z wspaniałym Dantona gestem ramienia wyrzucił w przestwory:

— Citoyens!... W imieniu wolnościowego narodu polskiego dank niosę, pokój i przyjaźń narodowi niemieckiemu... Polska bandera będzie od tego czasu zgodnie powiewała obok niemieckiej...

Potrząsł wysoko chorągwią niemiecką, wzniosł ramię ku niebiosom bohaterskim Talmy gestem, niby pomazaniec, duchem obojga

narodów namaszczoney, składający w ich zastępstwie u stóp tronu Najwyższego przysięgę wiekuistą.

I stał tak chwilę, do rycerza krzyżowego podobny, w niebo zapatrzony, natchniony — jasnowłosy, z blond brodą — jakby poeta.

Opuścił ramię — przycichły okrzyki, spokój powiał na tłumy zefirem, i wzrok żrenic wszystkich padł na twarz przejasną.

Mówił znowu, wplatając subtelnie nić politycznych dążeń:

— Czy pragniecie wdzięczności niewolników?... Nie, bynajmniej! Chcecie przeto wolnej Polski... Polski, która byłaby tak wielką jak wdzięczność nasza... A zatem chcecie koniecznie niepodległości W. Ks. Poznańskiego!... Niepodległości, która — jak przecież sami czujecie — tylko pod opieką Prus ustalić się może...

Niepodległość — „indépendance du Grand Duché de Posen“! Zrozumiał to niejeden ze stojących w pobliżu studentów i obywateli i przytakiwał ruchem głowy. A Mierosławski, kując żelazo póki gorące, dorzucił jeszcze imperatorskim tonem:

— Powiedzcie mi bez przymusu i jedno-myślnie, czy przystajecie na naszą niepodległość pod opieką rządu waszego?...

Wyczuł lud znak zapytania i, w tym momencie bratniej miłości gotów wszystko podpisać, odpowiedział potężnym okrzykiem zgo-

dy, któremu zawtórzył gromki chór polskich głosów.

Staął pakt Polaków z ludem berlińskim...

Zaprzysięgli go ze szczerem wylaniem serc, przepojonych wdzięcznością, Polacy i zaprzysięgli Niemcy w podniesieniu, w triumfie swym wznosząc się narazie do wspaniałości potentatów. Na łeb na szyję cisnęli się do pojazdu, do oswobodzonych synów Polski ludzie wszystkich stanów, brali ich w ramiona, ściskali jako przyszłych towarzyszków, broni, jako awangardę przeciwko ogólnemu nieprzyjacielowi — zagrażającej potędze Rosji.

Wokoło Mierosławskiego i Libelta utworzył się na powozie gęsty pierścień ludzi; studenci i obywatele w obcisłych surdutach, wysokich kapeluszach wieszali się u resorów. Otyłe Niemkinie w dość krótkich, rozwiewnych sukniach, w aksamitnych pelerynkach lub szalach z frendzlami znaczyły się dużemi kapotkami, niby budkami, osłaniającemi czoła daszkiem. Chłopaki, ciekawe, coby to wszystko oznaczało, wciskały się w natłok, snuły w nim jak psiaki, tak, iż towarzysze więzienni i znajomi z trudnością tylko mogli przedostać się do powozu, na którym Niemiec jakiś prawił Libeltowi o oburzeniu berlińczyków na wyrok, a kilku młokosów ściskało dłonie obu bohaterów.

Świetne wróżby, życzenia odnoszące się do Polski, spadały, jak kwiaty na wóz triumfalny.

W zapale powszechnego entuzjazmu Polki wyciągały ręce do wybawicieli, winszowały im zwycięstwa i pełne zachwyty w obliczu szerokiego rozlewu uczuć szlachetnych i wiary w jasne jutro kraju, rozsiewały uśmiechy szczęścia. A Krysia, drżąc ze wzruszenia, szukała oczyma Libelta, jakby chcąc wołać doń:

— Spełnia się twoje słowo, mistrzu! Zło ustępuje przed dobrem, ciemność przed światłem... Lud, który sprawował rolę kata i oprawcy, przejrzał, nawrócił się i otóż zmierzamy ku przyszłej, międzynarodowej unji wszystkich narodowości, zbliżamy się do królestwa niebieskiego na ziemi...

Tymczasem na dziedzińcu uniwersyteckim uformował się oddział straży obywatelskiej, który wystąpiwszy na czoło pochodu, ruszył przed pobliski zamek królewski. Potoczył się za nim powóz, ruszyła cała nieprzebrana chmura dwóch żywiołów zmieszanych w bratnim zespole.

Całą przestrzeń placu Schlossfreiheit zalały fale ludzkie. Niby barka triumfalna chwiały się wśród tego morza rozkosznie pojazd z dwiema chorągwiami i zbliżył się pod okna pałacowe, gdzie Libelt, wzniosłszy się ponad gło-

wy, zabrał głos i przemówił po niemiecku z wymową stalowych przekonań, polskiego serca i wzniosłych ideałów.

Burza oklasków przeszła nad zbiorowiskiem i raz jeszcze głosy poczęły szturmować do królewskiej komnaty.

Wołano o króla, aby powitał tych, których więził wczoraj, aby złożył hołd publiczny narodowi, który piersią swą wykarmił Prusy.

Fryderyk Wilhelm upadał w ostatnich czasach pod gradem petycji, pod naporem deputacji, pod huraganem wypadków. Stargany wewnętrzną rozterką, przerażony łośkotem wstrząśniętego tronu, chwiał się, oscylował między wygórowanemi pojęciami absolutystycznymi, między średniowiecznym feudalizmem a wulkaniczną erupcją prądów nowoczesnych i kategorycznym imperatywem chwili.

Odwracał się istotą swoją od podpisanych przez siebie aktów, a przecież serce jego, tkliwe na małą metę, tandetnie czułościowe, krwa-
wiło się na widok trupów, wołało o kres walki. Dramatyczne przejścia dni ostatnich, w których korona Hohenzollernów staczała się z bezradnej głowy, w których pił kielich sromotnego upokorzenia z rąk motłochu, rozdarły go, rozstroiły nerwowo tak, iż drżąc za lada okrzykiem ludu niby przed wizją szafotu paryskiego, szedł posłusznie na jego wołanie —

wymodelowany szybko na manekina bez woli, na lalkę strojną i igraszkę tłuszczy.

Więc i teraz wystąpił na balkon — tym razem wszakże z niekłamaną swobodą, gdyż nastrój tłumów był niepodzielnie radosny.

Zmienił się obraz przed zamkiem. Nie był to już żałobny a groźny orszak, wiozący poległych na barykadach i jakby jakiś wyrok straszny na króla, lecz pochód rozmarzonych, rozkołysanych idealistów młodych.

Nareszcie Fryderyk Wilhelm odetchnął, przynajmniej na chwilę, i uśmiechnął się — nie do Polaków, nie do zuchwałego motłochu berlińskiego, lecz do pogody tego świątecznego momentu i — do siebie.

Uśmiechnął się, winszując sobie takiej zmiany dekoracji, jakby do weneckich zapustników zgrai i pozdrowił karnawałujące „dzieci“, zdejmując trzykrotnie czapkę wojskową.

Uniosło się tysiące ramion, kapeluszy i czapek rogatych, wykrzyki w dwóch językach zagrzmiały triumfalną fanfarę, zadzwoniły o okna, owiały dostojną sylwetę monarchy, który, wsparty o poręcz balkonu stał w towarzystwie trzech figur ministerjalnych wyprostowany, w obcisłym fraku granatowym z złożonym kołnierzem i świecącymi guzami i — czuł się znowu królem.

Był królem, zrodziło się w nim bowiem przecucie, że skoro lud ten wyszumi i wyła-

duże zapasy energii, da się ukołysać i powieść na pasku, niby lew do klatki, w jarzmo woli królewskiej, obwarowanej bagnetem.

Zamek i lud złożyli się na obraz historyczny, który, skąpany w promieniach słonecznych, ubarwiony wpośrodku dwiema chorągwiami zbratanemi po raz pierwszy i — ostatni, zdał się fantazją rozwiewną, nieprawdopodobną w dziejach.

Gdy tłumy ucichły, rozległ się z balkonu głos ministra Schwerina, który, poczytując demonstrację tę li tylko za owację na cześć króla, nie omieszkiał dorzucić do słów podzięk:

— Jego królewska mość ufa, że Polacy, przekonawszy się, jak Prusy obchodzą się z więźniami politycznymi, przyłączą się do Prus i domu królewskiego...

Odpowiedział chór gromkich zapewnień ze strony Polaków. Oszołomieni bowiem upojnem powietrzem radości i świętem braterstwa, byli oni skłonni poczytywać w tym momencie amnestję, pod naciskiem konieczności udzieloną, za akt wspaniałomyślności i wielkoduszności Prus, w której świetle zgasła pamięć czarnej przeszłości i rodziła się rękojmia na przyszłość. Wierząc w narodziny nowego ducha niemieckiego, brali wszystkie życzenia, któremi napełniano im uszy, za fakty już niemal spełnione i z trybuny wolnej Wielkopolski wyciągali dłoń dziękczynną do demokracji berliń-

skiej — do nowych Prus. W rozgardjaszu karnewałowym ściskali wybawców, zapewniając ich, że odtąd Polska i Prusy złączą się we wspólnej obronie przeciw mocom Wschodu: Rosji.

Jednakże niejeden z tych Polaków, co pochwycili słowa ministra, zastanowił się.

— Do Prus będziemy musieli się przyłączyć, ale nie do Rzeszy niemieckiej — rzekł jeden z nich.

Stach tułał się wśród fal i grzmotów entuzjazmu z rękoma w kieszeni, z miną napół błędną, napół uśmiechniętą. Radował się wolnością ziomków i widokiem swego przyjaciela, pił z kielicha ich szczęścia, ale nie pojmował, co się wokoło niego dzieje, nie brał tych wszystkich wiwatów biesiadnych za dobrą monetę. Nieufność chłopska i głębokie odczucie duszy pruskiej trzymało na wodzy niezapalnego zresztą, trzeźwego człowieka. Gapił się na króla, na ministrów zupełnie tak, jak małomieszczanin na nigdy niewidziane zwierzęta wędrownego cyrku, lecz ani razu nie wystrzelił okrzykiem.

Wreszcie czmychał chyłkiem do domu, syt pięknego szału.

Szedł wyludnionemi ulicami, ścigany jeszcze dalekiemi okrzykami. A gdy spoczął w cieniu swych ścian, począł rozmyślać swym chłopskim mózgiem, co nie chwycił w lot no-

wych hasel i odznaczał się leniwą percepcją, coby to było owo wspaniałe okrzykiwane, oślepiające braterstwo ludów.

W zadumie potrząsł łbem i mruknął:

— Jeśli nadchodzi braterstwo ludów, to nie przez Berlin, nie przez Prusy...

VI.

Jeszcze słońce stało wysoko. Dzień był piękny, prawdziwie wiosenny, skowronki śpiewały, wody mokradeł polśniewały i blaski szły ponad zoranemi równinami podpoznańskimi.

Na szerokim trakcie, przecinającym podmiejską wieś Górczyn, zadudnił, zaczernił się sznur powózek najróżniejszych, bryczek, karjolek, koczobryków, landar i z pobrzękiem uprzęży, z parskaniem koni wtoczyło się to między dwa szeregi gumien gospodarczych, rosochatemi kępami rozsiadłych nad drogą, między białe czoła schludnych domków i aleję służbistych topoli nagich.

Snadź oczekiwano tam nadjeżdżających, gdyż chłopstwo miejscowe i okoliczne wyległo z babami i dzieciarnią na żwirówkę, wystawało tam z zastępami mieszczan poznańskich i śmiało się wszelakimi odmianami barw radosnych. Migotały tam różowe pończochy, chwiały wokoło bioder kobiet jasne spódniczki na grubej podściółce mnogich kiecek i wató-

wek, na głowach ich piętrzyły się odświętne, piramidalne kokoszniki, niby tiary z kwiatów sztucznych splecione i złocistemi upstrzone błyskotkami.

Wszystek lud bamberski, który ongi przywędrował z Bawarii, osiadł na tej ziemi i przywiązał się do niej serdecznie, witał uroczyście, niby najprzewielebniejszego księdza arcybiskupa, powróconych ojczyźnie moabitezyków okrzykami, pieśniami i chorągwiami polskimi. Byli między nim tacy, co także zaznali kaźni berlińskiej: Jan i Maciej Palacze i oni pierwsi rzucili się ku podwodom, aby uścisnąć dłoń towarzyszków chlubnej niewoli.

Wzbiły się wiwaty w powietrze, leciały wzdłuż posuwających się podwód. Chłopi przypadali bliżej, aby popatrzeć w oblicza bohaterów chwili, z poza ich pleców dziewczyny nieśmiało ciskały kokardy biało-czerwone, piskiem wtórzac chorałowi triumfalnemu. A poznaniacy, czując, iż nareszcie wolno być sobą, folgowali wezbranym uczuciom.

— Witajcie!... Niech żyje Polska!...

Już była Polska — w mniemaniu ludu. Kokarda miała w jego oczach więcej niż symboliczne znaczenie. Król pruski musiał oddać Polakom ojczyznę.

Zaprawdę nikt z podróżnych nie przypuszczał, że losy zgotują mu powrót pod tak szczęśliwą gwiazdą.

Wszędzie po drodze witano ich jako zwia-
stunów słonecznej ery i jak gwiazda unosiła
się nad nimi świadomość, że pękły kleszcze
teutońskiej przemocy i otwarły się wrota do
innego, pełnego życia. Więc lubo zdrożeni no-
cną jazdą kolejową do Głogowy, a następnie
długim turkotem kół po gościńcu, zdążali roz-
promienieni w mury starego grodu Przemy-
sława, trawieni ciekawością, co tam zaszło
w ostatnich dniach.

Rozglądając się za jaką znajomą twarzą,
Rafał podróżujący z Wichurą, Kirkorem i mło-
dym obywatelem ziemskim, moabitzkyiem,
Bach-Lewińskim, spostrzegł Józefa Czapskie-
go, skinął nań ręką, wciągnął go na wózek
i ściskając, wołał:

— Gadaj na miłość boską, co się dzieje
w Poznaniu!

Zaledwie Czapski załapał tchu, począł:

— Wielkie rzeczy! Trudno opowiedzieć,
cośmy przeżyli za chwile kilka dni temu, gdy
wpadła do Poznania jak bomba wieść o rewol-
ucji, gdy przybył kurjer i obwieścił zwycię-
stwo berlińczyków. W okamgnieniu Poznań
przeobraził się, ujawnił całą swą polską fizjo-
nomję. Ludzie powybiegali na ulice z pol-
skimi kokardami lub szarfami, Polki rzucały
je z okien przechodniom, przypinano je nawet
Niemcom na piersi. Sam na własne oczy wi-
działem generała Colomba z taką kokardą.



Libelt i Mierosławski wypuszczeni z Moabitu.

Stach Wichura.

— Co? Colomba? Żartujesz chyba! — wpadł Rafał, uszom własnym nie wierząc.

— Tak jest. Nie przeszkodziło mu to wszakże obsaczyć wojskiem Bazar, gdzie obradował nasz komitet. Ba! wyprowadzono nawet działa. Nadprezydent Beuermann, który doprawdy wolałby knajpować, aniżeli w takie włazić opał, nic nie miał przeciwko wyjazdowi deputacji do króla, ale wnet próbował intrygować przeciwko komitetowi, spełniającemu dzisiaj rolę d'une assemblée générale. Być może, że to natchnęło Colomba do tego, iż nazajutrz proklamował na nowo stan oblężenia, istniejący u nas de jure od lat dwóch, i usiłował maskować zupełną bezradność władz przez okupację gmachów rządowych oraz Bazaru. Podobno u wrót Bazaru stawiał żołdactwu czoło odźwierny Chyżewski, rzekomko pijany, jak głoszą Niemcy, i strzelcy nadziali go na bagnety...

— Pierwsza ofiara przyjaźni pruskiej... — mruknął do siebie Stach.

Próbowano nakłonić komitet, obradujący w domu Mielżyńskich do rozwiązania, lecz wszystkie takie zakusy padły w proch na wieść o waszem wyzwoleniu, o sympatjach polskich Berlina, jakie rozgłosiła odezwa Libelta. Władze pruskie uczuły się pobite na głowę; ogłaszając zniesienie stanu oblężenia, ujawniły zarazem swe bankructwo. Wczoraj

wycofano wojsko z miasta na forty, utworzyła się pierwsza gwardja obywatelska, utrzymująca wzorowy porządek. Zapanował komitet; żandarmerja oddała się mu na usługi. Zakrólowali Polacy!

— Wiwat! — huknął Lewiński.

— Otóż macie pierwszą odezwę komitetu — dorzucił Czapski, wydobywając z zanadru papier, który Rafał począł odczytywać na głos:

„Polacy i bracia!

Wybiła godzina i dla nas; zjednoczenie Niemiec już ogłoszono, król zezwolił na dobrowolne przyłączenie każdej części swego państwa do konfederacji germańskiej. My, Polacy, mając być narodowy odrębny, nie możemy zezwolić na podobne wcielenie się, bez pogrzebania naszych pamiątek narodowych i bez zdradzenia naszej ojczyzny, zroszonej krwią naszych dziadów. Dziś, gdy sprawiedliwość bierze górę...”

W tym momencie przerwały mu salwy okrzyków gromady, u rogatki miejskiej zgromadzonej, w której sterczało kilku jeźdźców w krakuskach.

Nie było już mowy o niczem, gdyż od tego czasu porwał procesję w ramiona entuzjazm Poznania, niósł ją jak na fali wspaniałej przez dzielnicę Świętomarcińską, przez plac Wilhelmowski do Bazaru, w chorągwie polskiej.

i festony przybranego, gdzie z okien padały kordy, grzmiały wiwaty.

Przez pobliskie aleje kasztanowe biegli ludzie i nieprzebrany, skłębionym tłumem opłatali orszak, owiany nieustanną fanfarą głosów, aż wszystko to wtłoczyło się węzem w ulicę Nową, spadającą na Stary Rynek. Wśród murów przesmyku tego rozległ się, krew zapalając w żyłach nutą triumfalną, mazurek Dąbrowskiego...

Lecz Stach wyskoczył na bruk, w przekonaniu, że w pochodzie owacyjnym tych, co cierpieli za ojczyznę, niema dlań jeszcze miejsca, i pomknął naoslep pod kasztanami ku popielatym murom Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego, gdzie natknął się na zbitą tłuszcę waleń zapierającą całą aleję, a przeważnie z Niemców i żydów złożoną. Wtargnąwszy w nią, pytał na prawo i lewo, coby to znaczyło.

— Niemcy obradują nad odpowiedzią... — odparł pewien mieszczanin, wskazując na kilku mężczyzn, kręcących się po stopniach „landszafty“.

— Jaką odpowiedzią?

— Na odezwę polskiego komitetu do Niemców. Będzie zgoda i.. Polska — rzekł ślusarz radośnie, gdy wtem zabrzmiał głos młodego Niemca:

— Polacy! Chętnie przyjmujemy bratnią dłoń waszą...

Pospołu ze zgromadzeniem Stach zasłuchał się uważnie w słowa asesora Crousatza. Niekiedy przerywał mówcy oklask nieśmiały, jeden, drugi, podniecając innych do aplauzu, który nie buchał z żywiołowym zapalem, lecz rozlegał się o mury krótkiem bicza chlaśnięciem, przelatując nad głowami nawałnicy momentowem uderzeniem i padał omdlały.

— Przedwczesny wasz zapal niech nie sprawi, aby oręże bratnie skrzyżować się miały, aby w obronie własności swej obywatel był zmuszony dobywać miecza... Dajcie dowód swych uczuć przyjaznych, nosząc nasze barwy narodowe obok swoich, a my waszym pójdziemy śladem...

Dopiero to zawezwanie do noszenia barw niemieckich żywe wywołało uznanie, które zmanifestowało się entuzjastycznie na widok wymownego referendarjusza sądowego, Emila Brachvogla, wstępującego na przygodną mównicę.

Zabrzmiały z ust jego na chwilę srebrne dźwięki szyllerowskiej lutni, rozległy się słowa niemieckie, jakich Poznań nie słyszał nigdy i stała się jaśń, przysłaniająca przeszłość i przyszłość.

— Polacy! I dla was wreszcie nastał dzień wolności! Dzień odkupienia owej wielkiej zbrodni w historii, jaką popełniono na was! Otóż koniec waszych długotrwałych nie-

szczęść!... Otóż początek zmartwychwstania....

Jednakże niebawem grymas sardoniczny wystąpił na twarz Stacha, bo i z ust tego mówcy padło zdanie, wskazujące na zasadniczy rozdźwięk między obu obozami.

— Odrzućcie wszelką połowiczność — wołał Brachvogel. — Stańcie się wolnymi niemieckimi obywatelami i naszymi braćmi w obrębie ojczyzny...

Zaprawdę, Wielkopoleanie pragnęli stać się wolnymi obywatelami, ale nie niemieckimi, i w obrębie innej, swej własnej ojczyzny. Pragnęli wyłączenia W. Ks. Poznańskiego ze związku Rzeszy, a Niemcy wcielenia do niego tej polskiej ziemi. I w tem dostrzegał Wichura skazę na niebie owego braterstwa, które nawet w ukropie entuzjazmu berlińczyków poczytywał za złudną efemerydę.

A gdy po tem przemówieniu obraz zebrania wydał się niejakiem odbiciem berlińskiego święta ludów, gdy ściskając sobie dłonie Niemcy i Polacy zamieniali oznaki narodowe, Stach w duszy chichotał się gorzko Stańczyka śmiechem, albowiem sztuczną farsą zdało mu się łączenie tych dwojga kokard, których harmonję zakłócał kolor czarny — pruski.

„Niech żyje Polska!“ — wykrzyknął jeden i drugi Niemiec, ale Stach rozumiał dobrze, co to znaczy. Wolny lud niemiecki dawał

wspaniałomyślnie wolność Polsce — kosztem Rosji, w rojeniach rozbijałych umysłów pokonanej przez Prusy z pomocą Polaków, ale nie ofiarowywał wolności Wielkopolsce, którą przeciwnie anektował i wcielał do Rzeszy.

Spozierając po obliczach niemieckich, urzędniczych, Stach czytał w nich nie uszczęśliwienie, lecz poważne skupienie, zadumę mroczną, oświeclaną chwilami błyskawicą uśmiechu. Jedyne nieliczni pobratymcy duchowi berlińskich żywiołów rewolucyjnych odczuwali w podniesieniu skali uczuciowej wzniosłość aktu pojednania dwóch strumieniami krwi i wieżą bezprawia rozdzielanych narodów. Oni tylko zwracali się ku polskości z otwartymi ramionami, aby z nią pospołu radować się nad pogromem absolutyzmu i nad zwycięstwem idei konstytucyjnej, powinszować sobie z nią upadku wspólnego ciemiezcy.

A reszta? Cała ta nasłana na Poznańskie szarańcza głodna w biało-czerwonej kokardzie na swej piersi widziała tarczę bezpieczeństwa i uznawała za tymczasowe wskazanie polityki drapować się w togę braterskości.

Tak samo żydzi. Urzędnicy drżeli o swe posady, żydzi nie o własną skórę, lecz o wartość piastowanych w biurku weksli. Aczkolwiek dnia tego komitet polski wystosował do „braci-Żydów“ uspokajającą odezwę, zapewniał ich uroczyście i szczerze o swej przyjaź-

ni, przypominał równouprawnienie, nadane „braciom izraelitom“ przez miasto Kraków przed dwoma laty, i wyciągał do nich rękę, kryli w zanadrzu jad głębokiej niechęci do gościnnych swych dobrodziei — do krzywdzonych.

Skoro zapadła uchwała, aby przemówienie Brachvogla przesłać jako odpowiedź komitetowi, wystąpili żydzi i raz po polsku, raz po niemiecku wylewali miodowej miłości wytryski, ale Stach wyplątał się z zebrania i podążył przed ratusz.

Biegło w tę samą stronę wiele osób. Rozniosła się bowiem wieść o przybyciu Libelta i grona moabitczyków.

Tu i owdzie fruwały w rynku chorągwie polskie, jakimi i żydzi przystroili swe domy. Na odwiecznym pręgierzu historycznym i na pięknej fontannie przed ratuszem wisiało mnóstwo młokosów i malców, gapiących się na orszak, rozsypany po schodach ratuszowych — na moabitczyków, na Libelta.

Odcinał ich od ciżby szereg członków Towarzystwa Strzeleckiego oraz Straż Obywatelska pod wodzą Józefa Leitgebera, a wysoko nad głowami dostojnej grupy powiewały z fryzu olbrzymie płótna białoczerwone, furkały raz po raz.

Rozpalone spojrzenia szukały w tym zastępie znajomych twarzy, chodziły za Libeltem, snującym się między członkami Komitetu

Centralnego, którzy witali najlepszego syna miasta Poznania, dzielili się, z wróconymi krajowi ziomkami, niby opłatkiem, radosnemi nowinami, aż wreszcie Libelt wstąpił na najwyższy szczebel kaskady schodów i nagle stała się cisza świątynna.

Z zapartym oddechem, z napiętymi strunami sercowemi tłum ucichł w oczekiwaniu ewangelji, jak jeden mąż, z wszystkiego co polskie złożony.

— Współziomkowie kochani... — rozlał się głos doniosły — przesłałem wam z Berlina wieść nieoczekiwaną... Upewniam, że Berlin i może cały naród niemiecki jedno względem nas żywi życzenie, a mianowicie, aby Polska utworzyła przedmurze. Nie ulega wątpliwości, że nieśmiertelna kwestja polska niebawem zostanie rozwiązana... Możliwem jest nawet, że rządy same rozpoczną kroki w tym kierunku... Rodacy! Jesteśmy bliscy urzeczywistnienia naszych nadziei...

Pękła struna w zapartych piersiach, zerwały się hamulce, wypadł ryk tytaniczny „Hurra!” stu piorunów łoskotem uderzyło o fasadę ratusza, grzmiało długo, przeciągle, szło na falach powietrznych nad zielone brzegi Warty.

Serca ludzkie drżały, jak ptaszyny niewolone długo w uścisku pięści żelaznej, rwały się do lotu, setki czapek podrzuconych wypadały

w górę, wiwaty strzelały, jak z moździerzy. W upojeniu cudnem, w bezmiarach radości przeczystej wszyscy poczęli całować się, ścisnąć, razem śmiać się, razem łyzy ronić, zbratani i natchnieni jednym gwiezdnyim uczuciem miłości...

I nareszcie Stach, lodowaty uczestnik tylu festynów, biesiad duchowych, uczuł, że spadły zeń w proch ziemski pęta rozwagi chłodnej, że wtopiony w duszę zbiorowiska tego wszystkimi włóknami rozsnuwa się w tęczę promienistą.

Coś tajało mu w piersi, płynęło po licach strumieniem gorącym, a w duszy grały mu struny arfy archanielskiej.

Przez łyzy ujrzał przed sobą stare oblicze Wrzały, włościanina wypuszczonego z Moabit, i splótł się z nim ramionami mocno, bo zdało mu się, że trzyma przy piersi całą ziemię wielkopolską — matkę ukochaną, aby jej nie dać nikomu, nie opuścić do śmierci..

— O laboga, laboga świętego... — jęknął chłop w omdleniu, jakby umierał ze szczęścia, kończył dni swe zbożne, któreby i tak nic piękniejszego mu nie przyniosły, i wsparł się na Wichurze, na jego barki składając ciężar przyśłości.

Obok nich w zamęcie ogólnym szlochały kobiety, wydierały się westchnienia ekstazy, rżały śmiechy, chybowały fragmenty wi-

watów a chłopak jakiś chwaliszewski krzy-
czał:

— Jasiu! Ten ci dychtownie mówi, aż co-
sik w człeku rośnie!...

— Dość cierpień naszych!...

— Sprawiedliwość jest w niebie...

— Niech żyje wolność...

— ...Nie zginęła...

Utonęło coś ze zdań Libelta we wrzątkach
uczuć rozkiełzanych. A gdy wreszcie cisza
przeszła tłum tchnieniem lasów cienistych, po-
słyszano tylko jeszcze dwa ostatnie, a magiczne
mowy jego słowa:

— ...Rzeczpospolita poznańska...

I cudowne osłupienie runęło na tłum, ode-
brało mowę, zakuło lud w milczenie, wzno-
sząc duszę jego na zenit jaśni.

Jak żrały łan, gdy wichur weń uderzy, po-
chyliły się głowy, niby przed monstrancją,
i zapadło wszystko w błogosławioną ciszę.

Cud stał się...

Ze szczytu wieży strzelistej spozierał na
ten obraz orzeł biały.

Spozierał świetny ptak królewski ze skrzy-
dłami do lotu gotowemi i mienił się, niby od-
rodzony w blaskach hojnego słońca, grał ga-
mą tonów złotych, lśnił i promieniował bez-
miarą szczęścia.

I szczęście kapąło ze złotej jego tarczy na
tłum struchlały, przepajało go nawskroś i taką

napęniało uczuć lawą, że serca płonęły jak krze ogniste i wzbijały się na skrzydła orle. A gdy wreszcie zerwał się huragan głosów, zdało się, jakby miasto całe zjednoczyło się w jeden dźwięk mocarny, jakby wszystkie serca grzmiały w nim i waliły się wszystkie wrogię posady.

Dusza Poznania w blask orła zaklęta niosła światu wielką nowinę. Głos jej był jednym, jak Wielkopolska ogromnym głosem, był krzykiem ziemi piastowskiej, był pieśnią milionów i płynął dziekczynnie przed tron Boga sprawiedliwości...

VII.

Gdy wieczór zapadł, na rynku gorzały ognie bengalskie, race złotemi węzami strzelały wysoko, w oknach jarzyły się światła, a ruch na ulicach panował taki, że Poznań, czterdzieści dwa tysiące głów liczący, robił wrażenie kilkakrotnie większego miasta i przybrał charakter rozkarnawałowanej metropolji pod jakimś szczęśliwem niebem.

Niedość bowiem, że na twarzach jaśniały radość, animusz, buńczuczność, że kokardy zdobiły odświętne stroje, ale gdzieniegdzie skrzypki różnęły od ucha, płasano, wyskakiwano, jak na weselisku i całe sznury wałkoniów

krotochwilnych chadzały po mieście w korowodach arlekinowych, rozkołysanych.

Co chwila rozbrzmiewało na głównych arterjach chlastanie z biczów, czterokonne karoce dudniły po bruku, lokaje, strzelcy wysadzali państwo i jeźdźcy wpadali do miasta. Bywało, że wieściami podniecony hreczkosiej, nie czekając aż stangret napasie konie i założy je do pojazdu, wskakiwał na wierzchowca i pędził do Poznania.

We wszystkich zakątkach migotała iskra wesołości, ulice zamieniały się w sale publiczne, a nigdzie nie było widać policjanta ani pikelhauby żołnierza. Straż obywatelska zaś łatwe miała zadanie, chociaż miasto wyzwolone z pod granitowego wieka sarkofagu oddychało pełną piersią, rozprężało się, kąpało w swobodzie, chociaż otworzyły się serca i szumiała fantazja.

Poznań, który wydawał się przedtem „nowopruskim“ albo raczej „tuczonem przez prusaków bydłątkiem na rzeź przeznaczonem“, manifestował swą polskość sformie, a wesoło, a w atmosferze jego unosiły się promienie słowiańskiej dobrotliwości, drgały rzuty humoru rubasznego, bo, zdało się ludziom, że odwróciła się karta losów polskich i teraz dopiero poczynają żyć. Żyć i pozwolić żyć innym!

W traktjerniach tłoczyły się tłumy. Tam przy szklanicach huczały wiwaty, bratano się

z Niemcami i żydami, tam wytaczano kwestję co do jutra. Zgoda oplatała ludzi festonem kwietnym, radość trzepotała się świetlnymi skrzydłami.

Tymczasem przez pusty plac Działowy, na którym niedawno jeszcze odbywały się ćwiczenia żołnierskie, kroczyło dwóch starszych oficerów pruskich.

Niższy wzrostem, z lampasami jeneralskimi, z czapką polową, głęboko na czoło nasuniętą, miał twarz okrągłą, mięsistą, buraczaną, z wąsem siwym, osłaniającym usta niby daszkiem, głowę kulistą, osadzoną na krótkim, bawolim karku, na wydętym torsie. Trochę baryłkowata figura ta zanikała obok dość wysokiej, kościstej, wyprężonej postaci, zdradzającej w ruchach i w postawie dążność do ujawniania powagi, godności i salonowego wzięcia. Ciemne, wypomadowane włosy uścielały się za dartemi jęczyczkami na skroniach, krótkie, siwizną przyprószone bokobrody i wąsy osłaniały wydatne kości licowe, nad którymi świeciło dwoje przenikliwych, inteligentnych oczu.

Byli to generał komenderujący von Colomb i pułkownik, brygadą dowodzący, dr. Henryk von Brandt, syn ziemi wielkopolskiej, ongi żołnierz z pod chorągwi Chłopickiego, który ramię przy ramieniu z Polakami walczył w Hiszpanji, w Rosji, a nawet w Niemczech. Wstał następnie w szeregi wojska pruskiego, jako

urodzony najemnik, gotów służyć za rębacza każdemu panu.

W milczeniu pogrążeni zmierzali obok kościoła św. Wojciecha na skraj miasta, gdzie wysoko nad całą okolicą piętrzyła się i panowała stożkowata, odrzewiona góra — cytadela: Winiary.

— Hoeren Sie mal, Herr Oberst — ozwał się wreszcie generał z głębi rozmyślań — mówiąc tak doskonale po polsku i widując najwybitniejszych Polaków, musiał pan posłyszeć to i owo, co się dzieje na prowincji. Polacy nie dadzą się długo ciągnąć za język...

— Ekscelencja posiada tak doskonałą służbę wywiadowczą, że nie powiedziałby chyba nic nowego. Nie dzieje się zresztą nic, co nie byłoby lub nie miało być powszechnie wiadomem. Przed dwoma laty mieliśmy do czynienia ze spiskiem i lepiej to było, wiedzieliśmy bowiem, czego się trzymać, a dzisiaj stoimy oko w oko z jakąś lealną rewolucją, rozrastającą się bezkarnie, o której nikt nie powie wyraźnie, przeciwko komu wymierzona jest ostrzem.

— Co pan słyszał?

— Źle, bardzo źle... Polska bezczelność nie ma granic. Ci ludzie uzurpują sobie jakieś prawa! Gospodarują tu, jakby u siebie!... We wszystkich miasteczkach potworzyły się komitety narodowe, które rewolucjonizują kraj,

formują oddziały, powstrzymują naszych landwerzystów polskich od stawiania się na apel do szeregów naszych, zatrzymują sztafety, przeglądają listy. W kilku miejscowościach dopięli tego, że do landratury przydzielono polskiego komisarza, pozdzierano orły pruskie, pozawieszano polskie. Wszyscy noszą tam białoczerwone odznaki. Wprawdzie Mierosławski, (który był u mnie wczoraj z Gustawem Potworowskim i hr. Sewerynem Mielżyńskim) kładzie mi w uszy, że Polacy zbroją się przeciwko Rosji i to w myśl intencji Berlina, może nawet sam w to wierzy, ale bądź jak bądź nie możemy dopuścić, aby stugłowa hydra polska wyrastała obok nas i — przeciwko nam.

— Niewątpliwie ruch ten mierzy w pierś naszą.

— Otóż dlatego właśnie — ozwał się Brandt z wyrzutem — chciałem łeb udrzeć hydrze i namawiałem do aresztowania wracających od króla z Berlina delegatów. Niestety, ekscelencja i jenerał von Steinaecker sprzeciwili się temu!

— Mein lieber Brandt — rzekł Colomb perswadującą. — To niepodobna! Mniejsza, że delegaci ci posiadali upoważnienie od Beuermannna do osobistego przedłożenia monarsze swej petycji, ale bylibyśmy uderzyli w te żywioły, które kroczą drogą pokojową, drogą

układów i tak zradykalizowali lojalistów, popchnęli ich w ramiona rewolucji.

— Ależ powstanie i tak wyrasta im ponad głowę!

— Aresztować arcybiskupa i innych notabli znaczyło tyle, co wywołać natychmiastowy wybuch przeciwko nam. A nie jesteśmy jeszcze gotowi! Pułki śląskie i pomorskie przybędą dopiero za dni kilka lub kilkanaście. Landwery także jeszcze nie mamy w ręku. Sam pan wskazywał wczoraj na zastanawiający fenomen, że lud polski, na którego lojalność liczyliśmy, garnie się do szeregów polskich z zapalem, że ot tu nawet, pod lufami dział cytadeli chłopstwo ostrzy kosy! Mein lieber Brandt, bylibyśmy sobie piwa nawarzyli! Może cytadela byłaby już w ich rękach...

— Temu przeczę! — zawołał Brandt. — „Les Polonais sont toujours capables à tout, mais jamais prêts à rien“, powiedział o nich książę de Ligne. Zresztą Mierosławski nie rzuci się na nas! Głowę daję; znam go, berlińczycy upoił go haszyszem; marzy mu się o polskiej buławie z rąk króla. I... to nie żołnierz.

— To uderzyłby na nas Białoskórski lub Brzeżański? Czyż to mało wśród nich wypróbowanych oficerów?

Brandt potrzęsnał głową.

— To prawda, że nie brak im pułkowników zdolnych, lecz w tym momencie ruch cały nie ma wyraźnej dyrektywy.

— Tę dyrektywę nadałaby właśnie nieopatrzna przedwczesna akcja z naszej strony! Cierpliwości, mein lieber Brandt, ja dam panu jeszcze sposobność...

Zbliżyli się do stoków góry.

Jenerał przystanął i zwrócił oczy w stronę miasta, leżącego przed nimi jak na dłoni, skąpanego w lekkiej mgławicy błękitnawej, uśmiechniętego wiośnianie. Lazurowa wstęga Warty odcinała wyspę, łachą rzeki oskrzydloną, z wieżycami tumu i zespołem kanonji. Na lewym jej brzegu wyrastały z ogromnej, gęstej szachownicy domów grzbiety kościołów i dumna, jakby natchniona wieża ratusza, z której powiewała chorągiew polska.

Colomb i Brandt zapatrzyli się na ten nieawistny, urągający im emblemat i w krzyżackich piersiach żółć przelewała się piołunem zaprawiona.

— Rzeczpospolita poznańska!... — syknął Colomb jadowicie.

— Co za bezczelność!... — wyszeptał przez zęby Brandt, zaczem żując gniew, ruszyli powoli w chmurnem milczeniu w górę, ścieżką wijącą się stromo na cytadelę.

— Czy pan zna owego jenerała Willisena?
— zagadnął Colomb.

— Znam dobrze.

Jenerał uśmiechnął się pod wąsem. Do prawdy ten karjerowicz wszystkich znał, wszędzie był, wszystkim ścisnął rękę.

— Nadzwyczajnie wykształcony oficer o manierach dworskich. Podróżował wiele z feldmarszałkiem Yorkiem i nasiąkł w Anglii liberalizmem, rozmiłował się w konstytucyjnych formach rządu. O powstaniu polskim z r. 1831 wyraża się w swych pismach z nie-małym uznaniem i wszystkiemu temu zawdzięcza swe sympatje u Polaków.

— Ha... — wyrzucił Colomb zgryźliwie. — Tylko tego mesjasza potrzeba nam tu jeszcze do ukoronowania ogólnego chaosu. Nie płakalibyśmy, gdyby gdzie w drodze do Poznania kark skręcił...

— On z pewnością ciągnąć będzie obrus na polską stronę i położy się kamieniem przed pańskim planem.

— Jakim mym planem? Czy pan wie, z jaką noszę się myślą?

Pułkownik zbliżył się do jenerała i spozierając w oczy jego filuternie, wyrzekł:

— Napaść na nich...

Colomb podniósł nań uśmiechnięte oczy i za całą odpowiedź położył palec na wargach.

W cytadeli oczekiwali jenerała wszyscy oficerowie załogi poznańskiej, zaniepokojeni,

podnieceni i stroskani. Już sami nastrój miasta, w którym czuli się zdegradowanymi do roli piątego koła u wozu, wróżył źle.

A na czole komendanta osiadła czarna chmura. Na skinienie jego ręki, oficerowie otoczyli go kołem a on począł:

— Przeżywamy bardzo ciężkie chwile... A teraz muszę panom odczytać orędzie J. Kr. Mości, które kwestjonuje całe nasze bytowanie...

To rzekłszy, rozwinął krótkie pismo, podpisane przez króla, który „chętnie“ godził się na reorganizację W. Ks. Poznańskiego w duchu narodowym polskim, na utworzenie komisji z przedstawicieli obu narodowości pod łaską jenerała Willisena, przestrzegając wkońcu przed zakłóceniem porządku publicznego.

„Reorganizacja w duchu polskim“ uderzyła ich obuchem; pochyliły się głowy, zwątpienie rozpaczliwe ogarnęło uinysły.

Byli zbyteczni! Ściągano z nich mundury, łamano szable i wyrzucano na śmietnik! Na tej ziemi nie było już miejsca dla pruskiego oficera! Król wydawał Poznań Polakom.

W oczach niejednego oficera szklily się łzy, widząc się wykolejonym zgrzytał cichaczem zębami, złorzeczył królowi, co robił ustępstwa Polakom. Niejeden chwytając za szpadę, folgował oburzeniu i rozpaczcy.

— Uderzymy na tę bandę polską!

— Lepiej polec, jak rycerze z Radosu, niż wydawać powstańcom Winiary.

— Wstyd i srom większy, niż pod Jeną!...

Potworzyły się kółka, w których przedyskutowywano orędzie, szemrano, lamentowano. Ci z pośród oficerów, co uważali autonomję za rzecz Polakom przysługującą lub pragnęli wstąpić w kadry polskie, zamykali się w sobie.

Major von Voigts-Reetz przyskoczył do generała rozczzerwieniony.

— Ekscełencjo, prowadź nas na tę zgraję psów słowiańskich! Nie ustąpimy stąd bez strzału.

— Meine Herren! — ozwał się nagłos zafrasowany komendant do wszystkich. — Tak źle nie jest. Zdaje się, że panowie błędnie tłumaczą sobie orędzie J. Kr. Mości. Niema mowy o wydawaniu Poznania Polakom...

Tłumaczył, uspokajał, pocieszał i krzepił ich na duchu, upewniając, że honor chorągwi droższym mu jest nad wszystko. Wypogodziły się oblicza, zwłaszcza, gdy Colomb rzucił znacząco:

— Mam nadzieję, że już w najbliższych dniach zmieni się położenie na naszą korzyść.

Wyszedłszy wszakże z cytadeli wraz z pułkownikiem, nie wyzwolił się z pod chmury frasunku i wykrztusił:

— Ten przekłety Willisen!... Jeśli nie stanie się on narzędziem w naszych rękach, to

wytworzymy dlań taką gorącą atmosferę, jak w piekle. Na szczęście głos mój ma posłuch u ministra wojny, mam wpływy na dworze.

Jeszcze komisarz królewski, który miał wnieść pokój i sprawiedliwość, daleko był od Poznania, a już generał Colomb knował plany przeciwko niemu i całej pracy reorganizacyjnej.

U stóp góry wsiedli w żółto lakierowany otwarty pojazd, który generał kazał skierować na plac Bernardyński, bąknąwszy do pułkownika:

— Ciekawym, jak przedstawia się to wojsko polskie...

W pierwszym dniu kwietnia zbrojne zastępy polskie składały się z kosynierów, których liczono na tysiące, z dwóch bataljonów strzelców pod dowództwem majorów: Wronieckiego i Dobrogojskiego, a naczelną komendą pułkownika Jabłkowskiego, oraz ze szwadronu kawalerji Tytusa Działyńskiego. Nadto przybyła z Berlina legja akademicka, do której garnęło się mnóstwo ochotników najprzeróżniejszej kondycji, wykształcenia i wieku. Obok letnich przybyszów z emigracji stali bezwasi gimnaziści, obok wyćwiczonych żołnierzy z szeregów pruskich surowi, niepodatni młokosi tak, iż oddział pozbawiony był wewnętrznej spójni organicznej. A chociaż zapał wyrównywał poniekąd różnice, uzbrojenie pozo-

stawiało wiele do życzenia. Przeważały dubeltówki i stare kapiszonówki wojskowe, tu i owdzie sterczały jakieś przedpotopowe garłacze i jednorurki.

Oddział ten rozpoczął ćwiczenia na obszernym czworoboku w obliczu olbrzymich wież rdzawego kościoła Bernardyńskiego. W krańcowej tej dzielnicy, gdzie ubożuchne, odrapane domki tłoczyły się i spajały w węzowiska uliczek, zwykle nic nie wprowadzało żywszej nuty w tryb małomiasteczkowego bytowania. Z chwilą wszakże, gdy na placu zabrzęczały szable i zabrzmiała komenda, zaroiło się tam od widzów z całego miasta. Każdy przecież chciał nacieszyć się widokiem radosnym, nieprawdopodobnym — widokiem polskiego żołnierza.

Na narożniku uliczki Za Bramką kłębiła się bełkotliwa chmara rozbujałych uczniów z gimnazjum. Trzepiąc językami, ćwierkając, wyszukiwali między szeregowcami znajome twarze wyrostków, którzy rzuciwszy ławę szkolną, zaciągali się pod chorągiew. Wskazywali ich sobie z dumą, przechwalali się znajomością obrońców ojczyzny. Jaki taki powtarzał, co posłyszał od nich o egzercerunku, jeden czupurny mądrała tłumaczył nawet arkana sprawności wojskowej, inny chlubił się, że pospołu z kolegami ciskał z okna drwa i kłocce torfu na głowy opuszczających miasto hu-

zarów, a wszyscy zazdrościli starszej młodzieży. Bo co łączyło się z pojęciem żołnierza: czapka, karabin, ostroga, wywierało urok na umysły chłopięce, olbrzymiało i nieciło w krwi synów i wnuków tych, co walczyli pod Racławicami, pod Saragossą, pod Rajgrodem, iskry zapалу rycerskiego.

A dalej za nimi ciągnęły się nieprzerwanym łańcuchem zastępy polskie z miasta i okolicy, zapatrzone rozpromienionemi oczyma na młodź, zaprawiającą się do wojaczki. Radość biła z ich twarzy, serca rosły, bo nabierali pewnością, że — jest Polska.

Zgórą trzystu piechurów stało pod komendą oficera, którego głos brzmiał raz wraz z pod bramy kościelnej, rzucał na głowy gromki rozkaz. Zbiegali się wskok, grupowali w zwarte szeregi, w jedno ciało, to znowu odskakiwali od siebie, rozsuwali się, plac cały pokrywając żywą siecią. Trzask odwodzonych kurków rozlegał się salwą niby łupanych orzechów, twarze przylegały do kolb i znowu łoskot kurków grzmiał w jednej chwili. Rzucali się naprzód, napierali na pierwszy szereg osadzony na miejscu, zgęszczali się, przypadali na jedno kolano, mierzyli z karabinów przed siebie, aby za moment, zmieniawszy front, biec pędem na drugą stronę placu.

Czując na sobie sympatyczne spojrzenia ziomków i krytyczny wzrok oficerów, legioni-

ści z widocznym i rzetelnym wysiłkiem pełnili rozkazy. Każdy wcielał się w zespół, czuł się częścią korpusu, zaszczyconego miłością ogółu.

Nie czuli na sobie długich, badawczych, niechętnych spojrzeń generała Colomba i pułkownika Brandta, którzy widzieli w nich jutrzejszych przeciwników na polu bitwy.

Odchodząc z placu, pułkownik spytał generała półgłosem:

— Co pan generał o nich sądzi?

— Broń mają pod psem, ale w ludziach materjał pierwszorzędny.

Niema wątpliwości, „der Pollake“ to urodzony żołnierz.

VIII.

Dzień czwartego kwietnia chylił się w otchłań nocy. Zachodzące słońce słało purpurowo-złote smugi na wartką wstęgę Warty, wezbranej wiosennymi napływami, miejscami rwącej szalenie, skłębionej w wiry i prądy zdradliwe.

Chwiała się na niej, niby łupina orzecha, łódeczka, na której z maleńkiego, kępą nad wodą osiadłego „Miasteczka“ przeprawiali się na lewy brzeg rzeki Wichura i Krauthofer-Krotowski, adwokat poznański. Odnalazłszy w sobie żyłkę wojskowa, wyrastał on na zapalczy-

wego rewolucjonistę i ćwiczył się w strzelaniu pod egidą Stacha.

Z rękoma na kolanach uczepionemi Wichura spoczywał na ławeczce w posagowej pozycji i zdało się, iż nie słyszał adwokata, którego rozpierał nadmiar myśli.

— Jutro przybywa jen. Willisen! Winzuję mu, ha, ha! — myślał głośno Krauthofer. — Niemcy i żydzi zgotują mu przyjęcie takie, że wnet poczuje się tu jak pies w kręgach. A zwłaszcza Colomb! Rozumie pan, dlaczego to Colomb ogłosił wczoraj stan oblężenia? Dlaczego zażądał, aby wojsko nasze opuściło Poznań?.. Otóż nie tylko dlatego, że wzmocniony przez landwerę śląską i wojsko z powiatów zachodnich uważa, iż wybiła godzina ataku na wojsko polskie, ale i dlatego, aby stawić Willisena wobec *f a i t a c c o m p l i*, zgóry paraliżującego jego akcję ugodową i reorganizatorską, aby utrudnić, uniemożliwić jego misję... Willisen natknie się tu na Colomba i owego barona meklemburskiego i rozbije o te podwodne rafy. Kolbe von Schreeb odwiódł żywioły niemieckie tak daleko od wszelkiej pojednawczej z Polakami myśli, że Germanja wpadła w otwarte ramiona żydowszczyzny, he, he... A Mierosławski, psiakrew, przemarnował, przebarłoczył najlepszy czas! Jeszcze nie wytrzeźwiał po owacjach berlińskich! Jeszcze wierzy w przyjaźń pruską, a może

w gruncie rzeczy nie czuje się sam na siłach, aby poprowadzić nas na Prusaka. Jak pan sądzi?.. Poczynam to podejrzewać. Cóż pan teraz pocznie z sobą? Tu niema już co robić. Każdej chwili Prusacy mogą zająć strzelnicę i nas albo przepędzić na cztery wiatry, albo aresztować. Pójdzie pan do obozu Brzezańskiego do Środy? Albo gdzie indziej...

— Nie wiem jeszcze... — bąknął Stach.

— Do Brzezańskiego sypią się ludzie ze wsząd chmarami. Byłaby to śliczna rzecz, gdyby dało się tam zgromadzić potężny korpus. Środa leży tak blisko. Możliwość uderzyć na cytadelę...

Stach wogóle mało mówny, zamykał się w milczeniu, ile razy nurtował w nim ból. A gryzło go jak robak niezadowolenie wobec zakrojonych na większą skalę przygotowań Mierosławskiego, wobec jego bezsensownych zakusów fabrykowania jakichś palisad obronnych dla żołnierzy, którymi kandydat na Napoleona chciał zadziwić świat i zasłynąć na polu techniki wojennej.

Rozumiał on chłopską swą głową ponieważ tych, co li tylko w układach widząc zbawienie dla sprawy, za każdą cenę unikać pragnęli starcia z Prusakami, coraz zuchwalej i zacieplej występującymi, aczkolwiek nie solidaryzował się z ich stanowiskiem. Lecz nie pojmował zgoła owych rewolucjonistów, któ-

rzy miasto rwać się do boju, wikłali się po uszy w deliberacjach, konszachtach, brodzili po pas w polityce i dyplomacji. Nie pojmował Mierosławskich, Stefańskich, Essmanów. Grali oni sami przed sobą chwiejną, dwulicową rolę, niby to sposobiąc się do walki, a licząc na misję Willisena, na sympatję Niemiec, na ugodę z Teutonami.

Natomiast bratał się z żadną boju młodzieżą, z wojakami — emigrantami i nieprzelicznymi zastępami ludu wielkopolskiego, który odruchowo zbroił się w kosy, ciągnął do obozów, głuchy na rozumowania i przeciwstawienia inteligencji. Wyczuwał prymitywnym a silnym instynktem skradającą się na Polaków zdradę pruską.

Uwagi adwokata poczytywał Stach za całkiem trafne, ale pocóż miał sobie psuć gębę? I tak z gadania mądrego nic nie wyniknie. Gdy myślał o Colombie, o żołdakach, którzy od kilku dni wałęsali się po mieście, zaczepiali legionistów, tu i owdzie zdzierali kokardy i oznaki polskie, serce lodowaciało mu w piersi, język kołkiem stawał i milczał jak grób.

Skoro wysiedli z łódzki i weszli na Wielkie Garbary, adwokat rozstał się ze Stachem, który puścił się ciemną uliczką Butelską w stronę rynku, z zamiarem udania się do biura wydziału wojkowego, gdzie

chciał zdać sprawę ze swych czynności i o dalszych swych postanowić losach.

O tym czasie na narożniku wąskiej przecznicy, przecinającej ulicę Butelską, szwargotało przed sklepikiem żydowskim dwu piechurów pruskich z 21-go pułku i dwu landwerzystów śląskich z kramarzem w jarmulce, który, stojąc na brudnych schodkach niby na katedrze, prażył ich rozgorzałemi żrenicami i bełkotał żarliwie, namiętnie:

— Od czego to nosicie te pałasze przy boku?! Może do krajania sera? Boicie się Polaków, co? Takie to z was pruskie wojsko!.. Naczo was przysłali do Poznania? Abyście przyglądali się polskim oficerom? Kłaniali się im? Die Polaken sollen sie bewundern, chi, chi!..

— Trzymaj gębę, żydzie! — warknął podpity piechur.

— Niech oni jeno zaczną, to sprawimy im frycówkę taką, że.. — odgrażał się inny.

— Ale sami nie zaczniecie, bo się boicie! — wpadł żyd, chichocząc szyderczo.

Wybiegł z handelku drugi pejsaty handlarz z butelką „kimmlu“ i kieliszkiem, i nużę częstować żołnierzy.

— Najprawdziwsza „Gilka“! Pickfein! Specjał! Dla panów żołnierzy króla pruskiego!

Jeden po drugim żołnierze wychylili po kieliszku wódki i nową rozpoczęli kolejkę, a żyd namrotał, jak młynek:

— Onegdaj czterej żołnierze od landwery napadli na odwach, na tych legionistów z Berlina, a wczoraj na pewnego oficera... Oderwali mu ostrogę. To dzielne wojaki! Pokażcie i wy, że nie darmo nosicie na grzbietniku mundur króla pruskiego! Jak którego Polaka za kołnierz złapiecie, to pewnie okupi się kilku talarami!

— Nie poto opuściłem dom i żonę, aby wracać z pustemi kieszeniami z tego przeklętego kraju słowiańskiego! — wołał otyły landwerzysta w czarnym, górą przypłaszczonym hełmie, sięgając po kielich słodkiego trunku.

Żydzi jeden przez drugiego zarzucali ich wykrzyknikami, budzącemi pogardę dla Polaków i chęć rozboju. Wreszcie wyczerpawszy do dna gościnność tego szynku, żołnierze powlekli się dalej na niezupełnie pewnych nogach. Kilku uliczników i gapiów wałęsało się wkoło nich, w przyzwoitej odległości.

Walili środkiem ulicy parami, pod pachy się trzymając, z czapkami zawadjacko na tył głowy zsuniętymi, minami buńczucznej przestzegając gawiedź, aby nie przystępowała bez kija.

Aż piechur, przodem idący, zatrzymał się i ujął pod boki. Stanęła cała kompanja. Ugodzili

oczyma w dwóch zmierzających ku nim wieśniaków w długich sukmanach, na których granacie znaczyły się biało-czerwone kokardy.

Raptem podniósł się wrzask. Powybiegało z domów żydostwo, kilka kobiet i wyrostków rzuciło się ku grupie, jaka w okamgnieniu utworzyła się wokoło chłopów, i gdy Wichura zbliżał się ku niej, nie mógł dojrzec, co dzieje się za plecami żołnierzy i pospólstwa.

Lecz tknęło go coś, że dzieje się tam coś haniebnego.

Przed chwilą zagasły, w sekundzie ocknął się, rozprężył w sobie i zamienił w łuk tytaniczną napięty wołą. Przyciągnąwszy machinalnie pałasz do boku, skoczył jak piłka naprzód, rozbił taranem mur wrzaskliwych żydów i żołnierzy.

Otworzył się przed nim obraz krzyczący, uderzający w sedno skrytej jego bolączki.

Ujrzał chłopów na klęczkach. Landwe-rzyści trzymali ich za barki, przygniatali do ziemi, kułakowali po łbach, żołnierze zaś pakowali im gwałtem w usta zerwane z ich piersi kokardy polskie.

— Ty chamie słowiański! Żryj to! Zeżryj to! — wrzeszczał piechur pruski, lecz grzmotnięty z tyłu ciężarem, odleciał na bok.

— Precz!! — ryknął jak grom głos i migawkowo rozpadła się cała grupa ludzi w kawały.

Żydzi pierzchnęli w sekundzie, kobiety popadały do kamienic, a żołnierze, zerknąwszy w twarz Wichury odskoczyli na środek ulicy, zatoczyli się obłądnie i cofali jakby pod naporem siły granitowej, tajemnej.

Pozostał jedynie na placu przywódca ich — żołnierz linjowy — w odległości kilku kroków od Stacha, który zwrócił ku niemu maskę błądą, marmurową, przeszył go fosforycznym wzrokiem marcholta.

A żołdat, dobywając pałasza, bełkotał:

— Ty psie polski... Jak śmiesz...

Lamparcim skokiem rzucił się ku niemu Wichura i żołnierz co tchu porwał się i prysnął. Biegł w ślad za innemi mundurami, niknącemi już u wylotu wąskiej arterji.

Chłopi przytuleni do zbrukanych murów kamienicznych wpatrzyli się jak w objawienie w krępą postać oficera w rogatywce, panującego nad uliczką, jakby struchlałą w zdumieniu i oczekiwaniu.

Wichura bowiem nie puścił się w pościg. Zimny jak lód, bez chwili zastanowienia, z nieubłaganym spokojem zabójczej maszyny, puszczonej w ruch i bezmyślnie funkcjonującej, zanurzył rękę za pas, wydobył pistolet — wycclował — strzelił.

Huk. Żołnierz jak kłoda runął twarzą na bruk. Ani zipnął.

Stach nie drgnął; zastanawiał się nad celnością strzału.

Mierzył w kręgi i trafił. Zabił z precyzją nością gilotyny.

Przyskoczyło doń dwu rzemieślników.

— Panie oficerze. Niech pan ucieka, na miłość Boską — wołał jakby zachrypły szewc — żydy posprowadżają więcej żołnierzy.

— Niech pan ukryje się u nas! — prosił drugi.

Stach nie podnosząc na nich oczu, nabijał pistolet, jak w strzelnicy, poczem ruszył zwykłym krokiem w stronę rynku.

Mijając trupa, przeszedł po nim zimnem spojrzeniem. Żołnierz wydał się wypchanym manekinem, na bruk wyrzuconym. Dopiero zbliżka dostrzec było można czarniawą, gęstą ciecz, sączącą się obficie z karku na kamienie.

Cicho było wokoło; wszystko skamieniało, jakby ze strachu śmiertelnego — przed ręką sprawiedliwości.

IX.

W biurze wydziału wojskowego Stach nie zastał nikogo. Woźny oznajmił mu, że starszyzna odbywa naradę w przyległym pokoju, skąd dochodził przez drzwi rozgwar głosów.

Rozsiadłszy się zatem przy dużym, z desek naprędce zbitym stole, zarzuconym papierami, zastawionym kałamarzami, Wichura podjął rozpostartą mapę pruskiego sztabu jeneralnego, przedstawiającą okolice jezior w pobliżu Rogowa, które Mierosławski uważał za teren szczególnie zalecający się do operacyj wojennych. Studjował mapę przez chwilę, potem sięgnął po gęsie pióro i począł w skupieniu kreślić coś kaligraficznie na ćwiartce papieru — stawiać jedną, coraz piękniejszą i większą liczbę: 1. Upodobał sobie tę liczbę, przyglądał się jej, niby chłopiec dumny ze swej umiejętności władania piórem, radował okazałym jej wyglądem, nawet uśmiechał się do niej pod wąsem, mrucząc jakby przez sen:

— Jedno, jedno... Pierwszy, pierwszy...

Zastali go tak poeta Ryszard Berwiński i emigrant Karol Brzozowski, obaj tak wzburzeni, że wyrzucając tylko urwane zdania, poczęli dobijać się do sąsiedniego pokoju.

Wyszedł do nich pan Aleksander Brudzewski.

— Dzieją się straszne rzeczy! — powitał go wybuchowo pan Ryszard. — Trzeba temu zaradzić lub ręce nam rozwiązać!

— Cóż takiego?

— W tej chwili żołnierze prowadzili przez plac Sapielhy kilku jeńców, Bóg wie za co i gdzie pojmanych. Nie dość, że ta dzicz umun-

durowana waliła jeńców bez przyczyny kolbami w plecy, nadto na ich widok powstało zbiegowisko niemieckiego i żydowskiego motłochu, który urządził sobie istną orgię kosztem skrzepowanych i bezbronnych.

Podniesiony, rozpaczliwą nutą brzącający głos Berwińskiego zwabił wszystkich członków wydziału: Mierosławskiego, Białoskórskiego, Bronisława Dąbrowskiego, Guttrego, Garczyńskiego, Kosińskiego, Mielżyńskiego oraz emigranta Florjana Dąbrowskiego, majora z 31-go roku, z siwą krótko przyszyrzoną czupryną, otwartą, ściąniętą męską twarzą. Lubo niewielkiego wzrostu i skłonność do dobrej tuszy zdradzający, pan Florjan robił odrazu wrażenie oficera w każdym calu.

Wszyscy utkwili wzrok w rozognioną, nieco piegowaną twarz poety, który, targając palcami rdzawą gęstwinę włosów, ciągnął:

— Obrzucano ich obelżywami wyzywiskami, żydzi tarłosili ich, plwali im w twarz, rzucili się z pianą opętanych na ustach. Byliby ich rozdarli bodaj, gdyby nie eskorta, ta eskorta pastwiająca się nad nimi na własną rękę. Na to nadjechał wóz. Na nim inny jakiś jeńiec i żydzi znów przypadli do niego hurmem jak robactwo, wskrabywali się na wóz, szaleli. Jednego z nich chlusnąłem w twarz tak, że kilka zębów mu wypadło. Doprawdy nie wiem, czy jeńiec byłby wyszedł z życiem, gdyby nie —

kto? Zgadniecie panowie? Gdyby nie ów baron meklemburski, ów patentowany Prusak, który, skoczywszy na wóz, osłonił jeńca swem ciałem...

— Odwzajemnił się nam... — bąknął Kosiński.

— Za co?

— Za to, że Potworowski, czy ktoś inny z naszych wyzwolił go z opałów, gdy napastowano go z naszej strony z powodu, iż pojawił się nie z naszą, lecz z pruską kokardą.

— Mniejsza o to. Dość, że trzeba znaleźć odpowiedź lub pięść na te wybryki i napaści.

— Wniesiemy skargę do Colomba — rzekł Garczyński.

— Skargę! — wybuchnął Berwiński. — Colomb, ów bellerofon drwi sobie z naszych skarg, fajkę papierami sobie zapala i toleruje wszystko.

— Panie Ryszardzie! — zabrał głos Mierosławski — unikać trzeba wszelkiej scysji z Prusakami! Nie dawać reakcjonistom pruskim najmniejszej broni przeciw naszej demokracji, najmniejszej podstawy do skarg, które w Berlinie rozdmuchane, zaszkodziłyby naszej sprawie. — Przedstawionoby nas w ministerjum za nałogowych buntowszczyków.

— Berlin daleko, sympatje Niemiec pod obłokami, a dzicz ta, hulająca na naszej skórze,

blisko. Rady sobie inaczej z nią nie damy jak pięścią, pałaszem, bronią!

— Z pewnością! — huknął Wichura takim tonem, że wszyscy zwrócili się do niego. A on dorzucił z emfazą:

— Niech każdy z nas jednego sprzątnie Prusaka, a nie będzie kwestji, kto ma rządzić na tej ziemi. To polityka... godna żołnierzy! Zrobiłem początek...

Tu Stach lakonicznie w dwóch suchych zdaniach zdał sprawę z tego, co zaszło na ulicy Butelskiej, a Mierosławski schwycił się za głowę.

— A to awantura! Colomb ukuje z tego wielką sprawę! — zawołał w pierwszej chwili, lecz jakby zreflektowawszy się, dodał: — Ale żołdacy nabiorą trochę moresu. Brawurowy czyn pański trzebaby podsunąć pod oczy szlachty...

Coby miało znaczyć „brawurowy“, Stach nie wiedział jasno. Chciał się przeto zastrzec przeciwko jakiejś brawurze, co na jego nie rosła zagonie, ale powstała wrzawa taka, iż nie mógł przyjąć do słowa.

— Nikt z nas nie zapewni teraz panu osobistego bezpieczeństwa — ozwał się do Stacha Seweryn Mielżyński. — Niech pan wynosi się z Poznania bezzwłocznie. Może do Miłosławia?..

— Albo ze mną do Mieścisk! — zawołał major Dąbrowski, łasy na dobrego żołnierza, którego pragnął wcielić do obozu, jaki polecono mu tam uformować.

Istotnie Stach uznał, iż bruk poznański poczyną palić się pod jego butami.

— Pojadę tam — rzekł — gdzie najwięcej widoków bitki.

— A zatem do Środy! — wpadł Berwiński.

— Nie! — zaproponował Mierosławski — Brzeżański, ukończywszy tam werbunek, skończy zaraz do Wrześni, gdzie stanie obozem.

— Skąd ta wściekła nienawiść żydostwa, nie pojmuję — ozwał się Seweryn Mielżyński. — Nigdy krzywda nie działa się im na tej ziemi piastowskiej, teraz wyciągnęliśmy do nich dłoń bratnią, szczerą, a oni przesadzają Prusaków w niechęci do Polaków, podbechują ich, idą na rękę reakcji i tej szarańczy, obracają wniwecz zaczątki ery wolnościowej.

— Cha, cha! — zaśmiał się z goryczą Berwiński i łysnął swą nienawiścią do szlachty. — Uważają nas za cielsko pasorzytnicze, dla siebie na żer przeznaczone.

— Gdyby nawet (o czym zresztą niewiadomo) zaszedł był tu i ówdzie wypadek obrabowania sklepiku lub szynku żydowskiego przez Polaków, to przecież nie byłoby to jeszcze dostatecznem uzasadnieniem tej gremjal-

nej, jaskrawej animozji buchającej nam w oczy z ich strony — mówił pan Seweryn.

— Ot, poprostu, trzymają z możniejszym! — bąknął Kosiński.

— A to plemię jadowite — dorzucił Bronisław Dąbrowski, syn wodza legionów. — Licytują się z Prusakami w ferworze przeciw-polskim, wystawiają na pokaz, reklamują swą germańskość, aby potem żądać od rządu zapłaty.

— Aby im Prusak zostawił Polaków na pożarcie — dorzucił Berwiński.

Sprawa ta dla Mierosławskiego, rdzennie Wielkopolsce obcego, nie przedstawiała najmniejszego interesu.

Tymczasem Stach rozmawiał na uboczu z pułkownikiem Białoskórskim, informował się o postanowionych ruchach wojska polskiego, którego resztę w myśl Colomba wycofano z Poznania. Dowiedział się, iż wyznaczono cztery obozy zborne: we Wrześni, w Pleszewie, w Książu i w Mieściskach, na komendantów powołując: Garczyńskiego, Białoskórskiego, Budziszewskiego i Florjana Dąbrowskiego.

Nikt nie wątpił, że kadry te „powołane do życia zgodnie z duchem słów i skryptu króla Fryderyka Wilhelma“, zostaną zatwierdzone w swem istnieniu przez komisarza, generała Willisena, i uznane za zawiązek wielkopolskiej siły zbrojnej, za wyraz niezawisłości tej ziemi

od Związku Rzeszy Niemieckiej — tej Rzeszy, która zdawała się nowy stan rzeczy nad Wartą podpisywać, albowiem proklamowała — w dniu 31 marca — „świętą powinność ludu niemieckiego współdziałania przy odbudowaniu Polski“.

Jenerał Colomb i reakcyoniści niemieccy inaczej pojmowali „powinność“ ludów germańskich wobec Polaków. Duch teutoński fermentował w łonie miejscowej niemczyzny, wyszczerzał zęby, naigrawał się z dążności rewolucji berlińskiej i reskryptu monarszego, wszelako spodziewano się, że najlepszymi chęciami ożywiony jenerał Willisen zażegna podnoszącą się burzę i wytworzy podstawy harmonijnego życia gromadnego dla Polaków i Niemców poznańskich.

Jedynie chłopski rozum widział jasno, odgadywał przyszłość. Lud okazał się przednim czynnikiem politycznym. Żywiąc niezachwianą pewnością, iż Colomb nie cofnie się przed zbrodniczą zdradą, wyciągnął z tego logiczny wniosek i na wszystkie rozumowania i przedstawienia inteligencji odpowiadał wołaniem: prowadźta nas na Prusaków!

Jednakże w tej chwili Colomb sam nie wiedział, gdzie i kiedy nastąpi krwawa rozprawa. Stach przeto postanowił pojechać w pierw do rodziców pod Oborniki, czekać dal-szego rozwoju stanu rzeczy i, jeśli w kilku

dniach wojsko pruskie nie przedsięwzięmie stanowczych kroków, które powołałyby go na zagrożoną placówkę, udać się w Odolanowskie do Rafała.

Nazajutrz o świcie czekał na dziedzińcu urzędu pocztowego na ekstrapocztę.

Ranek był przejaskny, srebrzysty. Gdy dyliżans żółto pomalowany turkotał przez uśpione ulice, domy uśmiechały się odświeżone zaranem tchnieniem wiosennego wietrzyku, jakies odmłodzone.

Niebawem wóz wytoczył się na bity gości-niec, kołysał nierówno wśród szmatów młodej zieleni. Turkot wydawał się wtórem świergotu wesółych skowronków, napelniających duszę pogodą majową.

W oddali zagrzmiały bębny. Groźne ich dudnienie zbliżało się, potężniało, nabierało twardych dźwięków wojennych i nacierało falą zaboreczą na dyliżans, atakowało ponurym loskotem.

Nadciągał do miasta bataljon landwery pomorskiej. Jeszcze jeden oddział wzmacniający załogę poznańską! Jeszcze jedna hultajska, bandycka zgraja, przywołana przez Colomba!

Jak grad łomotały buciska piechurów coraz dobitniej. Zaroiło się dokoła ekstrapocztę od granatowych mundurów i karabinów, od hełmów ze srebrnemi rozetami. Przykry świst

piszczałek rozdarł powietrze, zmieszał się z grzmiotem bębnow.

Zwichrzony hałas napelniał uszy, zalewał myśl wszelką brutalnie, potem nawałnica stopniowo opadała, oddalała się, głuchła.

Było to jakby deszcz, który zsiął duszę Wichury i ociekał po niej ciężkimi kroplami, oczyszczając skałę z prochów ziemskich, umacniając w poczuciu granitowej mocy.

Grzmot bębnow tych wziął Stach w siebie, jako wyzwanie i w odpowiedzi napiął grzbiet swój, lecz zdało mu się, że był to po grzeb zakwitłej w sercach a wcześniej gasnącej rzeczypospolitej poznańskiej.

X.

W cichym dworze wiejskim po śniadaniu pan Arsen Węgierski począł czytać na głos „Gazetę Polską“, która powstała w Poznaniu w dniu radości i nadziei: d. 24-go marca. Żona i dwie córki słuchały z najwyższem skupieniem, jak ewangelji. Niemniej stara guwernantka, Francuska, udawała, że rozumie coś niecoś, aczkolwiek w ciągu wieloletniego pobytu pod polskimi dachami nie nauczyła się wiele więcej nad „dopsze“ i „czen dopri“. Jedynie wtedy, gdy unosiła się gniewem na pokojówkę Wikcię, wyrzucała z siebie rączy strumień rzekomej polszczyzny: „Ty, Fikcia niegoczywa,

ja raz prosila... Ja powie pani: Fikcja bestja!“, co inkryminowana a bosa dziewczyna przyjmowała ze spokojem godnym stoików.

Uroczysta, pionowa zmarszczka wystąpiła na czole mademoiselle Helier. Zapatrzyła się w piękne oblicze pana Arsena, domyślając się, iż gazeta, niezbyt częsty gość w domu, przynosi wiadomości brzemiennie doniosłością.

Nawet sprzątająca ze stołu Wikcia odgađywała, że święci się coś wielkiego, gdyż drepowała na palcach i unikała hałasowania talerzami. A po chwili, złowiwszy uchem gwar nadchodzący ze strony gumien, odstawiła tacę na kredens i wybiegła na ganek.

Tumult zbliżał się, ogarniał skrzydło dworu.

Pan Arsen odłożył gazetę, lecz nie podniósł się, bo dokuczał mu atak podagry i nogę miał na krześle usłaną.

Wpadła Wikcia.

— Chłopy proszą, aby jaśnie pan do nich wyszedł — rzekła, jakby zadyszana, a Joasia przy oknie stojąca wyszeptała w osłupieniu:

— Pełen dziedziniec chłopów z kosami...

Pan Arsen dźwignął się z poważną miną i ruszył na ganek, obleżony dookoła przez las kos i pik, przez dwie setki młodych, czerstwych twarzy chłopskich.

Zaraz kilku z nich wstąpiło na schody. Pokłonili się nisko czapkami dziedzicowi. Jeden

starszy wiekiem w świątecznej katanie, ozwał się:

— My przyszli z Obornickich Olendrów, z Węgrzynka i Polanki... Powiadają, że Prusoki włóczą się i naszych zaczepiają. Kiedy tak, to my chcemy iść na nich... Dziedzic w Węgrzynku Miemiec, (osadzili go tam będzie szósty rok). I w Polance Miemiec, więc my do wielmożnego pana przyszli, coby nas poprowadził, jako że wielmożny pan, mówią, polski oficer, bił się pod Warszawą...

— Dokąd was poprowadzić?

— Na Prusoka! — krzyknął wiwatowo jakiś parobczak, a przewodca ich ciągnął:

— We Środzie nasi się gromadzą i do Mieścisk ciągną... Tamby my chcieli iść.

— Jakto? Z temi kosami chcecie uderzyć na wojsko, w karabiny zbrojne?

— Kosy ostrzone... My już nie chcemy być pod szwabskimi panami! Oni nie mają nad nami przewodzić! Niech się wynoszą na swoją ziemię z fajkami!... Prosimy, coby wielmożny pan zarutko nas poprowadził...

— Ludzie! — zawołał p. Arsen. — Na rzeź mam was prowadzić!?

— Jak nie — huknął zwalisty młokos — to my sami rznąć Niemców będziemy!

— Sam Ojciec święty pozwolił bić Prusaków! — derzucił inny chłop, a z gromady wystąpił widocznie podchmielony kowal bez czap-

ki, z koszulą pod szyją rozwartą, dzierżąc w ręku za całą broń tyczkę, drzewiec przypominającą i zakończoną niegroźnym gwoździem. Ze źrenic jego i umorusanego oblicza buchała gorzałka.

— Stawiliśma się wam ślachta! — rzucił buńczucznie i końcem piki, mierząc w pierś pana Arsena, dodał — Ale jak nas zdradzicie, to...

Krzyk wyleciał z drzwi dworu, pani Arsenowa i córki przypadły do dziedzica, przyłgnęły doń, jakby chcąc osłonić, i tak utworzyli grupę godną dłuta rzeźbiarskiego, zwłaszcza, że pan Arsen przybrał pozę monarszą, posągową.

Wspaniałym gestem, który wart był lepszej okazji, rozwarł na piersiach czamarkę i wystawiając się na cios piki swojskiego Sancho Panchy, wyrzekł pięknie, jak Talma:

— Jeżeli sądzisz, bracie, że cię zdradzę, to uderz!

Bohaterski ton podziałał cudownie. Napity demagog wiejski cofnął się na chwiejnych nogach. Pochwycił go za ramię stary kmieć i zatarmosił, wołając:

— Czego to chcecie, kumotrze, od dziedzica?

Chłop mamrotał coś o Prusakach, a pan Węgierski ozwał się kaznodziejskim głosem:

— Biłem się za ojczyznę, Prusaki na mnie sekwestr za to nakładali. Teraz mam dwóch synów w wojsku naszym i, gdybym mógł, walczyłbym w potrzebie z nimi... Więc chyba Polak jestem. Nie mogę jednak prowadzić was do obozu, bom niezdrów. Noga mnie boli. Ale idźcie do Bąblina. Napiszę wam list do starego oficera polskiego, sławnego wojaka, który tam bawi, a powiedzie was, jeżeli koniecznie chcecie.

Zrazu pan Arsen chciał przemówić do ich rozsądku, nakłonić do rozejścia się do domów, ale chłopstwo pałało żądzą bitki i pan Arsen czuł, że energia ta gdzieś wyładować się musi. W pierwszej chwili przyszła mu myśl, aby skierować ich do Opoki i oddać pod komendę Stacha, jednak znając chłopów, przypuszczał, że Stach, sam chłop, nie byłby miał wśród nich dość powagi. Pragnęli mieć na czele pana, szlachcica, żołnierza polskiego.

Pan Arsen kazał założyć fornalki do wozów i ładować na nie, co było na dworze z prowjantów. Dziewczęta jego pospołu ze służbą wynosiły worki grochu, kaszy, kilka pości słoniny, szynki i chleb świeżo dla czeladzi upieczony.

Widok tylu specjałów tak rozczulił pijanego kowala, że ramionami oblapując nogi dziedzica, bełkotał:

— Wielmożny dziedzicu! Jak z łaski twej se podjemy, to i na harmaty pójdziewa...

Ale nie miał miny Bartosza. Pan Arsen uśmiechał się pod wąsem, nie wierząc w heroiczną przyszłość kowala.

Wreszcie pomknęli żywo drogą do Bąblina.

Pan Mikołaj Dobrzycki przyjął ich z radosnem zdziwieniem. Stary wojak, przyszedłszy jako tako do siebie łowił wieści, rozchodzące się po Księstwie o wojsku, i markotność trawiła go dojmująca, iż nikt z wydziału wojskowego nie przypomniiał sobie o nim, nie przyzywał go do rady, do pomocy. A sam narzucać się nie chciał, wciskać w grono oficerów, gdzie rej wodził jakiś chłystek, oficerek rozpolitykowany, jakiś farmazon.

Zapomnieli o nim. Poczuł się zbyt czynnym w lamusie starzyzny, złożonym na odstawkę, a w krwi wojackiej gorzało jeszcze coś, co sprzeciwiało się starości. Uradował się przeto serdecznie.

Na słowa „prowadź nas“ rozprężyły się skulone członki, zagrały w nim dawne wspomnienia pobudką. Boże! Jakże on to prowadził szeregi polskie w straszny ogień rotowy! Prowadził je mężnie i chlubnie w tyłu okazjach! I gdy stanie przed tronem Najwyższego za odkupienie grzechów swych i nieprawości, powie to jedno z ręką na sercu:

— Panie! Nie uląłem się kuli, nie uląłem się śmierci za ojczyznę...

Ale nie prowadził jeszcze w bój chłopów samych, tych malutkich, zaledwie objętych mianem „Polska“. Snadź losy zachowały to dlań na koniec żywota, jako wieniec z kłosów prostaczej, przeczystej, nieustraszonej miłości kraju uwity.

Nie porwali się oni do kos na skutek obiecanek komitetu narodowego, który w dwu swych odezwach znosił ciężary własności chłopskiej, darowywał pańszczyznę, przyrzekał nagrodę tym, co służywszy w wojsku pruskim, wstąpią pod chorągiew narodową. O tem niewiele wśród ludu wiedziało. Zanim jeszcze komitet wydał ten manifest, lud zrywał się z wędzideł, zionął nienawiścią do teutońskich ciemieżców i witał „jutrzenkę swobody“, tak jakby widział za nią „zbawienia słońce“.

I teraz ów lud obywatelski przychodził z własnego popędu do starego żołnierza, aby wiódł go w szeregi polskie, aby wpisać imię „lud“ w księdze narodu...

Nie okazując po sobie radości, pan Mikołaj przywdziewał odświętną czamarę. Wzwał palone buty, przypasał damascenkę po ojcach, pistolet włożył za pas, na głowę konfederatkę i przypiął na pierś krwią swą opłacone ordery: legji honorowej i *virtuti militari*.

Nie chciał słyszeć o wsiadaniu na bryczkę; zajął na niej miejsce leśniczy, zawołany strzelec, który przyłączył się do ochotników. Pan

Mikołaj zaś gramolił się na wałacha trakeńskiego, skarogniadego, aby młode przypomnieć sobie czasy, drugiego zaś wierzchowca kazał przywiązać do bryczki i stanął na czele kosynierów.

Południe mijało, gdy oddział wkroczył na bity gościniec, wiodący do Obornik. Słońce świeciło pięknie, dogrzewało, wiosna była w powietrzu i na polach, zasłanych młodą zielenią.

Rozmarzyła się głowa sędziwego majora. Majaczyło mu się coś, że nie ciągnie do obozu, lecz na bitwę z oddziałem wypróbowanych żołnierzy, aby skruszyć jedną z kolumn ruchomych Colomba, które włóczyły się, zaprowadzając „porządek“, czyli dopuszczając się gwałtów. W starym łbie snuły się plany spotkania, wydawał rozkazy w myślach, śnił ostatnią swoją batalję i uśmiechał w rozbudzonej duszy do złotej wiktoryi.

Na wyniosłym wzgórzu, na które piał się gościniec, wyrósł raptem jakby z ziemi barwną plamą tłum jakiś.

Dobrzycki, przysłoniwszy oczy dłonią, wyteżył wzrok, lecz nie mógł rozpoznać, co to za zgraja ludzi, gdy jeden z chłopów huknął wesoło:

— A wej, to nasze baby!..

Śmiech przeszedł dreszczem przez szeregi. Istotnie, okazało się, że chmara kobiet —

żon, matek, córek kosynierów — wyruszyła na ich spotkanie, niosąc swym chłopom w chustkach i koszykach żywność: jaja, kołacze, kiełbasy.

Przypadły do nich z wielkiem języków trzepaniem, niby stado gęsi. Ale kosynierzy wskazali na wóz obładowany żywnością.

— Czy to myśłita, że nam panowie głód dali?

— Weźtą sobie same to jadło!

— My ta wnetki pruskie sadło topić będziemy i łać na ogień kuchenny; mięso sobie smażyć rarytne!

Kobieciska żalosnem okiem wodziły po „swoich“, żrenice wilgocią im zachodziły, szkliły się łzami. Niektóre, targając swych chłopów, mamrotały im cosik na ucho, półgębkiem wzywały ich do powrotu doma. Jedna i druga, niemowlę z pod chusty wytykając, tym sposobem zmiękczyć chciała chłopą, ale jakoś żaden nie oderwał się od gromady. Może ten i ów byłby uległ, ale wstydził się. Bo jakże? Dopieroby to kumotry natrząsali się z niego, a ludzie we wsi, pod bołi biorąc, pękali od śmiechu i bez rok lub dwa wymawiali.

Więc uściskawszy kobietę, pogłaskawszy dziecko, chłop zbierał się i szedł dalej, a baby ostały na drodze zagapione, zbite w stado barwnych ptaków opuszczonych.

— Zaśpiewajcie sobie! — krzyknął z konna pan Mikołaj, aby osłodził sobie rozłąkę śpiewem, i natychmiast któryś zaintonował:

„Kto się w opiekę podda Panu swemu...”.

Rozlał się śpiew miękkim potokiem na pola, niejako błogosławiąc oziminy nabożnych dusz tchnieniem. A z oddali echem odpowiedział zespół cienkich głosów niewiast, które porwały tę nutę żarliwie, jakby z serc swych wyjętą.

Przyklekły na drodze, i żegnając łzami oddalającą się procesję, niosły modły za swoich, wyanielone uczuciem. Lazury sklepienia rozstaczały się nad niemi przeolbrzymim baldachimem i chłopcy, baby i ziemia cała zielona była jak kościół, w którym jedna mieszka dusza, na skrzydłach Miłości pod niebo wzniesiona.

Hymn polskiego ludu padał na „żale” wśród pól, gdzieśniedzie znaczące się kręgami głazów omszałych, okwieconych — na odwieczne kurhany słowiańskie, kryjące w głębi urny i popioły, zwiastując im zmartwychwstanie piastowskiego chłopstwa do samowiedzy narodowej.

„Kto się w opiekę...” konało za wzgórzem, skąd kosynierzy ujrzeni miasteczko, nad Wartą i rzeczką Wełną położone.

Major nie przyznawał się, że konna jazda, a może i podmuch wiosennego powietrza znu-

żyły go. A wsiąść na bryczkę nie chciał, sądził bowiem, że ujawniając słabość, wyda się niegodnym pokładanego w nim zaufania. Wszelako zaordynował postój w Obornikach.

Polskość panowała tam niepodzielnie. Orzeł pruski przeobraził się w polskiego poprostu w ten sposób, że odłupano mu koronę z głowy i przemaalowano na biało. Nigdzie nie było widać żandarma, ani urzędniczej czapki. Kilka rodzin niemieckich wyniosło się zaraz w pierwszych dniach po rewolucji berlińskiej, gdyż przeraził je śmiertelnie jakiś figlarz, który, zatknawszy biały szmat płótna na drzewcu, przejechał konno przez miasto, zapowiadając godzinę rzezi Niemców. Wyjechali pośpiesznie za granicę Księstwa, aby tam fantazji puściwszy wodze, opowiadać smalone duby o gwałtach ze strony Polaków, o rabunkach i pożogach. Lamenty „uciśnionej“ niemczyzny, oraz deputacje, domagające się wcielenia odnośnych miast do Rzeszy, spowodowały taki przewrót w usposobieniu Berlina, że na ulicach, gdzie fraternizowano z Polakami, niebawem zbierano składki na oddziały ochotnicze przeciwko nim.

Skoro pan Mikołaj zsiadł z konia przed gospodą, wysłał bryczkę do pobliskiej Opoki po Stacha Wichurę. Chciał bowiem mieć przy boku świetnego strzelca, który tak dobrze zapisał się w jego pamięci w miesiącu lutym, a po

swym do rodziców powrocie odwiedzał go w Bąblinie.

W toku długich gawęd z majorem, Stach żądny wiedzy rerum militarium, zarzucał go pytaniami, informował się, jak w pewnych wypadkach winien sobie radzić żołnierz, i przez to jeszcze większe zaskarbił sobie względy Dobrzyckiego.

W Opoce Stach niecierpliwił się. Brak wyraźnego celu przed sobą, który zbliżałby go do upragnionej z Prusakami rozprawy, napełniał go niezadowoleniem. Z werbowaniem ochotnika spóźnił się, gdyż co zapalczywszy młokos już był zaciągnął się pod chorągiew. Inni słuchali go chętnie, głowami kiwali, ale czuł, że za nim nie pójda, wodzem swym nie okrzykną.

Uczepił się go jedynie parobczak, u starego Wichury służący, Jędrak, zwany Glapą. W bójce jakiejś straciwszy lewe oko, drugiem wytrzeszczowatęm wwierał się w twarz z taką jak wrona tępą osłupiałością, że przeważano go „gapą“, czyli „glapą“, chociaż gapowatość nie należała wcale do cech sowizdrzalskiego chłopaka. Gdy go kto zaczynał uszczypliwe słowem, mawiał:

— Miarkujta sobie: Glapa, to ciężka łapa.

Zwinny był, muskularny i w różne szlachetne talenty wyposażony. Wskrobywał się na drzewa jak kot, przez rowy suwał jak piłka i świstał przez palce tak mocno i przeraźliwie,

że jak zapewniał, „djabły w piekle słyszą i drżą ze strachu, jakoby od frybry“.

Stacha miał on w estymie nadzwyczajnej. Podobał mu się jego strój „panowy“, jego pewność siebie i olśniewały go stosunki ze szlacheckimi dworami. Gdy Stach pokazał mu karabin, począł tłumaczyć z jakiego jest drzewa i stali, a wreszcie pukać do wron, Jędrrek otwierał gębę jak szczupak i upatrzył sobie w nim wzór, godzien naśladowania.

Na wezwanie majora Stach, nie popasając, gotował się do drogi żywo. Jednakże w ostatniej chwili gdy popatrzył na sześćdziesięcioletnie matczyisko, wiecznie zapracowane, nie dosypiające, nie dojadające i przedwcześnie zestarzałe, ckliwo zrobiło mu się na sercu. Miał dla niej zawsze czułą strunę w piersi; jako gimnazjasta przyjeżdżając na wakacje, przywoził jej z Poznania to pierników, to chustkę lub trzewiki.

Rozprzegł się w nim hart; brał obraz matki w duszę synowską miłością, pierwszy raz w życiu uświadamiając sobie, jak bardzo była mu drogą.

— No już jadę... — mruknął, szarpiąc płowy wąs i zbliżył się do niej nieśmiało jakby do ołtarza.

Wichurzyzna podniosła nań siwe, duże oczy wylęknione.

— Jedziesz?.. — wymamrotała i scichła, poddając się losowi z chłopską rezygnacją. Wargi jej drżały, jak listki osiny, dźwięku żadnego nie wydając.

Przez chwilę stali naprzeciwko siebie, spojrzeniem mówiąc sobie coś z tego, co błakało się w sferze ich podświadomości. Wreszcie Stach rzekł:

— Ostawiłem w skrzyni książeczkę na cztery tysiące dwieście talarów. Niech matka książeczkę zaraz sobie weźmie i dobrze schowa, a jakby mnie tam co spotkało, to dzięki sobie otrzyma.

Zamknął ją całą w ramionach i trzymał przy piersi mocno przywartą, dygocącą. Trwali tak w splocie skuci potężnym dreszczem.

Wreszcie Stach oderwał się, zarzucił na ramię jeden karabin i drugi, ujął w rękę małą walizkę i zatrzymał się w progu.

Oczy ich spotkały się jeszcze.

— Weź, Stachu, choć szperkę do jedzenia na drogę — wyrzekła kobiecina.

Siny strach wyzierał z jej źrenic i ręce drżały.

Syt jestem... Ostańcie z Bogiem matko!..

— Niech cię Bóg... W Imię Ojca i Syna i Ducha Świętego. Amen.

Wyszedł. Za progiem coś go szarpnęło za piersi, zatrzymał się ze wzrokiem martwo w ziemię utkwionym, gdy przyskoczył doń Jędrak.

Odkąd bryczka przyjechała po Stacha, wałęsał się on koło chaty, ukradkiem tłumoczek spakował, a teraz obcesowo oświadczył, że pojedzie z nim „w świat“.

— Czyżes ty docna ogłupiał, ty durny! — wpadł na niego Stach. — A co ojcowie poczęliby bez ciebie?!

— E!.. Mało to glap chodzi po polach? Złapią są jedną. A mnie się przykrzy, bom glapa.

— Chcesz do wojska?

— Hale! — zawołał Jędrrek zuchowato.

— Potrzebnyś tam jak dziura w moście!

— I dziura w moście potrzebno, aby Niemiec w niom wlecił i szkiełkę sobie złamał.

Po namyśle Stach rzucił:

— To ruszaj do ojca z gębą! Może cię puści. Jędrrek tak staremu Wichurze naszwargotał, tak coś zaprzysięgał, iż gospodarz rad nie rad zwolnił go i talara w łapę mu wcisnął.

Niebawem ze Stachową ładownicą i karabinem między nogami siedział obok stangreta na koźle i pyski mu się śmiały. Pysznił się ich szpetnością.

W drodze do Obornik zwrócił się do Stacha i wskazując palcem na łąkę, oskrzydlającą sznur zabudowań proboszczowskich, zawołał:

— A wej tam koniki księżę!..

— To i co z tego?

Łajdacki uśmiech wykrzywił gębę Jędrka.

— Ten spaśny konik gniady to rychtyk dla ułana. A ksiądz Miemieć nie do...

To rzekłszy, susem zeskoczył z kozła i karabin poniechawszy, prysnął w mig na łąkę proboszcza, „wasserpolaka“, który serc parafjan skaptować sobie nie umiał. Tem więcej Jędreć czuł się upoważnionym do konfiskaty konia na rzecz wojska polskiego.

Wyrwał z murawy kołek, do którego koń był przywiązany, zarzucił sznur na kark jego, wskoczył na grzbiet i piętami go bodąc, pokłusował do Stacha, który wylał mu na łeb ceber wyzwisk.

Nic sobie z tego nie robiąc, Jędreć wyszczerzył zęby i zanucił na nutę krakowiaka:

W zielonym gaiku
Ptaszkowie śpiewajom,
Już mego Jędrka
Na wojnę wołajom:
A siodłajże, siodłaj!
Konik osiodłany...
Komu mnie ostawisz,
Jędrusiu kochany?...

XI.

Kosynierzy rozłożyli się biwakiem na dziedzińcu oberży i gwarzyli z mieszczanami, a pan Mikołaj wypoczywał w pustej, piaskiem wysypanej izbie przy szklanicy grzanego piwa w towarzystwie leśniczego, Jana Rojewskiego.

Gwałty kolumn ruchomych Colomby i wrogie usposobienie niemczyzny względem Polaków taką przepoiły nienawiścią spokojnego mieszkańca lasów, że obowiązki swe synowi przekazawszy, rzucił dom i rodzinę, aby odpłacić Prusakom „za wszystko“.

— Sam dwa tygodnie temu w Wągrówcu bratałem się z Niemcami — mówił Rojewski. — Ściskali się z nami, zaprzysięgali przyjaźń, pisali odezwy, godząc się w nich na „sprawiedliwość i równouprawnienie Polaków“, a zdradę knowali. Krzyżackie nasienie! Wierzyłem im, uwierzyli inni, głupi!.. Teraz wydało się, że nas do niczego dopuścić nie chcą, boją się, aby Polak urzędu im nie wydarł! I co dokazują te kulturtregery! Pisał mi brat z Szubina, że tam urzędnik Kramer rozgłasza między ludem, iż szlachta dąży do przywrócenia pańszczyzny i poddaństwa. Zachęca ich do mordów i sam z watahą rabusiów poczyną zabijać bezbronných ludzi... Podobałoby się Prusakom, gdyby lud urządził tu taką rzeź galicyjską, bo zagarnęliby po panach majątki. Ale niedoczekanie ich! Poznały się chłopcy na pruskich dobrodziejach... Żandarm pod Wągrówcem głosił, że jak komu się spodoba, to może pana swego zabić „jak psa wściekłego...“ A ja kumałem się z tymi łajdakami! Zapłacę im za to, zapłacę... — powtarzał z zawziętością, nie mogąc darować sobie, iż ślubował przyjaźń zdrajcom.

Dobrzycki inny nadał kierunek rozmowie. Zagadnął go, w jakich bitwach brał udział w roku 31-ym i Rojewski począł rozwodzić się nad świetną szarżą szwadronu poznańskiego pod Rajgrodem, która, jak twierdził, przewyższała somosjerską.

Trzask kół po wyboistym bruku przerwał gawędę. Zatrzymał się przed oberżą kocz, z którego wysiadło dwóch w płaszcze wojskowe otulonych mężczyzn.

W jednym z nich rozpoznał Dobrzycki natychmiast dobrego swego znajomego z dawnych czasów, pułkownika Brandta, który nie mógł domyślić się w przygarbionym starcu, z siwą brodą patryarchy, dziarskiego oficera i przyjaciela, co ongi przy jego boku potykał się bohatersko z Hiszpanami. Czas strawił wszelką świetność przeszłości zamierzchłej, pozostawił ruinę człowieka z dwoma orderami na piersi.

Machinalnie przytknąwszy palce do czapki, pułkownik powiódł obojętnem spojrzeniem po majorze i zajął miejsce przy innym stole z jenerałem Willisenem, chudym, dystyngowanym mężczyzną o wygolonej, suchej, ładnie rzeźbionej twarzy.

Przysłany przez króla generał Willisen miał misję ukształtowania stosunków w Poznańskim zgodnie z obłudnymi przyrzeczeniami monarchy, a więc w myśl postulatów

polских. Długie lata spędziwszy w Anglii, Wilisen nasiąkł tam pojęciami liberalnemi i różnił się niezmiernie od całej prusaczyny, a na pośrednika między Polakami a Niemcami nadawał się tem więcej, że żywił dla narodu polskiego zawsze sympatje, które przejawiały się w jego książce o powstaniu polskim z r. 1831.

Ze strony Polaków doznał on w Poznaniu dobrego przyjęcia; poczytywano go za przyjaciela, natomiast Niemcy i Żydzi, głośno nienawiść swą do Polaków objawiający, ciskali mu kamienie pod nogi na każdym kroku. A brutalny gen. Colomb, komendant korpusu poznańskiego, i gen. Steinaecker, komendant Poznania, kopali pod nim dołki, oskarżali go w Berlinie i na własną rękę prowadzili politykę prowokacyjną, obracając wniwecz ugodowe jego zamiary.

Generał kazał podać piwa i śniadanie, poczem Brandt ozwał się do niego:

— Da sehen Sie, Exzellenz! Z Polakami nie przyjdziemy do końca drogą układów. Podjąłem się inspekcji obozów polskich, chociaż doprawdy mi się to uśmiechało, i zaraz na wstępie spotkałem się z przeszkodą. Komisarz średzki, Anastazy Radoński, napisał mi wyraźnie, że jeżeli zjawię się w Środzie, nie ręczy za moje bezpieczeństwo.

— Nie dziwię się temu wcale — rzekł generał chłodno.

— Jakto, ekscelencjo?

— Pułkownik oczekiwał, aby przyjęto go-
tani z otwartymi ramionami? Nie rozumiem,
jak generał Colomb mógł panu dać takie zlece-
nie. Zważmy położenie rzeczy w Środzie!
W Jarosławcu ja toczę układy w sprawie zor-
ganizowania przyrzeczonej przez J. Kr. Mość
dywizji polskiej, a jednocześnie 14.000 wojska
naciera na Środę, landwerzyści napadają na
Środę, landwerzyści napadają na kosynierów
rozbrojonych, znęcają się nad nimi. Więc ukła-
dy pod grozą bagnetów i ekscesów!.. Gdy
przeto przyszła do Środy wieść, że Polacy
ustąpili to miasto naszym wojskom, to niepo-
dobna, aby witano tam jak przyjaciela inspek-
tora, mającego przekonać się, czy stało się
zadość ugodzie jarosławieckiej... Wszystko
składa się na to, aby podsycać głęboką nieuf-
ność Polaków, i przykro mi wyznać, że jen.
Colomb idzie na rękę polskim żywiołom rewo-
lucyjnym.

— Istotnie wybryki landwerzystów są
oburzające. Barbarzyństwo tej tłuszczy równa
się ich zupełnej dezorganizacji. Wyłamują się
z pod wszelkiej dyscypliny.

— Mimo to uznaje pan za rzecz właściwą,
gdy jen. Colomb wysyła te hordy przeciwko
Środzie! Zamiast tego, zamiast zakłócać bieg
układów mych w Jarosławcu, lepiej byłoby,
gdyby generał wziął ich w rzyż egzercerunku

pruskiego i wyszkolił ich na porządnym żołnierzy.

— Jednakże aroganckie pretensje Polaków w zarodku trzeba hamować akcją wojska.

Willisen uśmiechnął się na to cierpko i rzekł z goryczą:

— Pragnę tylko jednego, t. j., aby generał Colomb nie popierał mnie w moich rokowaniach z Polakami... Już ja z nimi dojdę do końca daleko łatwiej bez jego pomocy... Zadanie moje byłoby stokrotnie prostszem, gdyby Niemcy tutejsi okazali tyle dobrej woli, co Polacy. Niestety, generał Colomb wychodzi z założenia, że „nie pakuje się z buntownikami“ i postępuje w tym duchu...

Pułkownik Brandt zamilczał. Zapalił cygaro i dopiero po chwili rzekł:

— No, zobaczymy, czy Polacy zastosują się ściśle do stypulacji ugody jarosławieckiej, i czy ich cztery obozy nie staną się czynnikami fermentu.

Generał Willisen spozierał w twarz jego badawczo.

— Obawiam się, że generał Colomb postanowił dopatrzyć się złamania konwencji jarosławieckiej za każdą cenę — mruknął.

Fragmety rozmowy ich, jakkolwiek przytłumionym prowadzone głosem, dolatywały uszu Dobrzyckiego i Rojewskiego. Dowiedzieli się z tego, że stanęła jakaś konwencja w Ja-

rosławcu, a w Środzie zaszły wypadki doniosłe. A pan Mikołaj właśnie tam chciał poprowadzić kosynierów.

Postanowił zatem zbliżyć się do dawnego swego znajomego a nawet przyjaciela, aby dowiedzieć się o wszystkim.

Willisen kończył zimne śniadanie w milczeniu, Brandt puszczał kłęby dymu, gdy pan Mikołaj podszedł do ich stolika.

— Pułkownik mnie nie poznaje?.. — ozwał się po polsku, patrząc w oczy Brandta, który widocznie zdziwiony, ogarnął postać starca długiem spojrzeniem i bąknął:

— Rzeczywiście nie przypominam sobie...

Lecz w tej chwili pochwycił błysk źrenic Dobrzyckiego i zawołał:

— Czyżby?!.. Dobrzycki?

Zerwał się z krzesła i począł ścisnąć jego rękę, lotem błyskawicy przeobrażony do niepoznania. Ucieszył mu się serdecznie i szczerze.

— Co za niespodzianka? Cóż cię tu sprowadza?.. Góra z górą się nie zejdzie, ale przyjaciel z przyjacielem. Siadaj!

Zapoznał go z jenerałem, usadził obok siebie i mówił wesołym tonem po polsku.

— Tam do diabła! Nie wídzieliśmy się kupę lat! Poczekajno... Ostatni raz... W szereгах drugiej kompanji wołyżerów pod Saragossą, prawda?

— Tak, tak... potwierdził Dobrzycki, kiwając głową smętnie, a przed oczyma duszy pułkownika rozpostarł się w całym bogactwie barw obraz tej bitwy krwawej i przeniósł go w inny świat.

— Pamiętam cię, widzę jakby dzisiaj szturmującego na czele roty na fort San Jose! Dzieliło nas od siebie tylko kilka szeregów. Gdy stanąłeś na murach z sztandarem w ręku, wydałeś się nam Napoleonem! Ryk powstał triumfalny i jak burza waliliśmy naprzód...

Rój tych wspomnień żołnierskich obiegł starego weterana, z każdego słowa, które słyszał, buchał nań upał jakiś przedziwny, topniało w nim wszystko. Ręce poczęły mu drżeć febrycznie, blaski migotały po licach, ognie chwyciły go za włosy.

Brandt popatrzył z żalem na złamanego, zgarbionego staruszka, a ongi miłego, kochanego towarzysza broni, który wyszeptał:

— Dostałem się do niewoli po niefortunnej wycieczce generała Huberta pod Mouzon i od-tąd...

Bezmiar niedoli przeżytej nasunął się czarną płachtą przed pana Mikołaja, zaparł mu oddech. Po chwili dopiero opowiedział Brandtowi koleje swego losu, potracił o czarne dni więzienne w Zamościu i Bobrujsku, gdzie wyschł, strupieszał.

Tymczasem generał Willisen, niewiele rozumiejąc po polsku, wydobył z teki swej papierozy i począł coś kreślić.

Przyjaciele zaś rozmawiali. Skoro Brandt posłyszał o kosynierach, ostrzegł Dobrzyckiego, aby nie zapuszczał się do Środy, gdyż obóz został rozwiązany. Gdyby zaś natknął się w drodze na jakiś oddział pruski, poczytanoby go za napastnika. Jeśli Dobrzycki chciał koniecznie wcielić swych kosynierów do jakiego obozu polskiego — mówił pułkownik — to jedynie wskazanem było, aby udał się do Mieścisk, jako najbliższej położonej i zalegalizowanej placówki wojska polskiego. Jednakże odradzał mu i tego, nie mogąc wydziwić się, że dał się wyrwać z ciszy dworu wiejskiego.

— Każdy stary żołnierz na mojem miejscu postąpiłby tak samo — rzekł na to pan Mikołaj, lecz uderzyło go, że jednak Brandt, oficer pruski, musiał innem patrzeć okiem na sprawy polskie. — Każdy polski żołnierz, chciałem powiedzieć... Ty co innego. Zostałeś Niemcem...

— Zawsze nim byłem — odparł pułkownik.

— Zawsze byłeś Niemcem?.. — powtórzył Dobrzycki i począł przypominać sobie, że Brandt jako żołnierz polski uchodził za Polaka i sam głośno twierdził, że nic polskiego nie jest mu obcem.

— Oczywiście Niemcem! — zawołał Brandt.

Pan Mikołaj miał ochotę zauważyć, że jeżeli tak, to doskonale udawał Polaka, ale po zastanowieniu rzekł:

— Uszanuję w tobie przywiązanie do pnia rodzinnego, ale mam nadzieję, że i ty uznajesz miłość kraju w Polakach, ich prawo do życia jako Polaków na tej polskiej ziemi...

— Ależ naturalnie — byle zgodnie z wolą króla jegomości. Do dziś utrzymuję poniekąd dawne stosunki z polskimi domami. Mój drogi Mikołaju, zrób mi tę przyjemność i zostań ze mną! Poniechaj kosynierów, niech rozejdą się do domów! To nie ma sensu... A my pojedziemy do Poznania. Moja żona i synowie ucieszą się twem przybyciem niezmiernie. Pod moim dachem będziesz bezpiecznie zażywał zasłużonego spokoju. Jeszcze nieraz będziemy sobie przy węgryźnie wspominali nasze dobre, młode czasy, stary przyjacielu...

Serdeczna nuta grała w jego głosie, lecz pan Mikołaj, wsparłszy głowę na rękę, popadł w posępną zadumę.

— Nie, Henryku!.. — rzekł wreszcie z mocą. — Nie masz prawa nazywać mnie już przyjacielem, dopóki nie okażesz się przyjacielem Polaków, wśród których urodziłeś się, wzrosłeś, z którymi nawet pospołu walczyłeś... Mundur, jaki nosisz, musi nawet mnie, daw-

nego towarzysza broni, przejmować nieufnością... Jako Niemiec dosłużyłeś się wysokiej rangi, zostaniesz pewnie wkrótce generałem... Ha! jako Polak byłbyś dosłużył się kazamatów, tułaczki, poniewierki i przedwczesnej siwizny... No tak, Niemiec jesteś, ale pokaż, że jesteś istotnym, wiernym przyjacielem tych, co ciebie za przyjaciela mieli, a wtedy pojedę do ciebie w gościnę chętnie jako do starego druha, z którym niejedno się przeżyło, nieraz hulało, nieraz w ogniu stało i śmierci w oczy patrzyło...

Pułkownik przybladł i wyraz tępej martwoty osiadł na kościstej jego twarzy.

— Ty niezawodnie zostaniesz wnet generałem... mnie już większy zaszczyt spotkać nie może nad to, że stoję na czele kosynierów. Więc nie dziw się, że ich nie opuszczę... Nigdy nie uciekałem, a byłbym dezterterem sprawy polskiej, gdybym poniechał nasz lud...

Stary wojak dźwignął się na nogi i podał rękę pułkownikowi.

— Dziękuję ci za serdeczne zaproszenie... Przykro mi, że pod inną stoisz chorągwią — dodał z łzą w oku Dobrzycki i niebawem drzwi zamknęły się za nim.

Wyszedłszy na dziedziniec, major mruzczał pod nosem do siebie:

— Przyjacieli!.. Pokaż, bratku, teraz, jakiś przyjaciel!.. Nigdy lepszej nie było okazji.

Zapytał się o Stacha, odszukał leśniczego i gawędził z nim o Brandt'cie, który tymczasem odjechał z Willisem.

Gdy nareszcie zjawił się Wichura, major jakąś gorączkową trawiony niecierpliwością, kazał kosynierom gotować się bezzwłocznie do dalszego marszu, napędzał ich, jak pastuch gęsi, formował w szeregi, strofował gapowatych. Jętcze teraz wzbraniał się przed zajęciem miejsca na bryczce; pragnął przedstawić oborniczanom oddział kosynierów niaby poważną siłę zbrojną. Poleciał przeto Stachowi, aby dosiadł drugiego wierzchowca i tak jechał przez miasto, zamykając pochód wraz z Jędrkiem.

Jednakże w chwili, gdy kosynierzy mieli ruszyć, nadbiegł proboszcz Erlich rozszokowany i wytoczył sprawę kradzieży swego gniadosza. Na jego widok Jędrak miał ochotę czmychnąć, ale Stach przytrzymał go za kark. A major, wysłuchawszy księdza, rzekł:

— Mógłby ksiądz proboszcz konia tego ofiarować na dobrą naszą sprawę...

-- Toż komisarz powiatowy zapłaci księdzu za niego — dorzucił Rojewski.

Proboszcz zastanowił się i gdy Dobrzycki odezwał się jeszcze do obywatelskich jego uczuć, zgodził się pozostawić konia Jędrkowi.

Pan Mikołaj uważał, że zbyt długo zajmował się błahą tą sprawą. Poleciał zatem Stacho-

wi, aby wypisał proboszczowi kwit za odebranie konia, oznaczył jego wartość i posłał księdza z tem do komisarza powiatowego. Mógł był wprawdzie sam zaspokoić pretensje proboszcza, gdyż oszczędny, nawet skąpy starowina miał na piersiach pod koszulą woreczek z dwustu dukatami w złocie, ale nie zdradzał się z tem. Chował uciulane grosze na jakąś „czarną godzinę“.

Pozostawiwszy Stacha, leśniczego i Jędrka z proboszczem w oberży, ruszył stępem na czele kosynierów z obnażoną karabelą, wystawiając się tak na widok gawiedzi, wałęsającej się po rynku. Wyprostowany w siodle, o ile się dało, przedelfował przez miasteczko i znikł w krótkiej uliczce, wpadającej na łąki nadwarzańskie, oskrzydlające wąskim pasem łuk napół wiejskich, niewielkich domostw, sadów i opłotków.

W odległości około dwustu kroków od rynku, droga ta bezdrzewna wspinała się na most drewniany i na drugim brzegu Warty przeobrażała w żwirową aleję, gęsto wysadzoną wyniosłymi topolami.

Rasowy wałach Dobrzyckiego prychał raźnie, jakby czuł za sobą las błyszczących kos i radował się zastępem ludu pospołu ze starym weteranem.

Nagle zarżał, wydłużając gibki kark, a jednocześnie nadleciały z oddali głosy jakieś

rozwiejne, w błotnistej alei podniósł się chrzest butów, mętny rozhovor uruchomionego, sfornego tłumu.

Przed oczyma majora zamigotał wąż zszergowanych mundurów pruskich.

Pełzał żwawo, zbliżał się do mostu. Jeszcze chwila, a dwa ciała zbrojne spotkają się, zderzą.

Czy zatrzymać kosynierów? Ustąpić na bok przed kolumną pruską? Przepuścić usłużnie panów i władców, przeczekać, aż przekroczą most i salutować ich pokornie?...

Bez wahania Dobrzycki ścisnął boki konia i rażnym stępem wzniosł się na most. Zaczerniła się przed nim zgiełkliwa, rozdrzana łuska najeżona bagnetami.

Koń i jeździec stary, patryarchalny, wyrósł w pośrodku mostu dumnym posągim przed bataljonem landwery. Rogatywka, czamara, karabela na tle migotliwych kos.

Wtem, bez komendy, świsnęła kula...

Sędziwy wojak rozkrzyżował ramiona i stoczył się z siodła bez życia...

Huknęła salwa strzałów. Koń majora stanął dęba i runął, kilku chłopów legło na ziemi.

Ciemny wąż wtoczył się na most, rozpręglł się, rozsypał. Rabowano trupa, reszta parła naprzód w rozrzuconą tłuszczę kosynierów, pozbawionych głowy, oszołomionych.

Patrzyli na to z wylotu uliczki Stach, leśniczy i Jędrak.

Zrazu wszystko koszmarem im się wydało; obraz śmierci wiarusa zamroczył umysły. Zajęczały ich serca, jak organy, nad końcem weterana z pod Somosierry, świetnego wojaka polskiego, którego śmierć długo, długo szukała po szerokim świecie, aż wreszcie skosiła. Rozdarła pierś rycerską kulą rozbójniczą, ale usłała go na ojczystej ziemi..

Stach ocknął się raptownie, zlustrował w okamgnieniu nad łąką rozsypane domki i syknął przez zęby imperatywnie:

— Jędrak za mną!

Zawrócił konia na zadzie i wpadł w uliczkę. Jędrak i turkot bryczki biegli za nim.

Zatrzymali się przed pierwszym, narożnem domostwem. Stach zeskoczył z siodła i znikł w sionce, przeszywającej domek naprzestrzał.

Uchyliwszy drzwi, na ogród warzywny wychodzące, patrzył, co dzieje się na łące, na grobli i na drodze, głuchy na kroki i głosy za plecami.

Zmieniał się w łuk, tytaniczną wolą napięty i patrzył blady, kamienny, skryształizowany w samem rdzeniu najwyższej żądzy, wszystkie uczucia gaszącej kategorycznie — żądzy zemsty. Głęboka powaga leżała na ryśach jego i pod głazem jego granitowej duszy,

w której nie było ani świadomości niebezpieczeństwa bliskiego, ani strachu, ani myśli żadnej. Nic, tylko poczucie, zamykające wszystkie kwestje i obrachunki życiowe jakby na zawsze — poczucie, że wybiła jego godzina.

Zastała go godnym...

Mocnym jak śmierć.

Widział jakby na scenie teatru kilkunastu chłopów, biegnących do miasta. Reszta cofnęła się na groblę. Zadzwoniły kosy, zagrzmiały karabiny, łysnęły ogniki i kilku ludzi runęło na zieloną murawę pobrzeża. Potem rozpoczęła się gonitwa. Odrywając się od grupy po kilku, chłopci ratowali się ucieczką.

Wichura objął wzrokiem zaniedbany, niemal nagi ogródek, jaki miał przed sobą. Kilka nędznych krzewin agrestu znaczyło zachwaszczony chodnik. Na skraju zagonów strażowały dwie stare grusze o chropowatej, gąbczastej korze. Jedna z nich na prawo wysunięta, rozszczepiała się na wysokości torsu w dwa potężne ramiona. Przy boku jej prawym leżało równolegle z drogą kilka na łokieć wysokich zwałów desek, zapewne na oparkanie ogrodu przeznaczonych.

Stach zdjął z ramienia broń.

— Jędre! Drugi karabin i ładownica!

— Jesta! — wybełkotał chłopak, drżąc jak wiecheć wiatrem miotany, i skulił się za plecami Stacha, zmalał w kukłę pocieszna.

Za nimi leśniczy nabijał dubeltówkę.

Uniósłszy głowę, spotkał wzrok Stacha. Promienie ich źrenic zwarły się; w tem spojrzeniu zamienili uścisk bratni, jak przysięga mocny — uścisk pożegnalny straceńców, bohaterów.

— Za ich przyjaźń, psiakrew...

Pomruk utonął w brodzie Rojewskiego, a Stach, huknąwszy jak na psa: „Jędrak!“, skoczył pod rozdwojoną gruszę, przyczaił się za nią i wymierzył.

Strach trząsał łydkami i zębami chłopaka taki, że nie byłby wychylił łba z sionki, gdyby nieubłagana determinacja Wichury nie była wzięła go za włosy i prowadziła jak kundla na smyczy.

Pobiegł za nim, padł plackiem na ziemię pod mur desek, tuż o krok od Stacha i, sam czując, co mu robić wypada, począł szybko nabijać drugi karabin Stachowy, dzwoniąc zębami i mamrocząc modlitewnie:

— O! laboga... O! laboga świętego.

A po grobli migały w jednej linii mundury pogoni, niebawem cały łańcuch biegnących snuł się, drgał przed pozycją Stacha.

Z pod gruszy padł strzał — żołnierz pruski padł, nakrył się nogami.

Stach wyciągnął ramię w stronę Jędrka, oddał mu karabin, wziął odeń nabity, wycelował, strzelił.

— Oh Jezu, Jezusińku! — wyjęknał Glapa ze zdwojoną żarliwością.

Obadwaj zmienili się w automaty. Każda sekunda była drogą, nie zauważyli przeto wcale, że z pod drugiej gruszy dwururka rzygnęła loftkami i kłęb dymu zawisł w powietrzu.

Wkrótce, obserwując przez szparę między krańcem desek a pniem niezawodną celność kul Stachowych, Jędrak uznał snadź, że jest w tem jednak jakaś okrutnista uciecha. Nie przestając wzywać Świętych Pańskich, parskając chwilami sowizdrzalskim chichotem:

— Znowu jeden! Ażeby ich, psie choroby!..

Z łańcucha żołdatów wypadały ogniwa; jeden staczał się z grobli w nurty Warty, inny zwaliwszy się z nasypu, tarzał we krwi, inny kładł się nieruchomą bryłą.

— Trzy, cztery... pięć, sześć — notował Stach w duszy.

Gdy doliczył do dziesięciu, odsapnął z zadowoleniem, jakby dotarł do etapu w swej pracy, lecz nie pauzował. Coraz szybciej chwycił broń z drżącej łapy Jędrka, celował, strzelał.

Aż żołdacy zatrzymały się przed sznurem trupów i zaczęły cofać, szwargocąc. Ustał pościg, a gdy runął w nich grad loftek i wwierciły się kule karabinu, reszta puściła się zpo-

wrotem w stronę mostu, gdzie sterczał na koniu kapitan.

Teraz dopiero nastąpiła przerwa, niby po pierwszym akcie krwawej historii.

Tygrysini wzrokiem oplótł Stach żołnierzy, grupujących się przy moście pod szablą kapitana.

Obliczał odległość. Zaczem wtulił się między ramiona gruszy i znów przyłożył karabin do policzka.

I kapitan zwał się na zwłoki weterana.

— Osiemnasty... — szept spadł z warg Wichury, a jednocześnie zagrzmiała salwa i grad kul posypał się dookoła gruszy.

— O święty patronie!

Chłopak zarył się nosem w ziemię, lubo zwał desek osłaniał go doskonale, ale zaraz uniósł głowę trochę i nabijał z tem większą szybkością, czując, że w kulach Stachowych jedyny jego ratunek.

Kule te padały z przepyszną dokładnością, trąbały w wał landwerzystów niby kilof, bryły skały wyłamujący. A ponieważ ich kule więzły w drzewach, w deskach lub przedziurawiały powietrze, więc dwie grusze wydały się czarnoksiężskimi czy piekielnymi machinami, zionącymi ogniem, siejącymi śmierć.

Od momentu gdy zagrały kule pruskie, wszystkie siły wewnętrzne Stacha napięły się na jeszcze wyższą nutę, dreszcz subtelnej

a dzikiej rozkoszy przeszedł po włóknach jego duszy. Doznał radości zenitowej, upojnej.

Do takiej wielkiej chwili życia gotów był pielgrzymować przez wszystkie ciernie i głogi świata, przez morze łez i cierpień, bo czuł, iż wyładowują się zeń olbrzymie zapasy nagromadzonego ognia, wybuchają z wulkanu żywiołową gwałtownością. Czuł, że pod gromami jego woli cesarskiej ścielą się niby makówki ścięte, niby pajace z tektury, szeregi pacholków z owego plemienia, które dwa lata temu ugodziło w pierś jego bezbronną, otworzyło w niej ranę głęboką, wieczystym rozjątrzoną bólem i ociekającą łzą polską. Czuł całą nadludzką wspaniałość tej rozprawy dwóch swych karabinów z kompanją landweiry Mordował ich, brał ich życie jako daninę, przynależną molochowi wojny, jako skąpą zapłatę za wieże krzyżackich bezpraw, za odebrany policzek. Czuł całą nadludzką wspaniałość zmagania się jednostki z tłuszcza strzelającą. Czuł się granitem — tytanem, który żył zbudzoną swą potęgą i wyżywał się jak wspinały wodotrysk.

Był wielkim.

Opanowała go szalona acz cicha ekstaza derwiszów. Rumieńce krwawe czerwieniły się na licach, oczy, krwią nabiegłe, zdały się nieść nieprzyjacielowi kule mordercze, z piersi niekiedy wydobywało się charczenie dzikie.

a ręce, jak szpony głodne, chwytając karabin, tuliły przymilne cacko do lic rozgorzałych.

Nie zauważył, że pod drugą gruszą spoczywał we krwi leśniczy, z boku kulą ugodzony. Cóż mogło go to obchodzić, kiedy grał w nim marsz wojny — wojny...

Strzelał, strzelał, biegł myślą za każdą kulą, wpijał się w cielska i ślina ściekała z warg rozchylonych.

— Trzydzieści pięć — bąknął.

Huk odpowiedział.

Spędziwszy żołdatów z mostu, porucznik rozsypał garść odważniejszych po drodze do miasta. Tchórzliwa banda, która uważała, że szkoda ich kości dla Polaków, niechętnie i niezdarne przykłękała, a gdy oficer stoczył się w rów bez życia, zerwała się i rozbiegła.

Ale w kierunku miasteczka.

— O! Jezu! Zajdą bestje od tyłu — wyjęknął Jędrrek, i karabin wypadł mu z rąk na trawę.

— Dawaj!! — syknął Stach, żując kłatwę.

Chłopak nabił raz jeszcze, nabił broń, ale potem pociągnął Stacha za łydkę i począł pełzać w stronę domostwa, wołając szeptem chrapliwym:

— Dali! W mig! Panusiu!

Nie mając nabitej broni, Wichura otrzeźwiał trochę z upojenia. Przypadł szybko do ziemi i na czworakach spieszył za Jędrkiem

pod osłoną desek przed kulami, które padały z rzadka z poza mostu.

Skoro zamilkł huk od strony grusz, landwera, której żaden oficer nie zdołał ruszyć z miejsca przeciwko Wichurze, nabrała nagle męstwa. Zawyla: „hurra!“ i skoczyła kłusem w mury miejskie — przeciwko nieistniejącej garści Polaków.

Byliby zaszli z flanki i przydybali Stacha na rynku, gdzie chyba za opuszczoną przez woźnicę bryczką byłby on znalazł chwilową kryjówkę. Wszelako Jędrak w momencie odwiązał ich wierzchowce od bryczki, zdążył nawet wyłowić z niej małą walizkę Wichury, skoczył na koń i popędził bokiem rynku, wpadł w pobliską bramę i przez podwórze wydostał się w ogródek i na łąkę. Stach za nim.

Ostatnie szeregi wojska, wkraczające do miasta, zoczyły ich, gdy przebrnąwszy łąkę, sunęli człapem wzdłuż Warty. Ale kule tak daleko nie niosły, a patrol konny, na ogonie kompanji trzymający się wytrwale, nie myślał o ściganiu „przeklętych diabłów“.

Znikli, a zwłoki wielkiego wojaka, w Wartę wrzucone i w kwiaty legendy ludowej strojone, popłynęły do Bąblina Dobrzyckich na wieczysty odpoczynek.

W noc burzliwe duch jego czujny ukazuje się tam nad rzeką, czeka pobudki trąbki

bojowej, a, ilekrotnie ziemia ta zmienia właściciela, zjawia się w murach dworu, aby przypomnieć nowemu panu katechizm polski i szepnąć: „czuj duch!..“

W godzinę jeźdźcy byli już daleko w drodze do Mieścisk.

Powstrzymali konie w biegu, odsapnęli.

Jędrkowi język rozwiązał się zaraz i nuzę pleść:

— Żeby nie te deski i drzewo, to wej te kulki wymacałyby nas cholernie... O laboga świętego! Świsłały bestyje, kiejbym orzechami śmigał!.. O! Jezu! Siła ich była tego plemienia. Pono z tysiąc?.. A każdego z gaworą w łapie, gaworny nie gaworny! Jak też to król taki musi mieć huk pieniąchów, że dla każdziuteńkiego żołdata ma na gaworę, na przyodziewek, buty... A nic jednak nie wskórało przeciw nom to królewskie wojsko, chi!, chi! Djabelskie weselisko my im wyprawili, wybili tego plugaństwa coniemiarą... Będzie ze sto, abo więcej?

Zerknął w oblicze Stacha pytając, który bąknął:

— Głupiś!

— A wiele??

— Trzydziestu ośmiu lub dziewięciu.

— A leśniczy?! — wpadł na Stacha chłopak, honornie się stawiając. — Mało to strzeło?

— Juści i on pokładł tego szwabstwa sporo. Z pewnością kilkunastu, może dwudziestu— rzekł Stach i stanęła mu przed oczyma postać dzielnego człowieka, który z podobną jak on determinacją dyszał żądzą zmierzenia się z Prusakami, stał w ogniu z szlachetnem męstwem i krew swą zacną przelał bohatersko...

Głębokiem westchnieniem uczcił pamięć Rojewskiego, i żal ścisnął go na myśl o śmierci wielkiego wojaka. Zrazu trzydzieści osiem głów pruskich zdało mu się wcale zacnem żniwem, ale wobec rozbójniczej kuli, od której padł bohater z pod Saragossy, wydało mu się to niewielką liczbą. Za takiego Dobrzyckiego i leśniczego powinien ująć pruskim szeregom co najmniej ze stu dwudziestu gemajnow i kilku oficerów. Zapisał sobie w pamięci i westchnął, niejako modląc się o inną taką dobrą okazję, gdzie mógłby zabrać sobie resztę łbów pruskich, jakie mu się należały...

Wtedy spadnie mu z duszy ów kamień, który nosił pokornie tak długo jak stygmat hańby, zagoi się bolączka, rozpętają ręce słubami związane i będzie mógł żyć jak inni ludzie.

W Berlinie, w atmosferze świetnych festynów braterstwa zaskoczyła go raz kwestja, czy obstawałby nadal przy zemście, gdyby Prusacy rzeczywiście wymierzyli Wielkopolanom sprawiedliwość, gdyby uznali ich za rów-

nych sobie, za obywateli, za gospodarzy na tych „żałach“ słowiańskich. I wtedy czuł, że wobec szczęścia ojczystej ziemi sam szczęśliwy, przebaczyłby, zapomniał...

Bo haniebny policzek był nie tylko krwawą obrazą jego samego, lecz całego ludu polskiego, całego narodu. Przez niego odczuł krzywdy Ojczyzny, przez niego poznał upodlenie rodaków, wziął w siebie całą ich żądzę zemsty i jednocześnie — całą miłość Ojczyzny.

Zemsta i miłość skojarzyły się w jedność, którą oddychał i żył. To co brał za sprawę osobistą, istniało w nim równomiernie jako sprawa kraju, i dlatego żądza zemsty, krwawiąca się na bogatym pokładzie miłości, nie była stonogiem, toczącym pień jego duszy, lecz potężną dźwignią, dającą hart stalowy i moc wspaniała krzyżowych rycerzy.

Z śmiercią Dobrzyckiego zagasła w jego oczach lampa, przed ołtarzem ojczyzny płonąca, w której blasku kąpał się on niby pątnik cichy.

Więc zamknął gębę Jędrkowi, mówiąc:

— Cicho bądź! Zmów oto trzy zdrowaśki nabożnie za dusze majora i leśniczego... Niech Pan Bóg da im wieczny odpoczynek... a nam więcej takich...

Zdjawszy kaptur, Jędrzek spojrzał w oblicze Stacha, przejął od niego coś z pięknego nastroju i począł odmawiać pacierze.

Ale gdy wjechali w wielką wieś i lud, widkiem karabinów, przez plecy jeźdźców przewieszonych zwabiony, zbiegł się hurmem, Jędrrek Glapa rozwinął nadzwyczajną wymowę, a jeszcze nadzwyczajniejszą fantazję. Opowiadał z szybkością młynka tak bajeczne rzeczy o ich przejściach, że ze zdziwienia gęby otwierały się jak wrota. Przytem mianował Stacha majorem, poczytując tę rangę wojskową za możliwie najwyższą. Wreszcie ostrzegał ich przed Prusakami, upominając, aby za nadejściem jakiego oddziału landwery chowali wszelki dobytek i uchodzili w pole przed rabusiami i zbójami.

Gdy minęli wieś, ozwał się do Stacha, zęby szczerząc przymilnie:

— Nie godzi się po sprawiedliwości, aby major jeździł z Glapą tak z pierza odartą... Panowy kufereczek piastuję na kłębie, tym bestyjom z przed nosa chybcikiem go sprzątnąłem, o własnym tłumoczku zaboczywszy... W tłumoczku nowiuteńką miołem czapkę, co mi gospodarz z zasług sprawił na jarmarku... I koszula tam była z płótna samej gospodyni...

Namyślał się, czyby nie napomknąć coś jeszcze o portkach, ale bał się, aby nadmiarem delikatnych żądań nie przerazić Wichury. Więc biadał:

— Tera tam jakie mimieckie ścierwo obleka się w moją koszule, moją wstążką sobie

jom podwiąże, psia jucha, a ja, polski żołnierz, docna wydarty... I wej! — krzyknął — ostoj się w tłomoczku ten talar od gospodarza! O żeby cie wciorności. To się to plugastwo za to upije!

— Cóżes ty za polski żołnierz!? — zaśmiał się Stach.

— Nie!? — zdziwił się Glapa wielce i po namyśle rzekł: A czym to prochu mimieckiego nie nawąchał się, aż mi w nosie śmierdziało?

— Toć przez to jeszcześ nie żołnierz.

— Nie?. To bydę! — zawołał z naciśkiem.

Gdy Stach obiecał mu maciejówkę, dwie koszule, a nawet nowe portki, bardzo się ucieszył, chciał go całować w rękaw, a po chwili pomyślał sobie głośno:

— Gewerę to ja sobie skędy wykręce... Żeby tak jeszcze jaki dziedzic siodełko i tręzelkę dla mnie znalazł, mój Boże...

Podumał chwilę.

— Panie! — zawołał ciekawie, na drugiej zgłosce akcentując emfaticznie. — Czy, jak wojna, to zawdy tak siarczyście strzelają?

— Bywa jeszcze więcej.

— O! Matko Boska! Jakby mnie tak kula trafiła...

— Tobys się obalił.

— Hale! — potrząsł Jędrak łbem — obalił, może i nie wstałbym, jak ten leśniczy, nieborak. Człowiek to był tęgi, że się nie bał...

Teraz dopiero wstąpił weni podziw dla leśniczego i Stacha taki, że umilkł na chwilę i spozierał z podełba na Wichurę, jakby podejrzewał go o spółnictwo z jakim nieczystym duchem.

— Że też to się takie ludzie rodzą... — wyrzekł i byłby niezawodnie ciągnął rozmowę na ten temat, ale mu się zachciało bardzo jeść.

Wichura przyrzekł nakarmić go w najbliższej wsi i po raz pierwszy od lat dwóch począł świstać sobie wesołą piosnkę, taką ulgę przyniosła mu rozprawa z Prusakami.

Ale niebawem pomknęli wyciągniętym kłusem, bo chmury brudnawe zbiegały się nad nimi i groziły ulewą, a mieli jeszcze przed sobą półtorej mili drogi. Jędrak trząsł się naoklep i myślał z lubością o nowym przyodziewku, a Stach roztopił się w zadowoleniu z tego, że dał jednak hordzie pruskiej nauczkę.

Lecz w Mieściskach, gdzie major Dąbrowski przyjął świetnego strzelca z otwartymi rękami, czekały go przygnębiające nowiny.

Dowiedział się tam wszystkich okropnych szczegółów barbarzyńskiej sceny w Łabiszynie.

Przez miasteczko to przejeżdżała, serdecznie ze strony Polaków witana partja dwu-

dziestu ośmiu ziemian z Królestwa, ze służbą i końmi, dążąc w szeregi wojska poznańskiego. Na osobnym wozie mieli oni broń, amunicję i żywność.

Za Łabiszynem dopędził ich szwadron huzarów pruskich, podbechtany przez miejscowych żydów, którzy również puścili się w pościg za ochotnikami, uzbrojeni w widły, siekiery i haki pożarne.

Nie przewidując zaczepki, na głos komenderującego huzarami oficera, partja zatrzymała się. Lecz skoro zsiadli z koni zagrzmiała salwa i położyła trupem kilku Polaków. Zanim reszta dopadła wozu z bronią, już huzarzy natarli na nich z pałaszami i nuże siec i rąbać bezbronnych. Na wołanie pardon! odpowiadali Prusacy: „Dla Polaków niema pardonu!..“

Noc zapadająca i pobliskie błota Noteci uratowały kilkunastu. Byłoby ocalało więcej, ale żydzi i Niemcy tropili ich z pomocą psów w trzęsawiskach. Zarabali na śmierć dziewięciu, poranili kilkunastu, a resztę przywiedli na powrozach do miasta. Na skrępowane ofiary rozbójników rzuciła się cała łabiszyńska hałastra żydowska, stratowała kilku jeńców na śmierć i pastwiła się nad nimi, dopóki dwóch obywateli nie wyrwało konających z rąk rozbójtwnionych, z narażeniem własnego życia. To zwycięstwo uczciły dwa bratnie żywioły rzesistą iluminacją miasteczka...

W Mieściskach obóz cały gotował się do drogi do Miłosławia, gdyż szczupły, na północ wysunięty i od innych trzech obozów odcięty przez wojsko pruskie, panujące na linii Bydgoszcz — Gniezno — Poznań, nie miał racji bytu. Dąbrowskiemu powierzył Mierosławski komendę nad obozem ksiąskim.

Na wyjeździe major i kilku emigrantów namawiali Wichurę, aby im towarzyszył. Stach jednak wahał się. Wprawdzie Dąbrowski już przy pierwszym spotkaniu przejął go szacunkiem; miał przekonanie, że w takich jak Garczyński terminach, major nie rejterowałby bez strzału. Jednakże w Mieściskach, deskami zabitych, nie wiedział, czy zanoszą się na to, aby Książ był wystawiony na zaczepkę ze strony Prusaków. A o to chodziło.

Chciał on tępić Prusaków, tępić jak robactwo, oblepiające i toczące drzewo. Postanowił przeto stawić się w Książu za kilka dni, „jeśli nie zajdzie nic nieprzewidzianego“. Tymczasem zaś puścić się z Jędrkiem do Pleszewa, albo raczej do Rafała i rozejrzeć w położeniu rzeczy. Prosto szukał miejscowości, gdzie się biją lub bić będą z Prusakami niechybnie.

Był on niejako jak nałogowy pijak, który długo, długo nie biorąc kieliszka w rękę, wychylił nareszcie puhar szlachetnego wina i doznał uczucia takiego zadowolenia i takiej ekstazy, że nawet życie był gotów stawić na

kartę, bez chwili wahania, byle znowu jak najprędzej dorwać się do takiej pohulanki.

Jednooki chłopak wykorzystał krótki pobyt w Mieściskach znakomicie. Wytargował kędyś siodło. Gdy przyszło do płacenia chciał dać „kwitek“, czyli rewers płatny przez komisarza powiatowego, gdyż ten sposób pokrywania należności spodobał mu się bardzo. Ale nie dało się.

Więc po długich sporach wypłacił połowę umówionej sumy gotówką, „pożyczoną“ od Stacha. Wyszczekany i jowialny wkradł się w łaski pewnego odjeżdżającego do domu szlachcica tak, iż wyłudził od niego stary pałasz i czapkę ułańską. A ponieważ Wichura dotrzymał słowa i nie poskapił mu „łachów“, zatem Jędrrek Glapa przybrał pewne pozory ułana.

Strasznie wbiło go to w dumę; nawet wobec Stacha, dla którego osoby i karabinów żywił głęboki respekt, poczynił trochę zadziierać nosa.

Przez wiosenne roztopy jechali stępem z tłumoczkami na kulbakach i karabinami przewieszonemi przez plecy.

— Ano... — ozwał się Glapa przez nos pytająco. — Jakby mnie tera jaka panna zoczyła, toby mnie zechciała, chociaż jeden ślep mi wypłynął.

— Co mi z ciebie za ułan bez lancy i pistoletu!

— Ale pałasz mom!! — krzyknął Jędrek, na honorze pokrzywdzony. — I ślachecki!

— Ale nim nie wskórałbyś nic! Lada ułan zmiotłby cię z siodła lancą.

— Wej! Zara! Rychtyk!.. — drwił Jędrek. — Łebbym koniowi na kark położył, przyczaił się, podjechał i pałasz mu pod żebra wepchnął.

Po chwili zastanowienia dodał:

— Uzary pruskie też lanców nie mają

— Ale pistolety.

— Pistolecik toby mi się zdał, jaki foremny. Kulka to na dalekość pogłaskać można... — rzekł sentencjonalnie i spytał: — Czemu to te uzary czarne na czapkach mają trupie głowy i piszczele?.. Pewnie, że same są trupy robaczywe?

— To tylko na postrach głupich — mruknął Stach.

— To my bojeć się mamy trupich głów? Wej! — podrwiwał Jędrek, a potem rzekł: — Jeno to najgorsze, że ich tak dość... A wszystkie te Prusaki, cholery na polski naród zawzięte. Jak co, to nasi zara z nimi przepijali, krzywdy im nie dali. Żyło to, jak wej te Niemcy w Węgrzynku, jadło, piło i dobrze im było między Polakami, a te bestyje za to chcom nam wszystko odebrać i jeszcze nad nas się

wynoszom, psie juchy — rozmyślał Jędrek, a Stach zagadnął go:

— Pójdiesz na nich ochoczo?

— Bogać nie!?

— Jakbyś miał się ulęknąć, Jędreku, to zapowiadam ci, wynoś się przed bitwą i, żebym cię więcej na oczy nie zobaczył, ale jak raz w bój wejdiesz, to — mówię ci — na śmierć! Rozumiesz?

— Miarkuję sobie — odparł Jędrek, truchlejąc.

— Padniesz, to mniejsza, byle mendel Prusaków za ciebie życiem zapłacił...

— Miarkuję...

— Jak tak każdy chłop zrobi, to Prusaków docna zabraknie, a naszych ostanie dość na nasienie w spokoju i dobytku. Rozumiesz?.. Teraz jest nasze powstanie chłopskie... Pano wie różnie: jedni idą, drudzy nie, ale chłopcy wszystkie chcą iść na Prusaka, bo wiedzą, że innej rady zgoła niema, jeno trzeba wytepić ich... I żeby tak Pan Bóg zesłał naczelnika...

Wobec takiej mowy Stacha, Jędreku zapomniał języka. Zdało mu się, że krzyż pacierzowy pręży się mu i w łuk stalowy wygina. Rozumiał on już, że jak Pan Bóg dopuści, to ziemię będzie gryzł, ale poświęcić się trzeba. Przecież sam Ojciec święty pozwolił bić Prusaków, bo wie, że już naród polski wytrzymać z nimi nie może.

Zmierzch zapadał, gdy ubocznemi drogami minęli Gniezno, pełne wojska pruskiego, i zatrzymali się w ustronnym folwarczku chłopskim, daleko od traktów położonym. Koń Stachowy domagał się odpoczynku. Wichura zatem postanowił przenocować tam i po wieczery, wypiwszy z gospodarzem kieliszek gorzałki, usnął się w stodole i zasnął jak suseł.

Jędrrek spoczywał opodal, ale gorzałka rozbudziła jego władze umysłowe i jakoweś myśli chodziły mu po głowie.

Kiej tak Pon Bóg zarządził, że ma wojsować, to galantnie, aby go się chłopcy polskie nie powstydzili. Był ułanem, ale bez pistoletu. A co to broń palna, przekonał się na własne oczy pod Obornikami. Chłopstwo docna tchórzem podszyte nie było, ale jak do nich z karabinów gruchnęli, to uchodzili. Byłoby inaczej, gdyby Prusacy nie byli zabili majora, ale byłoby też inaczej, gdyby mieli trochę broni palnej.

Jędrrek podniósł się cicho. Nie ruszył ściągniętych butów, lecz począł szukać czegoś w jednym z butów Stachowych. Wydobył kordelasa, potem wyjął z tłumoczka stary swój kaptur, naciągnął go na oczy i wysunął się boso ze stodółki, jak złodziej.

Pociągnął drożyną do miasta.

W przydrożnej karczmie siedziało jeszcze kilku żołnierzy: piechurów i huzarów. Pili pi-

wo, gęsto wódką przetrącając, i grali w karty. Okropnie wysmolone obrazki karciane migwały przed oczyma Glapy, który przyglądał im się z ukrycia.

Wreszcie piechurzy odeszli. Pozostali tylko wachmistrz i sierżant w żółtawych mundurach, czarno szamerowanych. Jako starsi, nie potrzebowali się snadź spieszyć do koszar, do których głos trąbki powołał szeregowców.

Zbliżała się dziesiąta i cisza zupełna leżała dookoła, gdy podnieśli się z krzeseł, ociążali od piwa i dostatecznie do snu przygotowani. Wachmistrz podszedł do szynkwasu, zażądał majtkowskiego tytoniu do żucia i długo wybredzał. Tymczasem sierżant włókł się już po bruku powoli, gdy raptem, jakby uciekając w okropnym popłochu, wpadł na niego Jędrek.

— Herriez! — wołał, posługując się jedy-nem niemieckiem słowem, jakie umiał.

Powtarzając je bez końca drżącemi war-gami, chwycił się piersi sierżanta osłupiałego zupełnie, aż wyrwał mu z za pasa pistolet i prysnął zpowrotem jak chart.

Lecz sierżant zawrzasnął na cały głos. Wachmistrz i karczmarz wypadli z izby.

Nie byliby pochwycili chłopaka, ale krzy-żki zaalarmowały nadjeżdżających na wózku Niemców, którzy zeskoczywszy z niego, za-stąpili mu drogę i przyłapali go w rowie.

Zawlekli Jędrka wyszturchanego do karczmy, gdzie rozpoczęła się wielka indagacja, z której chłopak wykpiwał się w ten sposób, że z maską zupełnego idjoty odpowiadał na wszystko bełkotem:

— Herrjez...

Trząsł się przytem febrycznie. Niemcy nie wiedzieli za co go brać, za warjata czy niemowę, albo za jedno i drugie. Wreszcie wachmistrz ozwał się do sierżanta:

— Przemów do niego po polsku!

Okazało się, że sierżant był Polakiem, i to odkrycie nappełniło Jędrka nienawiścią.

Sierżant potrząsnął nim jak wiechą i zniewolił do padnięcia na kolana. Poczem trzymając go silnie za kark, pytał gromko:

— Kochasz ty Prusaków?!

— Herrjez... — jęczał chłopak dzwoniąc zębami.

— Kochasz króla, ty chamie?..

— Herrjez...

— Daj mu pokój! — wpadł znudzony wachmistrz. — To jakiś z rozumu obrany cherlak. Zaprowadź go na policję, złodzieja. I wróć tu! Wypijemy coś jeszcze.

Dwaj Niemcy, zaszczyчени kompanją huzarów, zaprosili ich zaraz do butelki, wobec czego wachmistrz machnął ręką na wszystko i usiadł przy stole.

Sierżant zaś wyprowadził Jędrka z izby. Dzierżąc go za kołnierz i raz po raz kułakując kolanem, wiódł go do cyrkułu.

Chłopak stapał pokornie, niby potulne stworzenie. Przytem wyteżał słuch, azali nie słyhać gdzie kroków, a przez głowę świtało mu: „Ty psiakrew... tyś z naszych i z nimi trzymasz, padalcze“!

Nagle, z szybkością błyskawicy sięgnąwszy za pazuchę, wykręcił się pod łapą sierżanta i rąbnął go w pierś kordelasem.

Żołnierz zachybotał ramionami gwałtownie, w celu obrony, zatoczył się i — runął.

Jędrak wyrwał mu z za pasa pistolet, zbliżył się twarzą szybko do jego twarzy i zacharczał wyraziście:

— Kochasz ty Prusaków?.. Kochasz króla?.. Zdychaj, sobako!..

Lecz nie uderzył rannego. Jak ogar ze smyczy spuszczoney, skoczył w ciemnicę, unosząc z sobą zboczony kordelas i pistolet.

XII.

Przejeżdżając przez Wrześnię, Stach spotkał wypadkiem inżyniera sztabowego z Miłosławia, pana Szuberta, którego Mierosławski wyprawił w jakichś sprawach wojskowych nad Wartę, i dowiedział się od niego, że Rafał

Węgierski bawił w pobliskiej wsi Topolnie u pana Olizarowskiego i miał tam spędzić święta wielkanocne. Nie potrzeba było być bardzo domyślnym, by odgadnąć, co skłoniło Węgierskiego do tej wizyty. Otóż Topolno graniczyło z Gulczewem państwa Pinińskich, i Rafał miał nadzieję, że w czasie świąt uda mu się ujrzeć piękną pannę Krysę. W konkurach pomagał mu brat panny, Józef Piniński, towarzyszył z obozu nowomiejskiego.

Przeszkodą do związku Rafała z Krysią była jej rej wodząca w domu matka, która nie mogła przebaczyć staremu Węgierskiemu, że kiedyś bałamucił ją siarczyście, a potem zostawił na koszu. Zapewne kochała się w nim na zabój.

Bez namysłu Wichura puścił się do Topolna, choć pana Olizarowskiego nie znał. Mimo to doznał tam tak gościnnego przyjęcia, że pozostał u niego przez święta. I tych dni kilka, z Rafałem we wesołym towarzystwie męskiem prze hulanych, było niejako przepyszną fanfarą w przededniu krwawych zapasów.

W środę powielkanocną kończył się urlop Rafała i Pinińskiego. Stach postanowił jechać z nimi do Nowego Miasta — w poszukiwaniu okazji do bitki.

Starym węgrzynem wychyliwszy strzemienne, puścili się z Topolna kłusem drogą do Nowego Miasta, w noc widną i cichą.

Rozlegało się bulgotanie kopyt w kałużach i parskanie koni. Stachowi dostał się trafem stary wierzchowiec, trochę dychawiczny, ale nogę miał suchą i pewną i był, jak mówił Jędrek, honorny. Nie dawał się przeto wyprzedzić, rwał naprzód i trzymał się na czele obok ślicznej klaczy ułańskiej Józefa.

Za nimi, w przyzwoitej odległości od pryskającego błota, jechali Rafał i Jędrek na swym krągłym żrebcu, sprawującym się wcale nieźle pod dobrym i lekkim jeźdźcem. Spozierając na zgrabnego konika i chłopaka, Rafał ozwał się:

— Zdałbyś się na gońca Jędreka.

— Eh! — potrząsł głową dumnie chłopak.
— Zdałbym się do wszystkiego. Gdybym był panowych nauk liznął, to może i na ochficera.

— A służbę wojskową znasz?

— Ni... — pisnął Jędrek minorowo. — Wnetki się przyuczę i na dychtownego hułana wyńdę.

— Oka jednego ci brak, ale gęby ani trochę. Jeśli ramieniem potrafisz tak wojować jak gębą, to może wnet podoficerem cię zamianują.

— Pistolet podoficerski już mam! Najprawdziwszy! — zawołał chętnie chłopak.

— Skąd?

— Wylał mi się bez noc na słomce w stodołce gospodarza pod Gnieznem, jak my tam

nocowali. Pan Stach strasznie się temu dziwował, bo żadnego jaja nie widział.

Począł opowiadać, jakim sposobem przyszedł do pistoletu, gdy Stach, odwróciwszy się w siodle, zawołał:

— Pożar!.. Landwery sprawa!

Na pierwszy rzut oka ku Wrześni zdało się, że ognisko płonie w szczerem polu, lecz rozpostarło się ono niemal w oczach, zamieniało w krzew ogni, buchających jakby z ogromnego kotła czerwonymi jezorami.

— W konie! — huknął Rafał natychmiast, i fantazja zagrała w nim jak śledziona w koniu rasowym.

Jeźdźcy runęli naprzód bez słowa. Wpadli na trakt, potem na drogę wiodącą tam, gdzie żarłoczne płomienie buchały krwawą płachtą.

Jędrrek trzymał się na ogonie i w cichości ducha napompowywał się animuszem jakby kadź wodą, rozumiejąc, że panowie zabiorą się do wypłaszania szarańczy pruskiej ze wsi. Przez czuły wzgląd na całość swej jednookiej osoby uciekał się jednocześnie pod opiekę swego patrona i przedkładał mu, jak wielką byłoby szkodą, gdyby kandydat na ułana miał odnieść jaką krwawą pamiątkę. Nie opierając się wyłącznie na pomocy świętych Pańskich, wymacał pistolet na brzuchu i wygrażał w myślach landwerzystom karabinem Stacha, który miał przewieszony przez plecy.

Pożar zionął jakby w ich oczy, wydawał się wspaniałą fontanną świetlaną, na tle nocy rozpaloną. Nie ulegało wątpliwości, że płonie duży budynek na wszystkich czterech węglach tuż za grupą zabudowań. Ze słomianego dachu sypały się i tryskały iskry, tonąc w kłębach dymu.

Wrzawa wybiegła naprzeciwko jeźdźców. Nim dojechali do wsi, ujrzeni chmarę ludzi, biegających na drodze z krzykiem, widocznie bez głowy.

Osadzili przy nich konie na miejscu, i tłum ludu obiegł ich niezwłocznie. Okazało się, że banda landwerzystów napadła na tę wieś gospodarską z sąsiedniego folwarku, gdzie stali kwaterą. Jeden ze starych kmieci wskazywał domostwo, w którym kilku z nich plądrowało, a słowom jego wtórzyły lamenty i jęki, wydzierające się z kupy bab.

— O! Jezu, Jezu! Stodółkę podpalili. Mójego zażgali... O Jezu, zażgali...

Straszny krzyk trwogi nadleciał od chałup.

— O! Jezu! Mordują! — wrzasnęła jakaś kobieta, i Rafał, rozpalony w sobie jak żagiew, zawołał z konia na cały głos:

— Młodzi po widły i kosy! Kto w Boga wierzy! I za nami, aby nikt cało nie uszedł!

Zeskoczył z konia.

Powierzili wierzchowce starym chłopom, zalecając, aby nie oddalali się z tego miejsca —



Jednocześnie zażrzmiały karabin Stacha i pistolet Józefa, i dwa trupy zwały się jak kłody.

Stach Wichura.

z drogi bezpiecznej. Zaczem puścili się do pładrowanych domostw.

Stach przodem, z karabinem w rękę. Jednakże w pół drogi stanął i począł szybko wyluszczać, jak należy zabrać się do rozbójników.

Po krótkiej naradzie Rafał i Jędrak zajęli pozycję przy frontowej ścianie chałupy, opodal drzwi i dwóch oświetlonych okienek. Zaś Stach i Józef skoczyli na podwórko oświetlone rzęsiście pożogą tak, iż widać było dokładnie trupa zabitego gospodarza na przyzbie.

Stodoła stała się huczącym węzowiskiem rozmiotanych płomieni. Belki pękały i co chwila rzygały ognie, spadały żagwie, od których zajmowały się wozy i sprzęty rolnicze, tam umieszczone. Dach otulony w potężny тумan dymów wyiskrzonych chwiał się chwilami i strząsał z siebie roje gwiazd ognistych.

Nie było dookoła nikogo, lecz już w ciemnościach czaili się chłopci z widłami i podkradali pod chałupę zamordowanego, nie spuszczać z oka polskich żołnierzy.

Pies wył żałośnie w zaroślach. Wyczołgał się z nich, zbliżył z podwiniętym ogonem do zwłok pana, popatrzył w siną maskę rozkrzyżowanego na ziemi i zawył znowu, wytoczył przed świat okropną skargę.

Stach nasłuchiwał pod oświetlonem oknem chałupy, potem cisnął w nie kamieniem.

Szyba wypadła z brzękiem i niebawem wysunęła się przez otwór mycka żołnierska z czerwonym szlakiem.

Lecz nie cofnęła się, bo Piniński w okamgnieniu rąbnął w nią gotowym pałaszem, rozplątał. Cielsko zadrgało i uwisło w ramach okna.

Nie upłynęły trzy minuty a z drzwi wyrzuciły się bagnety i dwie postacie wyrosły w progu. Jednocześnie zagrzmiały karabin Stacha i pistolet Józefa i dwa trupy zwały się jak kłody.

Nim jeszcze wpadli do sionki, tuż przed ich twarzami przesadził żołnierz pruski i charcim skokiem puścił się przez podwórko. Ogromnym skokiem rzucił się za nim Piniński. Nie zdołał sięgnąć pałaszem opryszka, ale w tej chwili z poza chlewów wyprysło trzech chłopów. W rozpędzie żołdat nadział się na podstawione widły i skonał przygwożdżony do ziemi.

Tymczasem Stach wypłoszył z sionki innego landwerzystę, który nie stawiając oporu bagnetem, prysnął na front chaty, gdzie w tej chwili padł od kuli Jędrkowego pistoletu.

Cisza nastała i zdało się, że sprawa skończona, istotnie w chacie nie było już najeźdźców. Wszelako huk strzałów wywabił żołdatów z innych gospodarstw rozległej wsi. Biegli gromadą w jasną przestrzeń drogi, niektórzy

jakby garbaci, obładowani jakimś zrabowanym dobytkiem, nie widząc czterech Polaków, którzy nabijali broń pod ciemną ścianą chałupy, zresztą oświetlonej zewsząd łuną pożarną.

Świst przeraźliwy wydarł się z pomiędzy palców Jędrka i zdawał się przyzywać nieistniejące wojsko. Tak widocznie tłumaczyli sobie to brodaci landwerzyści, gdyż natychmiast zatrzymali się i skręcili w bok, w przesmyk między ścianę obory a stodołę innego gospodarza.

— Ty, psiakrew, kto kazał ci świstać?! — wrzasnął na Jędrka Rafał zły, że spłoszono nadbiegających.

Nie tracąc czasu, Stach upatrzył sobie okiem ostrowidza żołdata i, chociaż ze znacznej odległości, położył go plackiem z karabinu. A Jędrak, chcąc głupstwo naprawić, zdarł szybko karabin z ramienia i strzelił ale chybił.

Trafem tylko nie zranił Rafała lub Józefa, którzy pędzili już przez drogę w ślad za uciekającymi. Stach po strzale pospieszył za nimi a, jakby z pod ziemi, wyrastać poczęli chłopci z widłami, kosami i siekierami.

Snadź znaczna gromada chłopska zataraśowała ciemny przesmyk żołnierzom tak, iż znaleźli się niby w zamkniętej szyjce butelki, bo podniosła się tam piekielna wrzawa i rozlegał szczęk żelaza.

Istotnie chłopstwo zaskoczyło im drogę i natarło na nich z wściekłością. Wywiązała się rozpaczliwa, nieubłagalna walka. Nie ustępując ani na krok, przeciwnie napierając na bezładną masę bagnetów, albo topili widły w brzuchach, rozpruwali wnętrzności, przysiadając nieco do ziemi, albo smagali ich z góry kosami, cięli straszliwie w głowy.

A od tyłu zwały się na przytrzymaną bandę cztery pałasze.

Rafał pierwszy. Runąwszy znienacka w piekielną pieczarę śmierci, potężnym odmachem pałasza powalił najbliższego żołnierza.

Zwróciło się przeciw niemu kilka bagnetów, lecz kula z pistoletu uwolniła go od napastnika. Na kark drugiemu wsiadł Stach, Piniński zatrudnił trzeciego, borykając się pałaszem przeciwko bagnetowi, aż długiem, silnem ramieniem sięgnął sobie po nową ofiarę. Nawet Jędrak płatał Prusaków ognieście po plecach, nie zapuszczając się wszakże w głąb zjeżonej jeszcze bagnetami pułapki.

Tu i owdzie okrzyk: pardon! wydzierał się rozpaczliwie, ale Jędrak nie rozumiał i Stach głuchy brał po kolei żołdatów w obroty i rąbał. A gdzie rąbał, tam żołnierz nie podnosił się więcej.

Była to rzeź. Kto inną drogą szukał ratunku, mógł mówić o szczęściu. Wydostawał

się bowiem na pola i uchodził co tchu. Reszta zaś hordy wyginęła co do nogi.

Zostało jeszcze trzech, którzy w rozprężeniu sił i ducha zatoczyli się na ścianę stodoły. Bagnety drżały w zemdlnych dłoniach, nogi chwiały się, i lęk śmiertelny wyglądał z twarzy. Nie bronili się już — zwalili się pod obuchem kos jak drzewa siekierą ścięte.

Na kupach cielsk pociętych, rozkrwawionych, obryzganych, strasznych osadził ktoś sztorcem kosę...

Na drodze, jeszcze mętne światłem pożogi oblanej, towarzysze zbrojni ocierali z czoła pot obficie płynący i sapali spracowani ale rozpromienieni.

— A to wataha zbójecka! Było ich trzydziestu — mówił Rafał do Józefa.

— Więcej! Więcej! A nikt prawie nie uszedł. Odechce się tatarskich wypraw landwerze.

— A wiesz, jak gazety niemieckie nazywają te napady? Nie odgadłbyś nigdy. Otóż zowie się to w Prusach „młodzieńczemi objawami odradzającej się wolności niemieckiej!“ Prawda, że pięknie?!

— Żeby ich cholera wszystkich wytępiła!
— ulżył sobie Wichura, i zerknąwszy na Rafała, zawołał:

— Cóż to? Krew masz na policzku!

Ocierając twarz, Węgierski uczuł gęstą ciecz na twarzy i lekkie szczypanie.

— To nic! Zadraśnięcie bagneta — osądził. Stach zaprowadził go do najbliższej chałupy, by przy świetle obejrzyć policzek.

Natłoczyło się tam za nimi mnóstwo chłopstwa. Rafał polecił kosynierom, aby zbierali bagnety i ładownice poległych i składali je na wóz, gdyż chciał zabrać broń dla swego półplutonu w Nowem Mieście.

Kosynierzy dopraszali się żartobliwie, aby ich zabrali do jakiego bądź obozu polskiego. Opowiadali, jak to kazano im wynosić się z Wrześni, jak to odchodzących spokojnie acz niechętnie chłopów zaczęło wojsko Blumera. Stosownie do polecenia, kosy spoczywały na wozie, więc żołdactwo pruskie bezkarnie pastwiło się nad bezbronnymi w oczach oficerów i starszyszy, policzkowało ich, chłostało, żgało bagnetami, a nawet zabijało.

— Idźcie do Miłosławia! — poradził im Rafał, gdyż z Nowego Miasta odsyłano do domów wpraszających się chłopów.

Tymczasem Piniński płatem ocierał zbroczony swój pałasz i uśmiechał się pod płowym wąsem mówiąc do Stacha:

— Dalibóg nie myślałem, że tak rzetelna kąpiel dostanie się pałaszowi. Długo wisiał na ścianie od parady, aż nareszcie...

Bardzo podobał się Stachowi ten młody szlachcic lubo sztywny i chłodny, gdyż imponował mu nie tylko długością ramienia, lecz głównie spokojnem skupieniem w boju, które cechuje tylko obytego z bitką żołnierza. Bez wahania, bez słowa robił on swoje, jakby przejęty do głębi poczuciem obowiązku. Co się tyczy Rafała, to, znając go od dziecka, Stach wiedział, iż należy on do rzadkich organizacyj, które w pokładach uczuciowości noszą iskry heroizmu. Sercowi i sentymentalni rycerze — pierwsi idą w bój.

Wkrótce puścili się w dalszą drogę, rozpamiętując szczegóły krwawej przygody.

A Stach wciągał w swą księgę pamięciową nowe cyfry. Dwóch zawdzięczał karabinowi, jednego pistoletowi, a siedmiu czy ośmiu pałaszowi. Jako ścisły i sumienny rachmistrz policzył ogółem dziesięciu i zesumował z owocami dawniejszej pracy. Ze stu głów pruskich „wziął sobie dotychczas“ już czterdzieści trzy.

Mroki nocne poczęły się przecierać, rzędzieć, blednąć i rozpraszać. Zorze wylały się przez krawędź globu srebrzystym potokiem, rozpały po zroszonych równinach senną powodzią i przeglądały się w zielonkawych wodach bystrej Warty, gdy na moście rzecznym zadudniły kopyta.

Ukazało się Nowe Miasto.

— Słuchaj, Rafale! — ozwał się Wichura żywo. — Rzuć Garczyńskiego i jedź ze mną do Księża! I pan Józef także!

Zaprawdę obaj mieli niekłamaną ochotę służyć pod Florjanem Dąbrowskim, jednakże nie śmieli wyłamywać się z szeregów, które byli uznali za swoje.

Zresztą Rafałowi byłoby żal rozstawać się z plutonem, który udało mu się uzbroić względnie doskonale.

Ostatecznie pocieszyli się tem, że gdyby jeden obóz wystawiony był na atak pruski, drugi niechybnie podaży mu na pomoc. Nowe Miasto i Książ leżą tak blisko siebie, że kano-nadę w jednym miasteczku posłyszeć może za-łoga w drugim.

Siedząc przy kawie w kwaterze Węgierskiego, gdzie kapitan Wargocki spoczywał w łóżku rozbudzony, gwarzyli jeszcze o tem, a przy pożegnaniu Stacha, Rafał ozwał się:

— Bądź jak bądź staniemy w potrzebie ramię przy ramieniu, jak to przyrzekliśmy sobie przed dwoma laty. Razem braliśmy wnyki na ławie szkolnej, razem promowano nas z klasy do klasy i może razem przesadzą nas losy na drugi brzeg Styksu.

Uścisnęli się serdecznie jak bracia.

A kapitan Wargocki mruknął w gęsty zarost:

— „Jeden tylko — cud.
Z szlachtą polską — polski lud.
Jak dwa chóry — jedno pienie“..

— Nie taki to wielki cud, kapitanie, jak sądzi Krasiński, bo powtarza się on po całej ziemi wielkopolskiej — rzekł Rafał.

— Tak... tak... — powtórzył Wargocki w zamyśleniu i dodał: Ale może nie od rzeczy przypomnieć piosnkę gminną:

Jedzie chłopek na ogierku, a pan na kobyle.
Nie chcieliście jechać naprzód, zostaniecie w tyle.

— Czyż to nie jedziemy naprzód?! — zawołał dotknięty niemile Józef.

— To jedźcie! A ostro! Wszystko co człek robi, winien robić ostro — wyrzekł cierpko Wargocki, lecz raptem oderwał się od poduszki i zawołał: Ale cóż to zrobiła szlachta? Otóż kapitulowała bez bitwy!

Młody ułan nie był powołany do obrony ugody jarosławieckiej i komitetu narodowego, jednakże ozwał się:

— Niech kapitan nie zapomina, że w komitecie zasiada nie tylko szlachta, że żywioł demokratyczny i tacy nie-szlachcice, jak Stefański, Lipiński, Essman, nie mówiąc już o Libelcie, mają w nim głos decydujący.

A Węgierski rzekł:

— O brak dobrej woli i szczerego patriotyzmu nikogo z naszych posądzić nie można. Wszyscy oni chcą jak najlepiej.

— Najlepiej byłoby — wpadł Wargocki — gdyby ci patryjoci byli zarządzili niezwłocznie pospolite ruszenie i całą Wielkopolskę zamienili w obóz.

— Jeśli się to nie stało, kapitanie — rzekł Węgierski z ubolewaniem — to dlatego, że losy nie zesłały nam męża wojny, który samą swoją osobą byłby tchnął wiarę w oręż, porwał i skupił wszystkich wokoło siebie. Taki mąż zużytkowałby świetny nastreczający się materiał wojskowy, i jak rzeźbiarz posąg, ulepiłby z niego coby zechciał. W wielkim tym momencie potrzeba wielkiego człowieka. Zamiast tego dostał nam się z Paryża samozwańczy, amatorski wódz, fanfaron, dyletant, blagier i szarlatan. Na dobitkę złego polityk z pod ciemnej gwiazdy, nie Polak, lecz tylko demokrata i człowiek odpychający od siebie wszystkich, a nie ujmujący sobie nikogo. Jednem słowem wyszczekany, pyszałkowaty mydłek.

Stach, ważąc każde słowo, jakie padało, przyznawał, że Rafał trafił w samo sedno.

Zanosilo się na dłuższą rozprawę o Mięrosławskim. Ponieważ Wichura nie miał zrozumienia dla szerszych teoryj, więc począł żegnąć się z kapitanem i Pinińskim, który wprawdzie uważał Stacha za stworzenie niższego rzędu, ale potrząsł ręką jego serdecznie.

Wspólnie przebyta przygoda nocna zbliżyła go bardzo do Stacha i ludu.

— Do widzenia, towarzyszu! — rzekł z wylaniem. — Spotkamy się pewnie niedługo.

— Skoro Prusacy zaczną strzelać — bąknął Stach, wychodząc z izby.

Jednocześnie przed oknami zagrała trąbka melodyjną pobudkę zaranną, a im wydało się, że woła: „Do boju! do boju!“

XIII.

Stach i Jędrak zbliżali się do celu.

Jeszcze las i zagajnik sosnowy zasłaniał im widok na panoramę miejsciny.

Skapane w rosie szeregi drzew, prześwietlone i ogrzane słońcem, wydzielały chłód nocny i subtelne aromaty igliwne. Figlarne gwary ptasie, pogwizdy i tręle słowików rozkochanych napełniały świat ten rozbudzony, oddychający pełną piersią, uśmiechnięty czarownie. Zdało się, że wszelkie ptactwo zleciało się z okolicy na święto wiosny, a las w instrument przedziwny przemieniony, gra, śpiewa hymn na cześć przyrody.

Choralne świergoty głużyły zgrzyt kopyt w żwirach i chrzęst kół jednokonnej bryczki, wlokącej się pod górę z Książa.

Kiwał się na niej obok powożącego chłopka jakiś asan, dobrze odpasiony, obrosły, z faj-

ką zwieszającą się na brodę. Strzelił żywym okiem na uzbrojonych jeźdźców.

— Guten Morgen — zwrócił się do Stacha uprzejmie i zagadnął po niemiecku. — Cóż tam słyhać w Nowem Mieście? Czy jest tam jeszcze wojsko polskie?

Wichura potwierdził pomrukiem i zatrzymał konia obok bryczki, spozierając na Niemca zpodeńba, podejrzliwie.

— To dobrze — rzekł podróżny. — Chciałbym tam sprzedać trochę cygar. Im więcej wojska, tem lepiej.. Ilu ich tam wszystkiego?

— Nie wiem; bardzo wielka siła... Jadę zdaleka.

— Z Miłosławia?... Czy warto jechać tam z Nowego Miasta? Podróżuję z cygarami.

Wydobył z sakwy paczkę, rozwinął ją i chciał Stacha poczęstować cygarem, ale on podziękował i bąknął:

— Może warto, aby pan wstąpił do Miłosławia.

— Czy to prawda, że Mierosławski to taki wielki generał?

— O! bardzo wielki. To drugi Napoleon!

— Ach! was?! — zdziwił się Niemiec, niemal przeraził. — Ale wojska ma niewiele...

— Niewiele... — wycedził Stach jakby z ubolewaniem i po namyśle dorzucił, banialukami Niemca karmiąc: — Nie więcej nad 12

tysięcy ludzi, na każde jego zawołanie wszakże stawi się zaraz kilkanaście tysięcy.

Na obliczu podróżującego osiadło zastanowienie.

— Z pewnością wiezie pan rozkazy od generała Mierosławskiego do nowego komendanta Książa?

— A tak...

Niemiec łysnął żrenicą i spytał:

— Aby wycofał się z Książa?

— Nie wiem, co tam generał Mierosławski napisał w liście. Słyszałem wszakże, iż polecił nowemu komendantowi Książa, aby wystosował pismo do generała pruskiego. Nie ma pan w Książu jakiego zaufanego przyjaciela, który odwiózłby taki list do głównej kwatery pruskiej?

— List taki można posłać przez oficera.

— Można, ale Mierosławski sądzi, że niebezpiecznie, bo w drodze oficera może kto napaść. Więc kazał mi wyszukać w Książu jakiego porządnego, lojalnego obywatela... Jeśli mi pan odda przysługę i wskaże kilku odpowiednich ludzi w Książu, których generał pruski przyjąłby łaskawie, dam panu polecenie do mego znajomego w Nowem Mieście, za którego pośrednictwem zrobi pan tam doskonały geszeft.

Niemiec wymienił kilka nazwisk, szczególnie polecając braci Klutowskich, kupców

zbożowych. Wzamian Stach skreślił jego ołówkiem słów kilka do Rafała w ten sposób, aby zwrócić jego uwagę nietyle na cygara, ile na ich właściciela, nazwiskiem Wiesnera, którego podejrzывał o szpiegowanie po polskich obozach.

— Dobrej drogi! — rzucił na pożegnanie spodziewając się, że Garczyński podda „kupca“ ścisłej rewizji i przytrzyma pod kluczem.

Skoro ruszyli dalej, Jędrrek, że to długo nie mógł bez gadania, ozwał się:

— Że też to Ponbóg stworzył takie ludzie, co tak rechczom kiejby świnie...

Począł przedrzeźniać dźwięki Niemca, mruczeć, mamrotać, wielce się tem zabawiając i wydziwując.

Wjechali między chaty Książka, ładnej wsi „rycerskiej“, osiadłej tuż przy boku drewnianego miasteczka, które zgrupowało się i rozrastało wokoło rynku i kilku murowanych budynków a potem wydłużało nieco nad szosą, do Śremu wiodącą.

Uśmiechało się i wdzięczyło polskimi barwami. Na wieży kościoła katolickiego powiewał proporzec i świecił nad okolicą orłem białym. Ratusz, dwie szkoły z cegły i wszystkie inne domy i sadyby nawet w zaułkach przystrojone były, wyświątecznione, więc Stach, jadąc wyboistą uliczką, wśród biało-czerwo-

nych płócien, był niby gość oczekiwany radośnie i radosnym dreszczem przejęty.

I wyszła na jego spotkanie niemal cała załoga, defilując niby przed generałem.

Bo u wylotu uliczki wyrósł gęsty las kos, połyskujących w słońcu. Maszerowały w rynku wszystkie plutony kosynierów na mustre na błonia, każdy z nich poprzedzony przez oficera z dobytym pałaszem, żołnierze w siermięgach, w rogatywkach lub wysokich, starosłowiańskich czapach z polskimi kokardami, twarze młode i stare, czerstwe i pergaminowe a nawet buziaki wyrostków, których rozpierała duma.

Mknęli żwawym krokiem. Wichura, usunąwszy się na bok, przyglądał się im krytycznie. Skoro minęli go, otworzył się widok na oddział strzelców, ale przerażająco mały, złożony z pięćdziesięciu ludzi, źle uzbrojonych w dwu i jednorurki, odwieczne garłacze, ledwie kupy się trzymające. Było między nimi tylko kilkanaście sztucerów i karabinów pruskich, które dzierżyli zbiegli z szeregów Colomba ochotnicy.

Na czele ich stał zgrabny mężczyzna, w którym Wichura poznał znajomego oficera pruskiego: Walenty Jarociński.

Zakomenderował z pauzami, przeciągając śpiewnie:

— Na ramię — broń!

— Od lewego, rotami — marsz!

A oddział odpowiedział piosenką ulotną z r. 31 w takt krakowiaka: „Maszeruj wesoło — Wypogódź swe czoło — Tak rada uchwała — Tra la-la, tra la-la...”

Na rynku, gdzie czerwienił się świeżo wzniesiony zbór ewangelicki ze śpiczastą wieżyczką, pozostało grono oficerów z nowym komendantem w pośrodku, który zaalarmowawszy załogę jeszcze przed wschodem słońca, odbył szczegółowy jej przegląd, zlustrował niemal każdego żołnierza, przemówił kilka słów i wyprawił piechotę na ćwiczenia.

Natychmiast po swem przybyciu Dąbrowski zabrał się żarliwie do sanacji oplakanych stosunków w maleńkim obozie. Zastał go, jeśli nie zdemoralizowanym, to zdeorganizowanym, rozprzężonym. Oburzenie, wywołane ugoda jarosławiecką wytworzyło ferment, z jakiego wybuchł rokosz przeciwko naczelnikom. Oskarżano ich o zdradę i kosy zawisły nad głową pułkownika Budziszewskiego.

Z nowym dowódcą nowy duch wstąpił w szeregi. Poprzedziła go opinia dzielnego żołnierza, który odznaczył się chlubnie przy szturmie na Warszawę, i przemawiała za nim ta okoliczność, że nie łączyły go stosunki ze sferą, jaką posądzano o zdradę. A niewielka lecz marsowa postać jego, obejście uprzejme a nacechowane stanowczością, energja bijąca

ze żrenic, gorliwość widoczna na każdym kroku — wszystko to wywarło odrazu korzystne wrażenie, ukoilo wzburzone umysły, tchnęło ufność. Obóz odgadł, iż uzyskał moralne oparcie, pierś dzielną i dumną szablę żołnierską.

Spokojnie, bez zwrotów krasomówczych i kwiatków stylistycznych, w niczem do Mięrosławskiego niepodobny Florjan Dąbrowski mówił do swych oficerów:

— Moi panowie! Próżniactwo jest wrogiem żołnierza. Będziemy zatem zatrudniać naszych ludzi tak, aby nie mieli czasu ni ochoty do sejmikowania, do politykowania, birbantki lub debat nad oficerami. Mustrą kierować będzie major Dzierżanowski, zaczem piechota zajmie się zaraz laniem kul. Po obiedzie wyszlemy patrole w stronę Śremu i Dolska a kosynierów weźmiemy do wznoszenia barykad i fortyfikowania niektórych placówek. Teraz trzeba nam postarać się o niezbędny materiał, w czem pomoże nam głównie p. Stanisław Mycielski, i obejrzeć sobie całą tę osadę dla oznaczenia miejsc, jakie obwarować należy.

Dąbrowski poznał już Książ o tyle, że wiedział iż miejscina ta drewniana, ścięsniona na nagiej płaszczyźnie, nie nadaje się zgoła na pozycję obronną. Wszelako obowiązkiem jego było przygotować się na każdy wypadek, gdyż rozkaz inspektora jeneralnego do obozów, zatwierdzony przez jenerała Willisena,

brzmiał: ze swoich stanowisk nie ustępować.

Zwróciwszy się do oficerów jazdy, a mianowicie do Franciszka Żychlińskiego, Józefa Czapskiego, Leona Terleckiego i Seweryna Jakiewicza zapowiedział Dąbrowski, że za godzinę konnica ma stawić się do apelu na rynku. Zaczem miał udać się na wizytację pozycji książkiej z majorami: Antonim Kamieńskim i Dzierżanowskim, z inżynierem obozowym Hipolitem Cukrowiczem i panem Mycielskim, gący nadjechał Wichura z jednookim pacholkiem.

— Stawił się! Słowny kawaler! — zawołał na widok jego major, widocznie zadowolony. — Jakżeż smakowała święconka, panie Stachu?

Milem przyjęciem i serdecznym uściskiem dłoni podbity Wichura, lubo nie chępliwy, odrzekł z uśmiechem:

— Smakowała mi, bom zarżnął sobie dzieśnięć pruskich baranów...

— Tam do diabła! Gdzie?! Pan nie próżnuje, ale jakby smok pożera to plugastwo. Jakże to było?

— Ubiegłej nocy tak się przytrafiło szczęśliwie — mruknął Stach i zająknął się zawstydzony, że w takim zebraniu przychodzi mu mówić o sobie i swych czynach.

Szarpnąwszy wąs raz i drugi zdobył się na nieudolną, krótką opowieść o przygodzie pod Wrześnią.

— Potrzeba nam tu takich — rzekł Dąbrowski — więc witam raz jeszcze i życzę w Książu jeszcze obfitszej święconki. Niechaj pan kwateruje, gdzie ks. kapelan Koszutski. Wcielam pana do kompanji Jarocińskiego i to ze srebrnym galonem w randze podporucznika... W armji pruskiej był pan tylko podoficerem, jednakże usługi, jakie pan oddał na strzelnicy poznańskiej oraz duch wojskowy, jakiego pan złożył już kilka wymownych dowodów, kwalifikują go na oficera. To nie ja awansuję pana, lecz pan sam wyniósł się na wyższy szczebel i stał się prawdziwą chlubą wielkopolskiego ludu.

Stach zgoła nie spodziewał się takiego powitania. Zaskoczyło go to, stropiły fawory, spadające na niegodną głowę. Przecież był napiętnowany stygmatem hańby, spoliczkowany ręką pruską, a dotychczas nie załatwił swego z Prusakami porachunku!

Nie miał słowa, ale Dąbrowski ozwał się do otoczenia:

— To pierwszy oficer, który wyrósł nam z ludu...

Uścisnął jego dłoń i wszyscy śladem komendanta winzowali zakłopotanemu awansu, zaczem Dąbrowski rzekł do niego:

— Podporuczniku! Wyszuka pan miejsce odpowiednie na strzelnicę i obejmie kierunek nad ćwiczeniami strzeleckimi.

Jędrak trzymający konie tuż za plecami oficerów, wytrzeszczał cebulaste oko, wyteżał uszy i w srogim podziwie mówił sobie:

— O, la Boga, pon Stach ostał szlachcicem rychtyk!

XIV.

W gospodzie „pod trzema gwiazdami“ w porze obiadowej dnia 26 kwietnia — grono oficerów pałaszowało bigos, cienkiem piwem popijając.

Atak ze strony pułkownika Brandta wisiał nad obozem jak miecz Damoklesa. Nie było można wątpić o jego zamiarach. Starał się on zrazu podbechtać Dąbrowskiego do kroków zaczepnych, przecinając komunikację z dalszą okolicą i przeszkadzając w dostawie żywności. Gdy to zawiodło, szukał widocznie pozoru, z jakiego dałoby się ulepić „casus“, uprawniający go rzekomo do napaści na legalny obóz polski.

Poinformowany o wszystkim przez zbiegłego z Książa pastora Floettera i kilku innych Niemców, a nadto przez szajkę szpiegów ksiąskich, przysłał żandarma pruskiego z poleceniem czuwania nad bezpieczeństwem nie-za-

grożonej ludności niemieckiej, chcąc przez ten bezprawny i nieuzasadniony manewr prowokacyjny doprowadzić do protestu i sporów. I wystosował sam skargę do komisarza śremskiego Antoniego Raczyńskiego, ustanowionego przez Willisena, z powodu prześladowania „mieszkańców przez zbrojne tłumy polskie” — prześladowania, o którym nikt nie wiedział i nie słyszał.

Jednakże zabiegi te nie doprowadziły do pożądanej przez Prusaków scysji. Więc nadsłano ze Śreму jakąś czeladkę podejrzanych, z kryminału wypuszczonych figur, które kręcąc się po Książu, wzbudziły podejrzenie, iż Prusacy na wzór żydów nowomiejskich chcą podpalić miasto.

Wobec tego Dąbrowski, w myśl odebranych rozkazów i życzeń komitetu narodowego unikający sporów z Prusakami, musiał zmienić taktykę. Poleciał komendantowi placu Mycielskiemu, aby przedsięwziął rewizję u podejrzanych osobistości. I okazało się, że kowal Weiss wykradał konie ułańskie, ucinał graby i fabrykował wielkie obosieczne noże, jakie zatykał na drągi. Znaleziono u niego nadto, tak jak w piwnicy Klutowskich, znaczną ilość broni, prochu i kul wskazanych przez Wichurę.

Aresztowano ich i osadzono pod kluczem wraz z kilku innymi szpiegami. Wieść o rewizjach otrzymał Brandt natychmiast i popro-

sił listownie komisarza Raczyńskiego, by przybył do niego bez zwłoki.

Z najwyższem napięciem zajmowali się wszyscy rozwojem tej sprawy, w tem przekonaniu, że ważą się losy, albo raczej, że uzurpując sobie prawo opiekowania się aresztowanymi, Brandt stawia sprawę na ostrzu miecza, że czas nabijać karabiny, ostrzyć kosi...

W ciągu obiadu rozprawiano żywo, gdy wszedł do izby piaskiem wysypanej podporucznik Waligórski, gładki kawaler i znakomity fehmistrz, wołając z progu:

— Raczyński przyjechał ze Śremu!

— I cóż?... Co mówi?... Ile tam wojska w Śremie?... Gadajże?... — padały pytania i wykrzykniki.

— Opowiadał, że Brandt przyjął go bardzo grzecznie, niby w salonie, na winko i gawędkę o kobietkach i płoteczkach. Poleciał mu, aby zapowiedział Dąbrowskiemu, iż jeśli w jaki bądź sposób molestować będzie tych „nieszczęśliwych“ (mówił), pociągnie to za sobą natychmiastowe unieważnienie konwencji jarosławieckiej i bezzwłoczny atak z jego strony...

— To znaczy napaść! — huknął Józef Czapski z błyszczącemi oczyma. — Łajdak w rękawiczkach!

— Rozumiecie panowie! — ciągnął Waligórski. — Snadź Brandt nie wie nic jeszcze

o aresztowaniu tych „nieszczęśliwych“, bo partja jego przedniejszych szpiegów w kozie. Skoro się dowie o tem, a naczelnik ich nie wypuści, wyruszy z wojskiem na Książ...

— Istotnie! Bitwa! Bitwa! — podniosły się głosy.

Kilku oficerów zelektryzowanych zerwało się na nogi, na wszystkich obliczach malowało się skupienie, ze źrenic biły ognie.

— Co odpowie naczelnik? — zagadnął Waligórskiego Mizerski.

— Zawezwał do siebie starszych oficerów i kapelana. Raczyński ma wkrótce zawieść Brandtowi jego odpowiedź.

Gwar zapanował ogłuszający, prawie nikt nie myślał już o obiedzie w ogromnem podnieceniu. Tylko Wichura milczał; nie wypuszczając szklanicy piwa, medytował nad czemś głęboko.

Wpadł w to wrzące zebranie jak bomba bezwasy, ładny jak panna podoficer Lubowiecki, z ćwiartką papieru w ręku, rozpromieniony, jakby uskrzydłony.

— Słuchajcie, panowie! — krzyknął i, skoro uciszyło się, mówił drżącym od wzruszenia głosem — Udało mi się dostać odpis odpowiedzi naczelnika... Zachowam go na sercu... Jeśli cało wyjdę, w ramki oprawię to złote...

— Czytajże u diabła! Czytaj!

Zrazu chłopak nie mógł wydobyć głosu z krtani, drżał niemal jak liść osikowy, taka kipiała w nim fala uczuć. Wreszcie z namaszczeniem i radosną dumą począł czytać odpowiedź jasną, śmiałą i piękną.

Florjan Dąbrowski oświadczał na wstępie krótko w języku polskim, że „nie może uwalniać nikczemnych ludzi, którzy zasłużyli na karę i odniosą ją według praw wojennych, skoro im to przestępstwo zostanie udowodnionem“. A następnie pisał:

„Dziwi mnie niezmiernie, że pan pułkownik posuwa się do pogrózek. Przecież, jako były żołnierz polski pan pułkownik powinien wiedzieć z doświadczenia, że wojsko polskie pogrózek się nie lęka...

„Jakoż, pomimo znacznie przeważającej siły wojska pruskiego, jesteśmy gotowi przyjąć bój.

„A ponieważ przed ludźmi i Bogiem świadczyć się mogę, że nie złamał żadnego z warunków ugody jarosławieckiej, więc odpowiedzialność moralna za krew przelaną spadnie na głowę tych, którzy pod pozorem przywracania porządku, niczem dotychczas niezachwianego, wymyślają powody, aby ten porządek zaburzyć“.

Wulkan entuzjazmu wydarł się z piersi żołnierskich. Wrzeszczano:

— To odpowiedź żołnierska! Rąbnął prawdę jakby szablą! Dał mu nauczkę, renegatowi!

A Stach wyrwany ze spokoju, wskoczył na stół i krzyknął wniebogłosy:

— Niech żyje Florjan Dąbrowski!... Bitwa! Bitwa! Bitwa!...

I wszyscy zawtórzyli z całej piersi, z całego serca.

Tymczasem Dąbrowski wyprawił gońców do Nowego Miasta z zawezwaniem, aby Garczyński przybywał z całą siłą i żywnością do Książa, zaczęł przyjał kilku oficerów, którzy nadjechali z innych obozów, aby nakłonić go do natychmiastowego rozpoczęcia bojów. Byli to przeważnie emigranci, dobrze mu znani z Paryża, dwaj Rostkowscy, Szyszyłowicz i Daleszyński.

Z czem przybyli, major domyślił się odrazu. Słuchał wszakże wywodów ich uważnie, ważąc w myślach raz jeszcze stokrotnie przemysłane rzeczy, aż wreszcie zabrał głos:

— Nie do mnie się zwracajcie, lecz do Mierosławskiego... — począł. — Od niego pochodzi komenda, on ma chyba plan, w którym Książ gra tylko pewną rolę. Gdybym przedsięwziął coś na własną rękę, primo byłoby to szaleństwem, zważywszy, że mam dotychczas wszystkiego 50 strzelb, secundo mogłoby plan Ludwika wniwecz obrócić.

— Czyż on ma jaki plan?! — wpadł Rostkowski.

— Wątpić przecież nie można! — zawołał Dąbrowski. — Zbliża się jego wielka godzina, o której niezawodnie nieraz marzył... Teraz będzie mógł okazać przed światem swe jeneralskie zdolności...

— A cóż major zaleciłby mu? — spytał Szyszylowicz ciekawie.

— Hm, cobym uczynił na jego miejscu?... Uważajcie. Ja, w tym kurniku, nie mogę zdziałać nic innego, nawet z całą siłą Garczyńskiego, jak kolumnę Brandta przygwoździć tutaj i zmitrężyć. O akcji zaczepnej z mej strony myśleć nie można. Przypuszczam, że Mierosławski rozumie to doskonale. I czyha na okazję do łatwego, zupełnego zwycięstwa... Otóż powinien on już tej nocy wyruszyć z Miłosławia. Jednocześnie wysłać rozkaz do Goślinowskiego do Jarocina, aby bezzwłocznie spieszył do Nowego Miasta ze swymi dobrze uzbrojonymi strzelcami. W łączności z tą siłą, doprawdy można czegoś dokazać, zwłaszcza przeciwko kolumnie, wyczerpanej bojem. Powinien on zająć pozycję poza lasem boguszyńskim, na wzgórzu, z którego sam ukryty obserwować może, co się tutaj dzieje. Jazdę swoją mógłby rzucić na północ Książa, pod lasy zakrzewskie, aby odciąć wrogowi odwrót. Jeszcze lepiej byłoby, aby nadto cały obóz ple-

szewski przyzwał na pomoc, kierując go na Nowe Miasto.. Ale i bez niego rozbije Prusaków, jeśli niespodzianie uderzy na nich wtedy, gdy ja i Garczyński upuścimy Brandtowi krwi... Powiadacie: „Nie czekać na Prusaków, lecz natrzeć na nich“. A ja sądzę, że nie chodzi o to abyśmy pierwsi strzelili, lecz o to, abyśmy wszyscy społem przedsięwzięli rzecz uplanowaną i mądrą i wykonali ją sfornie i męźnie...

Na to posypały się różne zdania. Zanościło się na długie rozprawy, lecz Dąbrowski nie miał cierpliwości ani czasu na dyskusję, z jakich nic sobie nie obiecywał. Więc przerwał:

— Jedźcie z tem, co powiedziałem do Mierosławskiego, jeśli chcecie.

XV.

— Jędrku! — huknął Wichura, wchodząc zamasyście do izdebki, jaką zajmował z Waligórskim i Glapą.

— Pojedziesz ze mną na wywiad do Śremu, by zajrzeć w paszczę wilkowi i policzyć jego kły.

— Co słyszę?! Wywiad?! — wpadł Waligórski nim Jędrak otworzył gębę. — To i ja z wami! Mogłaby mi tu przyjść ochota odgrywać się w marjasza. Wczoraj wieczorem za-

brali mi dziesięć talarów. Będę na twe rozkazy, Stachu, za chwilę. Poskoczę... po całusa.

Prysnął gdzieś między krańcowe domki drewniane, a powrócił wkrótce rozgrzany „smakowitym“ całusem, który, jak twierdził, nasycił go i moc w nim rozbudził „djabelską“.

Jędrrek żwawo gotował się do drogi. Pod Wrześnią, zbierając karabiny poległych landwerzystów, nie omieszkał zgłębić ich „kiesieni“, zabrać srebrny zegarek i nieco „dziągów“, aby „w ziemi się nie marnowały i robactwa nie truły“. I teraz podniecała go nadzieja, że trafi się sposobność do wyłowienia kilku talarów.

Jeszcze dzień stał wysoko, gdy harcerze ruszyli w pięć koni.

Zatrzymali się w Olendrach Sroczyńskich u gospodarza, fizjognomją i uczuciami przypominającego Stachowi Karasia z pod Strzałkowa.

Wichura nabył odeń kilka kur i dwie świnki, zabrał nieco warzyw, następnie przydziął się w odświętną kataną gospodarza, przedzierzgnął się w kmiecia z roztarganemi wąsiskami i wraz z Jędrkiem, również odartym ze splendorów żołnierskich, puścił się na chłopskiej dwukolnej biedce do Śremu. W snopie, na którym siedzieli, ukrył kordelas i dwa nabite pistolety.

Już w najbliższej wsi, Łęgu, obozował batalion piechoty linjowej. Zdawać się mogło, że lud wszystek wymarł czy pochował się w myśie jamy, gdyż nie było widać nikogo oprócz żołnierzy. Na podwórzu przechadzał się niby kogut feldwebel i czuwał nad stalowo pomalowanym wozem z amunicją. Przejeżdżające biedce przyglądał się z podełba, lecz nie zaczepił nieruchomo siedzących, jakby drzemających chłopów.

Do Śremu pchnęła Stacha ciekawość, chciał poprostu zajrzeć wilkowi w kły, aczkolwiek sądził, że gdyby nawet udało mu się pociągnąć żołdatów za język, nie dowie się od nich niczego. Sami przecież nie znali dnia ani godziny wyprawy na Książ.

Gdzie kwateruje pułkownik v. Brandt, Wichura domyślił się, widząc dwóch piechurów na warcie przed bramą landratury. I strzeliła mu myśl do głowy, że powinien polować na Brandta i zgładzić go kulą. Niechajby go potem rozstrzelali!

Bijąc się z takimi myślami, rozbierając kwestję tę zasadniczo, wałęsał się i sprzedawał kury, zagadując ludzi o sprawy wojskowe. Zaczem udał się do wybitnego obywatela polskiego, sędziego, i od niego uzyskał informację, rzucającą światło na najbliższe plany Brandta.

Sędzia skarżył się, że kwatermistrz kazał mu przygotować na dzień następny pomiesz-

kanie dla kilku oficerów. Z tego zaś Wichura wywnioskował, że Brandt oczekiwał jeszcze posiłków, prawdopodobnie z nad Obry, a zatem przed upływem jednej i pół doby na Książ nie wyruszy.

W domu sędziego przebywał podpułkownik Blumenthal, dowódca kolumny, z wojskiem Brandta operującej. W gawędzie z sędzią wygadał się on, że u Brandta zjawił się pewien polski obywatel ziemski, który poddając się pod władzę pruską, doniósł mu, iż na zjeździe w Wykaszycach delegaci z obozów polskich postanowili na pierwszy strzał ze strony pruskiej odpowiedzieć nie tylko strzałem ale roznieceniem powstania ludowego na tyłach armji. Nazwiska tego polskiego przyjaciela Prusaków Blumenthal nie wymienił, a Stach pragnął poznać imię to...

Podczas rozmowy Stacha ze sędzią, Jędrek siedział na biedce, gdzie świnki ze spętanymi nogami głośnem kwiczeniem uskarżały się na swą niedolę. Rozczuliło to wrażliwe na odgłosy takiej niewoli serca landwerzystów pruskich, przechodzących ulicą, gdyż zabrali sobie świnki bez skrupułu, albo raczej ujęli się za srodze przez niekulturalnych Polaków uciśnionemi stworzeniami. Ponieśli przez ulicę w triumfie wybawione przedmioty okrucieństwa polskiego... na rzeź.

Wracając na Olendry, Jędrrek zwał ordynarnie postępki landwerzystów kradzieżą, złorzeczył im a potem, dając folgę nagromadzonym refleksjom ozwał się:

— Co też to za moc tych żołnierzków! Oni nas wszystkich pozabijają...

— Jeśli my ich nie pozabijamy — bąknął Stach.

Frasunek wielki ogarnął Jędrka.

— Psiamać, jak oni mnie ustrzelą...

— Nie minie cię to, co ci sądzone — rzekł Stach.

To uspokoiło chłopaka. Jeśli nie minie go to, co mu w niebie sądzone, to pocóż miałby się frasować? Strachać kiejby koń przed lada cieniem? Było mu sądzone, że pójdzie na wojenkę, boć w Opoce wysiedzieć nie mógł, choć gospodyni placki na święta piekła, okrasy mu nigdy nie żałowała, a gospodarz, bywało, że pięścią go zdzielił, ale na gwiazdkę buty nowiuteńkie mu darował. A nie wysiedział, bo mu było sądzone iść za panem Stachem. Bóg wie, co będzie dalej. Może te psiejuchy bagnet pod żebra mu wpakują, może kulka zętną niby makówkę? Ha, będzie co mu sądzone...

— Mówiłem ci już raz — ciągnął Stach — że jak cię Prusaki ustrzelą, to szkody stąd dla kraju nie będzie. Bez każdego z nas Polska wyżyje. Ale o to chodzi, aby za twoje życie

Prusaki jak najdrożej zapłaciły, rozumiesz? I ten z nas, żołnierzy książskich, najlepszym będzie, kto najdroższy. Jeśli to wiesz, toś żołnierz polski, a nie — toś dureń i zawczasu się wynoś z obozu, byś fetorem tchórzostwa innych nie zarażał.

Jędrak z najwyższem skupieniem zastanowił się nad tem. Mocowało się w nim coś: robił generalny, ostateczny z sobą porachunek. Wreszcie, po długiem milczeniu rzekł hardo z mimowolnym przytykiem do rzekomego szlachcica:

— Jom też polski żołnierz, chociażem nie szlachcic...

A Stach rzekł:

— Jak legniesz za Polskę, to cię Matka Boska w niebie uszlachci...

Tak sobie gwarząc, przejechali Łęg, układający się do wieczornej ciszy w mgłach nadwarteńskich łąk.

Jeszcze w dworskim ogrodzie warzywnym pracowały kobiety na zagonach kapusty. Barwne ich kiecki migotały na tle seledynowym.

Nagle zwrócił się ku tym niewiastom piechur pruski. Skradał się pod zwiesistemi chruściami, biegnącemi wzdłuż rowu pod ogrody.

Stach zatrzymał konia, w okamgnieniu zeskoczył z wózka i, wręczając Jędrkowi kordełas, szepnął:

— Pędź za nim drugą stroną chrustów i jakby on nagabywał te kobiety, to... pokaż co umiesz!

Sam, uzbroiwszy się w pistolet, pojechał nieco dalej. Droga zbacziała tam na lewo i wysokie topole zasłaniały wehikuł przed oczyma wsi.

Pozostawiwszy tam konia, pomknął zpowrotem ku Łęgowi. Lecz nie zapuścił się we wieś; usiadł pod studnią opodal szeregu chrustów, namyślając się, czy w danym razie nie posłaćby piechurowi kulki, chociaż nie chciał hukiem strzału alarmować żołnierzy.

Słuchał. Piskliwe krzyki wydarły się z poza przysłony zarośli, głos męski zatrzepotał przez moment w oddali i wszystko ucichło. Wreszcie Jędrak wypadł łącie charcim skokiem na pole. Sadził w stronę wyniosłych topoli. Wtedy Wichura podążył do niego.

Jak pies zziąjany i drżący z wyczerpania chłopak. śmiał się całą gębą, kordelas ocierając w liść łopianowy.

— O! Bestjo mocna! Tom się zmęczył!... Jak on dzieuchę jedną za spódnik przycapnął, tom z kierzków na niego sujął, ale psianoga w mig pałaszyk wyciągnął, dzieuchy poniechawszy. Takiego knypa bojać się nie będę, myślę. Ani się nie pomiarkował, jakem mu garść piasku w pysk śmignął i skoczył na piersi. Strasznie się bestyjo bronił, ażem się

potem oblał. Ale mnie odedrzeć nie mógł. Nie dałem się. Zęby mi cierpły. Wpakowałem mu ten nóż w szyję. Zara się obalił. Buchnąłem go jeszcze raz w piersi, głęboko, aby się nie męczył... Pałaszyka zabrać mu zapomniałem...

Odetchnąwszy spracowaną piersią, do-rzucił:

— Miał w kiesieni talara i trzy srebrniki.

— Tegoś zabrać nie zapomniał, ty hultaju! Oddasz te pieniądze pierwszemu starcowi, jakiego spotkamy!... A coś zrobił z trupem?

— Narzuciłem chybcikiem na niego całkiego kupę ziemi. Będą mówili, że uciekł przed bitwą.

Poganiiali konia, bo chmury srogie rozpostarły się na sklepieniu i zanosilo się na ulewę. Spadło kilka ciężkich kropli, potem runęły potoki wody, smagając ziemię niby różgami.

W izbie pod strzechą gospodarza zastali chmarę chłopów, bab i dzieciarni, albowiem wieść o przybyciu patrolu z Księża rozeszła się po Olendrach szybko i zwabiła lud, a zwłaszcza tych, co gwałtami załogi przerażeni zbiegli z Łęgu i schronili się w sąsiedniej wsi. Cisnęli się oni do żołnierzy ksiąskich, aby poskarżyć się, podzielić niedolą i niejako oddać pod ich opiekę.

Ze łzami w oczach opowiadał chałupnik z Łęgu, że żołnierze pruscy gospodarowali tam

jakby u siebie, zabierali co im się podobało, a oficerowie nie mogli zapobiec bezprawiu. Gdy sołtys powoływał się na prawo, groził skargą, sierżant odpowiedział mu, że ustawy są dla ludzi, a Polacy to zwierzęta. Jeśli załoga nie zrabowała dworu, to tylko dzięki temu, że mieszkało w nim kilku wyższych oficerów.

Sąsiadce chałupnika skradli żołdaci świnię i zarżnęli, a gdy zrozpaczona kobieta poczęła im wygrażać, piechur uderzył ją kolbą w pierś tak brutalnie, że padła i wyzionęła ducha.

Wśród takich opowieści oburzenie wrzało w piersiach Waligórskiego, Wichury i wszystkich. Rozlewała się żółć, kamieniały serca i Stach wykrztusił wkońcu przez zaciśnięte zęby:

— Zapłacą za to... jutro w Łęgu.

Wyciągnąwszy się do snu na słomie obok Waligórskiego, szeptał z nim coś, knował.

Przed wschodem słońca partja harcerzy wyrwała się ze snu. Kieliszek śliwowicy i kęs chleba zastąpiły śniadanie, po którym zaraz pokłusowali w stronę Łęgu.

Pod staremi topolami Stach rzucił komendę: halt! Pozostawiwszy przy koniach ułanów, pospieszył z Waligórskim i Jędrkiem tam, gdzie studnia z desek zbita zaznaczała swe istnienie wysokim żórawiem. Kilkadzie-

siąt kroków za nią rozpoczynał się szereg strzech chłopskich, a od prawego jej boku biegł kolczasty żywopłot, odcinający zagony chałupników od pola młodą gryką wymajonego.

Zaszyli się w gruby, chwastami poprzerastany wał chróstów, przyczaili się w nich w kuczki skuleni, niby na stanowisku — rzędem: Stach, Jan Waligórski i Glapa. Obnażony pałasz polyskiwał przy prawej nodze oficerów.

Kur zapiał, zawtórzyły mu inne i tak podawały sobie codzienne hasło: ranek! Zrozumiał to czworonożny stróż i zaszczekał, oznajmiając ludziom, że czas dźwignąć się z legowiska.

Wieś budziła się, żołnierze przecierali oczy, lecz głusza, kwileniem ptaszyn przerywana, leżała wokoło żywopłotu, jakby obciążona ołowiem sklepienia i wieczysta. Niekiedy przed nosami nieruchomej trójki na czatach opadała z kiści chróstowych posłyszalnie kropla deszczowa i wydawała się doniosłym wydarzeniem.

Nareszcie doleciał ich uszu zbliżający się tupot butów, miarowy i ciężki, i skrzypienie wiader na noszach.

Twarzami zwróceni ku studni żołnierze, strzeliwszy okiem w bok, dostrzegli poprzez gąszcz prętów żołnierza kroczącego szeroką ścieżką. Stach zwrócił wzrok na twarz są-

siada, poruszył wargami i przesłał mu ciche jak brzęk muchy:

— Ja pierwszy...

Zaparły się oddechy. W ciszy otulającej przyrodę odgłos kroków nabierał powagi ogromnej, był pochodem cyklopa czy Guliwera z bajki.

Twarz Stacha skamieniała w wyrazie strasznej zaciętości chłopskiej.

Jeszcze chwila — lodowata, brzemienna grozą tragiczną, potem świst pałasza, łoskot i brzęk padających wiader, i Prusak rozplątany rozciągnął się na ziemi.

Jędrak jak psiak wyprysnął, porwał go za nogi i pociągnął w bok. Usłał go w brózdzie, zaczęł kałużę krwi i szlak czerwony zasypał ziemią i, pozostawiwszy wiadra, gdzie leżały, usiadł na swem miejscu pośpiesznie.

Nie zamienili ani słowa, które byłyby marnem i płonnem mamrotaniem tam, gdzie mówi pałasz i panuje czyn.

Upłynęło kilka minut w pokoju, aż wreszcie piechur pruski pojawił się na ścieżce. Spieszył po towarzysza, który nie przybywał z wodą. Zbliżył się do porzuconych wiader, schylił po nie — i padł na nie twarzą, rąbnięty w kark pałaszem Waligórskiego. Przewrócił się na bok, zacharczał, zadygotał cały w ostatnim skurczu i legł rozkrzyżowany we krwi.

Znów Jędrrek wyrugował zwłoki w bródzde i skrył się pod obwiesiste chrósty. A Stach szepnął:

— Baczność!... Pistolety i nogi w pogotowiu?

Milczenie błogie roztoczyło skrzydła białe. Zapach krwi drażnił nozdrza, rozchodził się w powietrzu, niepokój jakiś rzucając między wróble, które siadłszy na rampie studni, trzepotały się nerwowo.

Stach spozierał na nie przez chwilę bezmyślnie, potem wysłał wzrok na zwiady ku chacie.

Ujrzał kilku żołnierzy kręcących się przed jej drzwiami. Znikli w jej wnętrzu, ale niebawem wynurzyło się dwóch ludzi: sierżant i kapral, całkiem umundurowani.

Zmierzali ku studni, jeden o kilka kroków przed drugim.

Wargi Stacha zadrgały szeptem:

— Pałasze!...

Przypuścili ich do studni. nim wypadli z zasadzki.

Kłątwa siarczysta wydarła się z ust i źrenic sierżanta. Cofnął się, sięgnął po pałasz, lecz w tej chwili runął pod strasznym jak piorun ciosem Wichury.

Kapral zaś, zagrożony przez Waligórskiego, próbował uciekać, lecz zgrabny, lekki pod-

porucznik powalił go o ziemię, raniąc śmiertelnie.

W tym momencie wyskoczyło z chaty w krótkich odstępach czasu czterech żołnierzy. Na widok, jaki uderzył ich oczy, podnieśli krzyki i kilku ich towarzyszy puściło się na podwórze po broń. A oni, bezradni spojrzeli na Waligórskiego, który bezzwłocznie cofał się pod liście chróstów.

— Die verfluchten polnischen Hunde! — Przeklęte psy polskie! — wyrzucił jeden z nich w osłupieniu, lecz nie odważyli się natrzeć na nich, pomścić towarzyszy.

Już mieli poskoczyć za innymi po karabiny, gdy gruchnęły trzy strzały.

Dwóch żołdatów przewróciło się, reszta pierzchła. A gdy ukazały się przed chatą karabiny, trójka harcerzy migotała na drodze między drzewami.

Huk strzałów rozległ się — jak salwa finał.

Pięć koni mknęło cwałem ku Olendrom. Nie spodziewając się pościgu, jeźdźcy w pół godziny ściągnęli cugle i Waligórski odezwał się:

— Podzieliliśmy się zgodnie!... Ale dalibóg wolałbym pojedynek.

— To wojna, kolego, nie zabawa rycerska. To wojna!

— Tak... — bąknął młody szlachcic, a Wichura odczuł, że bój regularny więcej byłby

odpowiadał upodobaniom rycerzyka, że pierwszy raz widząc kałużę krwi, doznał odpychającego wstrętu.

— Wrzкомо robi się na dołeczku, co? — sarknął Stach. — No, macie przedsmak jutrzejszej pohulanki...

Zamyślił się i westchnął:

— Miękkie to te szlacheckie natury, oj miękkie! A Polak, psiakrew, musi być tak twardym jak żelazo, a nawet tak bezlitośnym teraz, jak bezlitośnym jest los zgotowany nam przez Prusaków...

XVI.

Jak Książ Książem nigdy jeszcze senliwa miejscina, ni wszierz, ni wzwyż nie strzelająca murami, nie roila się od takich nieprzebranych zastępów, jak dnia tego, gdy tłumy chłopstwa napłynęły na wezwanie Dąbrowskiego. Obliczano je na dwa tysiące głów. Błąkało się to po uliczkach, zaglądało do szynków, wysiadywało na przyzbach, aż naczelnik rozkazał zgromadzić ich na błoniach, gdzie wszczęły się w ich oczach ćwiczenia plutonów kosynierskich. Następnie oficerowie zajęli się grupowaniem przybyszów w oddziały, aby bezkształtnej masie nadać chociaż tylko luźną formację wojskową.

— Ah, gdyby kosy te zamienić można na karabiny... Moglibyśmy wtedy myśleć o zwycięstwie — westchnął Mazurkiewicz, organizujący kosynierów.

— Czeka nas śmierć chlubna... — szepnął oficer.

— Nie można wiedzieć, czy nie uda nam się zadać Brandtowi ciosu, który go ubezwładni na pewien czas. Przecież Garczyński pospieszy nam na odsiecz! — mówił Sokolnicki.

— Nie rozumiem — wtrącił kapitan Różbicki — jak Garczyński mógł w takiej chwili stawiać się na stanowisku formalisty. Wiecie, iż na prośbę Dąbrowskiego o przybycie odparł, że „dyslokację sił ma prawo zarządzić tylko komitet“. Teraz gdy Prusacy unieważniają ugodę jarosławiecką i na kark nam wsiadają, ten piwowar bredzi nam coś o dalekim od nas i zresztą rozprzegającym się Komitecie! Jak można było mianować takiego trutnia wodzem, wyposażać pewną samodzielnością zgoła niesamodzielnego safandulę?!

— Ale Mierosławski przyśle mu niewątpliwie rozkaz połączenia się z nami — pocieszał Mizerski. — Niepodobieństwo, aby 50 strzelców i 125 kawalerzystów potykało się z sześciu czy siedmiu tysiącami Prusaków!? Co się tyczy kosynierów, to w pierwszym zapewne decydującym boju skazani będą na bezczynność.

— Pruskie wojsko tchórzem podszyte

— Landwera.

— I pułki linjowe. Przekonacie się. Ja ich znam — rzekł młody podoficer, zbiegły z szeregów pruskich.

— Działa i olbrzymia przewaga liczebna dodadzą im animuszu...

Rozłożeni na trawie dookoła dymiącego kotła rozmawiali tak, gdy z zagajnika boguszyńskiego o ćwierć mili odległego wypadł jeździec w cwale.

Na sylwetkę jego, spadającą na Książek, zwróciły się oczy wszystkich. Oficerowie rzucili się hurmem na gościniec nowomiejski i zabiegli drogę wspaniałemu ułanowi z lancą u nogi, który osadziwszy na miejscu śliczną, rasową klacz, powitał ich radośnie i oznajmił, że dwa półplutony Karczewskiego i Węgierskiego maszerują pod Wargockim do Książa w myśl pisma Mierosławskiego. Zaczem zawołał:

— Zostaję z wami!

— Brawo! Niech żyje! — huknęli książanie, a gracki ułan, przytknąwszy palec do czoła, przedstawił się.

— Jestem Piniński.

Zapisał on sobie głęboko w duszy przestrożę kapitana Wargockiego pod adresem szlachty, zawartą w piosence gminnej, i wydarł się na front zagrożonego wojska, aby nikt

nie miał prawa zaśpiewać mu z przekąsem: „Nie chcieliście jechać naprzód, pojedziecie w tyle“.

Niebawem Stach i Rafał ściskali się wśród serdecznych wiwatów, jakimi witano nowomiejskich żołnierzy. Eskortowano ich na rynek przed kwaterę Dąbrowskiego. Zbiegło się mnóstwo i żołnierzy i mieszczan. Osiemdziesięciu strzelców wydało się bardzo poważną siłą. Gdy złożono broń, Węgierski poczał w towarzystwie Stacha oglądać warowne pozycje.

Najsilniejszym zdał się ratusz w pośrodku ryneczku. Otaczał go zewsząd wał obronny z brył kamiennych. Okna były do połowy pozabijane deskami. W podobny sposób umocniono inne murowane budynki i kościoły, a wszystkie dostępy do rynku zatarasowano na łokieć grubemi barykadami. Niemniej wyłoty z miasta zamknięto murami, do piersi żołnierza sięgającymi, a solidniejsze budowle krańcowe zamieniono na placówki warowne, w języku Mierosławskiego redutami zwane. Niewielką zwrócono uwagę na południową część Książa, gdyż zabezpieczał go tam podłużny staw i łąki grzaskie, błotniste.

Wyszedszy na gościniec do Kiełczyna idący, aby od strony „pruskiej“ rzucić okiem na barykady, przyjaciele spostrzegli przed osobnionym lamusem biwakujący zastęp mło-

kosów, gimnazystów z Trzemeszna. Powąchawszy tam prochu w potyczkach, przybyli do Książa i na własną rękę utworzyli posterunek obronny. Zajęci byli laniem kul w formach, jedni próbowali, czy kule te stosować się będą do luf ich strzelb, inni za duże rąbali na części, t. zw. siekańce, inni wreszcie rozdzielali loftki, proch, kapiszony i pakuły.

— W ścianie lamusa — tłumaczył wąsaty dryblas Węgierskiemu — wycięliśmy szereg szczelin, wzniesli nad nią wewnątrz rusztowanie i zrobili drugi rząd otworów tak, że wszyscy jednocześnie będziemy mogli prażyć Prusaków z naszej kryjówki.

— Ja mam karabin pruski, zdobyty w Trzemesznie! — chwalił się wyrostek o inteligentnej twarzy i byłby z pewnością opowiedział o roli, jaką odegrał w chlubnej potyczce trzemeszeńskiej, gdyby w tej chwili trąbka nie była zawezwała oficerów na apel.

— Tyle zapалу, tyle silnych rąk chłopskich, a nie można zużytkować tego przeciwko najezdźcom krzyżackim... — westchnął Węgierski.

Na rynku zastali niemal całą załogę. Dąbrowski, stojący na stopniach plebanji, przywołał wszystkich oficerów i ozwał się tonem zrazu tak wolnym od emfazy i patosu, że byłoby można wziąć go za urzędnika, gdyby fizjognomja nie była zdradzała tak wyraźnie męża wojny:

— Według wszelkiego prawdopodobieństwa jutro wystawieni będziemy na atak... Rozkaz brzmi: „Nie ustępować bez walnej bitwy“, więc nie ustąpimy... A ponieważ wróg przewyższa nas siłą wielokrotnie, my zatem musimy przewyższyć go cnotą... Liczę na to, że każdy żołnierz spełni swój obowiązek, że każdy oficer dzierżyć będzie wysoko sztandar honoru polskiego, że każdy Polak potrafi umrzeć za ojczyznę...

To rzekłszy z mocą stalową, jakby coś znanego każdemu z kodeksu wojskowego, zabrał oficerów i począł wyznaczać stanowiska poszczególnym oddziałom.

W ramach rynku zewsząd obwarowanego pozostać miały cztery plutony kosynierskie, reszta zaś siły zbrojnej przeznaczona była na pierwszą linię obronną. Rozmieszczono ją na półkolu od zachodniego krańca stawu aż niemal do Książka, trzy dostępy do miasta trzema potężnymi barykadami zamknąwszy. Na lewym skrzydle Fałęcki i Karczewski czuwali nad głównym gościńcem ze Śremu, pobliskie zasieki i domki obsadzono kilkunastu kosynierami i starszego wieku strzelcami. Pozycję pod Książkiem zajął kapitan Wargocki, a środkową, ku błoniom zakrzewskim spozierającą, Jarociński i Węgierski oraz artylerzysta Lucjan Bajerski z armatką. Niejako łącznikiem między barykadami Fałęckiego a Jarocińskie-

go był Wichura, który obsadził jednopiętrowy domek, wysuwający się nieco poza obręb ogródków warzywnych, drzew i zabudowań miejskich.

Z powodu różnolitości broni każdy strzelec musiał troszczyć się osobiście o swoją amunicję. Jarociński i Węgierski kazali sobie zaraz po odejściu Dąbrowskiego zaprezentować zapasy kul i prochu, oglądali wszystkie fuzje, sztucery i karabiny. Trwało to niemal do wieczora.

Zaczem strzelcy i kosynierzy udali się do kościoła na naukę kapelana.

Mrok głęboki zasnuwał nawę, przykrywał kirem ciemne obrazy w ołtarzykach. Świece płonące na nich migotały czerwonym światłem, uwydatniając czerń przesycającą przestrzeń, w której tu i ówdzie chwiały się smugi małych błysków, niby mury z grobowców powstałe. Na kazalnicy majaczyła widmowo czarna postać otulona w cienie, świecąca bladym jakby woskowym obliczem ascety.

Gdy ucichły kroki i szepty, rozległ się z wyżyny głos grzmiący nutą szlachetnego wzruszenia, grający arfą uczuć wielkich.

— Uśmiechnęło się szczęście — mówił ks. Koszutski w arcykapłańskim natchnieniu — zawitała wielka nowina i zdało się, że zapada się wieko nad długoletnią niedolą ziemi pia-

stowskiej, otwiera się brama nowej ery — ery wolności i braterstwa.

— Lecz jasność zagasła. Ręce, co wyciągały się do Polaków jak do braci w Chrystusie, wygrażają im niby złoczyńca, acz nie zdradzili oni przyjaciół.

— Duch zła powstał z piekieł, o władnął synami tych, co ongi pod płaszczem w krzyż Chrystusowy zdobnym, nieśli mordy i pożogę. Przyjaźń pruska ujawniła swą prawdziwą barwę.

Ciężkie westchnienie uleciało z piersi kapelana, przesycone bólem nad ogromem nieprawości i zdrady pruskiej. I wyciągając ramiona w mroki, sinemi blaskami kos rozjaśnione, zawołał z głębi duszy:

— Zbliża się wielka chwila, w której ty, ludu kochany, masz zaświadczyć, iżes kością z kości polskich i krwią z krwi polskiej, iż ból narodu polskiego jest twoim bólem. „Królestwo Boże w was jest“ — powiedział Chrystus Pan, a ja mówię tobie, ludu kochany: Przyszłość nasza w tobie jest...

— Zbliża się wielka godzina ofiary na ołtarzu Ojczyzny... Pamiętajmy, że każdy musi być gotów do ofiary odkupienia... Pamiętajmy, że krew przelana za sprawę narodu policzoną nam będzie w niebie... Pamiętajmy, że ofiara nasza będzie oczyszczeniem i podniesieniem duszy narodu do tronu Najwyższego...

Pamiętajmy, że patrzą na nas duchy bohaterów Kościuszkowskich...

— Śmierć czeka każdego z nas. Śmierć piękną Pan Bóg zsyła pięknym ludziom a najpiękniejszą jest śmierć za Ojczyznę...

Srebrnym dźwiękiem rozplynęło się to słowo, uderzyło o najwyższe napięte struny dusz, nabierzmowanych potężnem tchnieniem mężnego serca, i wydobyło z nich jak z gęśli westchnienie, które zgodnym przeczystym tonem chybotąło w przestrzeni, aż padło na ołtarz.

Serca płonęły jak krze ofiarne i jaśń pannaowała w duszach, wyniesionych wysoko nad prochy ziemskości i wniebowziętych.

Kapelan wyolbrzymiał w potęgę jakąś mistyczną, wznosił się na szczyty, skąd słowo proste przepojone lawą uczuć świętnych, spływa na głowy promieniem słońca, wnika w nieinocą. Zdało się, że to nie człowiek, lecz niespożyty duch narodu wznosi się w ciemnościach gwiazdą przewodnią.

I jeszcze zabrzmiała wspaniała nuta podniesienia, jak wtenczas gdy spełnia się misterjum i staje się cud.

— Oto ja, pasterz, biorę krzyż święty w rękę, biorę chorągiew świętą narodu naszego... Błogosławie was, chrobrzy bracia, i wołam:

„Polacy! Śmierć za Ojczyznę albo zwycięstwo!!!“

Krzyż i chorągiew zawisły nad tłumem w sakramencie Miłości struchlałym.

Na kazalnicy widniał posąg natchniony niby wizja ks. Kordeckiego na murach Częstochowy.

Nazajutrz już o trzeciej zrana roło się wo-koło barykad mrowie strzelców. Wkrótce otrąbiono wsiadanego i ułani pomknęli kłusem na błonia zakrzewskie.

Mijał jednak ranek, godziny płynęły leni-
wie pod ołowianem niebem a patrole jazdy i zlu-zowane forpoczty przynosiły wieść: „nie widać nieprzyjaciela“.

Zrazu oczekiwanie naprężone, niemal bo-lesne, jak przed ostatnią sceną dramatu, trzy-mało załogę w kleszczach. Co chwila wybie-gali z domków strzelcy z gorączką w oczach i rzucali barykadzistom żarliwe pytanie: idą? idą?...

Lecz tam zapanował wkrótce nastrój wy-poczynkowy, umysły zdały się ukołysane w stan beztroski, myśli odchodziły od najbliż-szej przyszłości, rozbiegiwały się. Młody Fe-likś Jarociński wyśpiewywał swój bogaty za-sób piosenek ludowych, zachwycił towarzyszy miłym tenorem. „Spotkały się dwie Marysie

i mówiły sobie...“ wywabiało uśmiechy na młode twarze, potem szło „Niedaleko Zanie-myśla...“, dalej, „Nie chciała, nie chciała — we wianeczku chodzić“ i niejednemu przesu-wały się przed oczyma wianeczki i czepeczki, niejeden westchnął ukradkiem i anegdota spędzał smutek z czoła. Koncepty wędrowały po szeregach, Jędrak fantazjował na tle przeby-tych potyczek, mędrkował, ktoś inny wróżył z ręki, a Stach z czapką wygalowaną i nabakier naciśniętą, rozłożony pod barykadą, zaja-dał kielbasę, kołaczem przegryzając. Kapitan Jarociński wyjaśniał przebieg bitwy pod Raj-grodem pod względem strategicznym, a środek barykady zdobił swą posagową postacią Węgierski.

Wsparł łokieć na lufie żelaznej armatki, umieszczonej tam, niemal wmurowanej i gładząc lśniący kruczy wąs, przyglądał się w mil-czeniu ułanom, którzy harcowali na zielonym kobiercu, borykali się lancami, i zdał się z ka-mienia wykutą i dla ornamentyki umieszczoną figurą rycerza-bajronisty.

Wspomnienia kwietne zasłoniły mu oczy, i głuchy na rozgwar otoczenia, zanurzył się w śnienie sielankowe Filona.

— Hej, Rafale! huknął Stach i wyrwał go z różowego obłoku. — Gdzie zapodział się Bach-Lewiński?

— Zdaje mi się, jest w Miłosławiu.

— Czy tylko nie zapomniał przekazać testamentem tysiąca talarów na ręce twego ojca?

— Istotnie przegrał zakład.

— Przegra każdy Polak, stawiający na Prusaka.

— Przyznać trzeba — zauważył po namyśle Rafał, — że chłopski rozum okazał się najmędrszym rozumem. Lud jeden wyczuwał od początku, że to musi skończyć się na walce. Nasz rozum był w mózgach a chłopski rozum w niczem nie zafarbowanym instynkcie.. Wogóle kwestja, czy filozofja ludu nie jest najmędrszą z filozofij życiowych.

— Nie znam się na filozofji — wtrącił kapitan Jarociński — ale zdaje się, że cała mądrość naszych polityków i dyplomatów nie była warta funta kłaków. Mniej nawet! Funt kłaków przydałby się na pakuły, a ich mądrość wygłupiała nas przez miesiąc tak, iż zmarnowaliśmy najstosowniejszy czas do czynu.

— Ale we Florjanie Dąbrowskim nadzieja! — zawołał młody Lubowiecki.

— Naczelnik nasz nie jest może największym z Dąbrowskich — ozwał się Węgierski — ale to pyszny typ żołnierza. Gdy o nim myśle, przypominają mi się słowa Augusta Sułkowskiego z czasów Stanisława Augusta, który brodząc w kałużach wszelakiej nikczemności, orzekł, że „Sarmatorum virtus veluti extra ipsos“, czyli, że Sarmaci nie mają cnót, tylko

ich pozory. Otóż Dąbrowski Florjan zadaje temu kłam swą osobą, charakterem, męstwem i za to mu cześć!

— Prawda! — dorzucił kapitan entuzjastycznie. — Dlatego już godzien, aby żyć w pamięci narodu.

Tymczasem umiłowany naczelnik, siedząc na barykadzie Fałęckiego, ku Zawodom zwróconej, lustrował przez lupę wojskową brzegi lasku, gdzie kryła się silna forpoczta pod Rozbickim.

— Niezawodnie zaszło coś ważnego — mówił za jego plecami major Kamiński — co powstrzymało Brandta od ataku. Być może, że na skutek przedstawień Willisena w Berlinie minister wojny pohamował zapędy Colomba i zakazał napaści.

— To prawdopodobne — zauważył żywo Mycielski.

W tym razie otrzymamy jakie pismo z admonicjami od Brandta — rzekł Dąbrowski i rozkazał żołnierzom warzyć strawę, gdyż zbliżało się południe.

Atoli pierwszy komendant placu, Dzierżanowski zwrócił mu uwagę, że brak żywności dla nowych zastępów kosynierskich. Ostatni bowiem jej transport wpadł w ręce pruskie. Wobec tego, nie spodziewając się już ataku ze strony Brandta przed upływem dni kilku, Dąbrowski rozpuścił te dwa tysiące ludu do do-

mów, zalecając wszakże, aby były w pogotowiu na każdy sygnał.

Ale pożałował tego.

XVII.

Brandt miał w ręku formalny rozkaz rozbicia obozu ksiąskiego. Jenerał Colomb przysłał mu jednocześnie oficera sztabowego, z którym pułkownik zbadał krytycznie swój plan ofensywy, sporządzony na podstawie donosów i informacji z głównej komendy.

Nie uderzył wszakże na Książ dnia tego z tego powodu, że chciał jednocześnie rozprawić się z temi dwoma tysiącami kosynierów, które według zapewnień pastora Floettera, zbiega ksiąskiego, miały stanąć przy Dąbrowskim dnia 29-go kwietnia. Pastor, wogóle dobrane uwiadomiony o wszystkim, co działo się w obozie polskim, nie wiedział, że tłum kosynierów napłynął do Książa o dzień wcześniej. Przeciw nim zamierzał Brandt skierować rezerwy swe z lewego brzegu rzeczki Obry. Miały one nadto zamknąć przystęp do okolic Borku uciekającym książanom i nie wypuścić ich z sierpu wojsk.

Przeciwno garści Polaków sposobił się on jakby na wielką kampanję, gdyż żywił szacunek dla ramienia polskiego i dla Dąbrowskiego. Aczkolwiek korpus jego, złożony

z sześciu bataljonów piechoty, z kompanji je-
grów, czterech szwadronów jazdy, oddziału
pionierów i siedmiu sześciofuntowych dział,
liczył około 6-ciu tysięcy żołnierzy, Brandt
oczekiwał jeszcze haubicy i inżyniera wojско-
wego, i skarżył się na brak materiału pionier-
skiego. W wyobraźni jego majaczyły nadcią-
gające obozy, nie tylko nowomiejski, lecz ple-
szewski i miłosławski i tysiące kos zwracało
ostrza w pierś jego.

Opanował go niepokój. Zaziębiony tro-
chę, miał podniesioną temperaturę, sypiał źle
i myśli zwichrzone hulały po jego głowie, spę-
dzały sen z powiek. Nawiedzały go koszmary
oraz obraz Mikołaja Dobrzyckiego, upokarza-
jący go jakimś niemym wyrzutem.

Wśród granitów wąwozu, nakrytych głę-
bokim błękitem południowego nieba, kiedyś
dawno, przed zdobyciem Saragossy weselili
się razem, jak tylko potrafi młodość. Urodzi-
wy Mikołaj rozlewał jasne wino taragońskie
i trącając z nim kielichem, mówił:

— Henryku, towarzyszu doli i niedoli, tyś
nasz brat! Nic nas nie rozłączy, jeden żyje
w nas duch! Tyś Polak!...

Uściskali się.

Obraz romantyczny wynurzył się z tu-
manów dalekiej przeszłości, rozkwitł w peł-
nym uroku barw i światłocieni i wionął mu na
skronie ówczesny zapach młodzieńczy i dawno

zapomniane słowa drogiego towarzysza broni zabrzmiały żywo. Serce zabiło młotem, każdy szczegół tej sceny przeżywał raz jeszcze, pił radość z kielicha braterstwa. Lecz nagle zgrzyt fatalny rozdarł błyskawicą harmonję tej chwili.

— Zdrajca!...

Ocknął się. Któż to krzyknął? Kto śmiał?...

Nic. Noc była głucha, Dobrzycki w ziemi...

Wślizgnął się wszakże w duszę szept: „Książ“ i wywołał tępy gniew. Ukłóło go bowiem wspomnienie listu Dąbrowskiego, sparzył go rycerski ton tego pisma, jakby osobista zniewaga. Jakżeż śmiał ten Polak odzywać się doń z pysznym gestem bohatera? Inaczej w r. 1807, gdy Prusy były stratowane, a nad Polską świeciły złote orły Napoleona. Ale teraz bez wojska, bez przyjaciół, bez nadziei rycerskość polska była „bezczelnością“. Nie Dąbrowski, lecz on jako Prusak miał prawo ciskać rękawicę! A Dąbrowski wydarł mu już przed bitwą order bohaterstwa, zawieszony między Śremem a Książem, i spoliczkował go — jutrzejszego zwycięzcę.

Nienawidził „bezczelnego“ żołnierza tego tak, że drżały w nim wszystkie włókna duszy aroganckiej, nienawidził ich wszystkich w Książ-

żu i w Polsce całą mocą nienawiści pruskiej za to, że — musiał ich szanować.

Ugiąć ich pod stopy orła czarnego, spodlić, zdeptać butami pruskimi, pościnać łby harde i po rumowiskach Książa iść w górę, w górę...

Błady, rozstrojony podniósł się z łóżka. Zwołał oficerów i przedłożył im plan bitwy. A po południu, chcąc wyrwać się z koła zajęć i ludzi, pozostać z samym sobą i skupić się, wyjechał konno w stronę Książa z adjutantem.

Posępna zaduma na rysach pułkownika zamykała usta majorowi v. Voigts-Retz. Dopiero gdy za Olendrami Sroczewskimi zawrócili zpowrotem, nic ciekawego w drodze nie spostrzegłszy, ozwał się on do Brandta:

— Przypuszczam, że po pierwszych strzałach załoga ksiąska cofnie się zaraz na Nowe Miasto.

— Nie sędzę — odrzekł po namyśle pułkownik. — Przeciwnie, Książ stawi nam opór zacięty tak, aby nas przygwoździć i wszystkie nasze bataljony zatrudnić. Wtedy, podczas boju, uderzą na nas inne obozy, a mianowicie nowomiejski i Mierosławski, który podobno ma nad Wartą sam do dziesięciu tysięcy ludzi na swe rozkazy. Tak sędzę.

— Ale Mierosławskiego trzyma w szachu generał Blumen — odparł major.

— To kwestja. Pisałem do Blumena, aby demonstracyjnie posunął się nad Wartę i tak zapobiegł możliwej odsieczy ze strony Mierosławskiego, lecz odpisał, iż nie czuje się na siłach.

— Gdyby Mierosławski przybył z siłą dziesięcioletnią, sprawa wzięłaby obrót poważny. Z tą przekłętą bandą w Książu załatwimy się w godzinę?... — rzekł z odcieniem zapytania adjutant, zionący nienawiścią do Polaków, a Brandt ozwał się na to szeroko, z emfazą:

— Ja, ja, mit Xions werden wir bald fertig.

Ale zamyślił się nad ową, w rzeczywistości nieistniejącą potęgą Mierosławskiego. Wprawdzie osobą swoją nie zaimponował mu Mierosławski, jednakże był on taką wśród Niemców otoczony aureolą, że Brandt chwilami nie mógł oprzeć się przypuszczeniu, że Polacy mają w nim generała napoleońskiego pokroju.

— Po rozbiciu obozu ksiąskiego — dodał po chwili — musimy niezwłocznie rozprawić się z Garczyńskim, a pojutrze, pospołu z generałem Blumenem, uderzyć na Miłosław... Tak brzmi rozkaz.

Stępem wjechali w uliczkę Śremu, gdzie zaskoczyło ich zastanawiające widowisko.

Wrzaskliwy tłum żydowski, w który wplątało się kilka mundurów zielonych, postę-

pował w jakiejś groteskowej procesji, niosąc w pośrodku drzewiec, obwieszony białemi i czerwonymi gałgankami. Była to chorągiew polska, która przed przybyciem kolumny Brandta sterczała nad Śremem. Pułkownik kazał ją zwrócić właścicielce, lecz żydzi namówili kilku jegrów, aby zabrali ją gwałtem z sypialni obywatelki, poczem podarli ją w szmaty i w triumfie nieśli przez miasto, aby zatopić ją w kałuży.

Pułkownik nie pochwalał takich wybryków. Chciał przeto niezwłocznie zanotować sobie nazwiska żołnierzy, lecz strzelcy na widok jego czmychnęli, a uwagę jego pochłonęła w tej chwili rozwałkowiona ćma żydowska, która wyszedłszy z synagogi, błąkała się wokół szkoły izraelskiej w nastroju świątecznym i buńczucznym. Część notablów przyłączyła się do pochodu gawiedzi, inni zaś poczęli wytrzeszczać oczy na nadjeżdżającego komendanta.

Cierpkie uśmiechy wykrzywiały ich oblicza, półsłówka i chichoty tłumione witały Brandta a jeden z żydków rzucił głośno, na wiatr, uszczypliwie:

— Na wywiady jeżdżą bez końca, ale Książa wziąć nie potrafią! he! he!

Zawtórzyła mu hurmem zgraja wyrostków, i całe żydostwo sardoniczmem rechota-

niem i chichotaniem, stawiając Brandta pod pręgierz publicznego szyderstwa.

Pułkownik, nieprzyjaciel żydów, łysnął okiem, zatrzymał konia i wykrztusił:

— Mein Freund, jeśli nie będziesz pilnował swego nosa, każę cię zaprowadzić na odwach i wyliczyć ci trzydzieści batów na... Rozumiesz?!

Żyd zaniemówił, pobladł i skrył się gdzieś jak mysz pod miotłę.

A Brandt, ruszywszy dalej, mamrotał do adjutanta:

— Nie dość, że hałastra ta podbechtuje naszych żołnierzy, zatruwa ich jadem swego żądła, własnej skóry oszczędzając, jeszcze odzywa się do mej ambicji...

Targając faworyty, mruczał coś długo pod wąsem.

Wieczór zapadał posępny, dżdżysty, kładł się na głowę niejednego żołdata jak zmora, więc w szynkach śremskich zalewano frasunek i nawet trąbka koszarowa, do snu wzywająca, nie oderwała landwerzystów od szklanicy. Pili i jeszcze późną nocą taczały się po mieście poczty kamradów, wygrażających „polskim psom“.

Na dzień następny zapowiedziano im ćwiczenie polowe w pełnym rynsztunku i o szóstej zrana na dwóch do Książa wiodących drogach czerniły się tysiączne szeregi mundurów, je-

żyły się nieprzebrane lasy lanc i bagnetów. Lecz szeregowcy nie przypuszczali, że wkrótce będą mieli sposobność do wyładowania swej nienawiści rasowej.

Tymczasem na pierwszym postoju, gdzie kolumna Brandta zetknęła się z bataljonami podpułkownika Blumenthala, zagrział rozkaz:

— Formować wojsko w szyk bojowy!

Majorowie podjechali cwałem do swych bataljonów, obwieścili im „radosną“ godzinę, uspokajając żołnierzy zarazem tem, że tylko z garstką Polaków przyjdzie im się zmierzyć.

Na to bataljony linjowe odpowiedziały zwykłemi okrzykami, a landwerzyści — milczeniem grobowem i rzadkiemi minami.

Dowódca zwrócił konia do ich rot, popatrzył badawczo w brodate, chmurne twarze obywateli, którzy dotąd prześcigali wszystkich w niepożądanych rozbójniczych przejawach uczuć patriotycznych, lecz nic nie rzekł. Wyprawił oficera ułanów, noszącego nazwisko von Burski, z poselstwem do komendanta Książa, żądając w swem piśmie, aby Dąbrowski zdał się na łaskę i niełaskę, w przeciwnym bowiem razie czeka go zagłada.

W ślad za ułanem ruszyły wojska.

Tu i owdzie na równinie pojawiały się małe patrole jazdy polskiej, z lasku pod Zaworami wynurzyła się forpocztą i zdążała do Książa. Niepokój zapanował na całej panora-

mie, jakby przed huraganem, gdy wichler zrywa, gna z poświstem fale liści suchych i strwożone ptactwo rozwiewa się, rozlatuje. A na sklepieniu wisiały zwały chmur senne, czarne, obojętne.

Zbliżała się godzina dziewiąta, gdy major von Voigts-Retz, oderwawszy się od awangardy, dopadł do pułkownika. Zaraportował, że od komendanta Książa nie nadeszła żadna odpowiedź, a na błoniach zakrzewskich, panujących poniekąd nad wsią Książkiem i drogą do Nowego Miasta, pojawił się szwadron jazdy polskiej, co poczytywał on za wstęp do jeneralnego odwrotu załogi książkiej.

Brandt ściągnął natychmiast z tyłów swej kolumny rezerwową kawalerję, powierzył dowództwo nad swemi czterema szwadronami grafowi Luettichau i rozkazał atakować konnicę polską, powstrzymać „uciekające“ wojsko Dąbrowskiego.

Zaczem rzucił część piechoty na północ, na krawędź lasów zakrzewskich, aby w danym razie odciąć z tej wyniosłości odwrot Dąbrowskiemu, i pośpieszył ze sztabem i resztą wojsk za swoją konnicą. Blumenthal zaś maszerował głównym traktem, aby runąć na zachód od Książa.

Ułani pruscy, huzarzy czarni i żółci, pod wodzą utytułowanego oficera— który w kilka tygodni potem miał zasłynąć jako opryszek

na czele hordy — formowali się do boju na wzgórzu, oskrzydleni od tyłu gęstwiną błyszczących bagnetów, i spojierali na grupę jeźdźców, od których dzieliła ich piękna, zielona równina, zakończona lekką wypukłością. Wyskoczyło z szeregów kilka koni pruskich, które, zrzuciwszy swych jeźdźców, poczęły hasać, brykać, igrać, weselić się swawolnie.

— Dobre omen!... — zawołał raźnie rotmistrz Józef Czapski, dla dodania animuszu swym ułanom, którzy uformowani, pobłogosławieni przez ks. Koszutskiego, czekali na atak. Stu dwudziestu kilku przeciwko sile pięć razy większej.

Na skrzydle pierwszego szeregu sterczał wysoki, kościsty Józef Piniński, ściskając kurzowo drzewiec lancy. Stał w strzemionach, wyciągnął się jak struna i wybiegł wzrokiem na przeciwległy pagórek, wpił się strzałami żrenic gorejących w szeregi nieprzyjacielskie. Serce dygotało mu w piersi, jak ptak w klatce, zęby zaciskały się gwałtownie i mięśnie prężyły niby rzemienie. Wrzał w nim ferment uczuć starganych, ujętych w żelazną pięść — dumy. I powoli ścichło w nim wszystko; czoło powlokło się śmiertelnym pokojem, rysy kamieniały i tak czekał martwy, do posagu rycerza podobny, jakby licząc minuty, które kapały w przeszłość ciężkimi, ołowianemi kroplami.

Raptem uśmiech sfałdował mu lica — uśmiech dziwnie trzeźwy. Przypomniawszy sobie nocną przygodę pod Wrześnią, gdzie wypróbował siłę swego ramienia, zanurzył się w zawieruchę bojową, zachwycił nozdrzami zapach krwi ludzkiej i po raz pierwszy doznał nadzwyczajnego napięcia swych sił wewnętrznych, które przeobraziło go w stalową kreację bez nazwy, rozdrganą a dziwnie spokojną i dziwnie mocną.

Przyszło doń wrażenie ostrych odorów, załaskotało jego nozdrza, które poczęły falować, prychać w wściekłym pożądaniu.

Nie słyszał parskania koni, pobrzęku przeżuwanego w pyskach wędzideł, ni urwanych zdań, odzywających się w szeregach, nawoływania poruczników. Lecz zbudził go głos rotmistrza Żychlińskiego, upominającego przednie rotty:

— Konie trzymać mocno w cuglu! Będą się strachać na huk strzałów.

Piniński zachwycił cugle krócej.

Niecierpliwi się i niecierpliwia się inni ułani.

— Do stu piorunów, długo oni każą nam jeszcze czekać na siebie? — mamrocze ktoś w pobliżu.

Lecz pauza brzemienna lodowatym oczekiwaniem nie trwa już długo.

Poruszają się szeregi nieprzyjacielskie — krokiem, potem, rozstępując się, wpadają w kłusa. Huzarzy na przedzie.

Czarna ich fala sunie po zielonym kobiercu. Za nią migotają żółto szamerowane atyle, dalej czapki i czerwone wyłogi ułanów. Lance z biało-czarnymi chorągiewkami zamykają kalwakadę, pędzącą szybciej i szybciej — w przestrzeń, jakby błyskami szabli wysrebrzoną.

— Bacność!!... — gra jasną nutą głos rotmistrza Czapskiego jak trąbka i rozlega się po naciągniętych strunach piersi ułańskich.

— A chmura pędzi — bliżej i bliżej...

Jeszcze chwila...

— Lance do ataku!!

— Marsz — marsz!!!

I wali cwałem szwadron polski w rozhu-kane, czarne bałwany zanurza się w nie — roztrąca.

Huk karabinów huzarskich, błysk strzałów, łopot, brzęk lanc i pałaszów. Dwa ataki, dwie burze zderzyły się z furją wściekłych żywiołów, pożerają się, rozgryzają, tratuja w szalonym zamęcie, rzygają sobie w oczy piorunami. Tam koń, stając dęba, wznosi się nad huragan umiejscowiony, inny pędzi bez jeźdźca w pole na złamanie karku.

Lecz trwa to tylko chwil kilka. Z ogromnego chaosu wyłaniają się znów jakby dwa od-

rębne cielska zazębiające się silnie. Otóż polska jazda przeszła korpusem swym nawy-
lot niemal wszystkie cztery pruskie szwa-
drony.

Brawurowa uwertura walki.

Zwracają się konie, zacierają sobie w py-
ski, tu i owdzie gryzą, szaleńcem wojennym
pchnięte. Oba stargane zastępy wrogów —
a zwłaszcza trzeci i drugi pluton polski i szwa-
dron pruskich ułanów — plątają się, gmatwają
w węzowisko, wiją się w kontorsjach, kłębią
w rozdrzaną konwulsyjnie masę. Nie rządzi
tam już komenda; każdy swym własnym wo-
dzem. Jeden walczy przeciwko drugiemu
pierś o pierś, albo raczej jeden przeciwko pię-
ciu lub sześciu.

— Gnać ich na barykady!! — grzmi rôt-
mistrz Żychliński i pysznym świecąc przykła-
dem, wtłacza się w wiry bojowe, prze, rąbie
szablą ogniście.

Ale hasło to niewykonalne. Dokoła Pola-
ków wre mrowisko lanc i szabli. Borykając
się z nimi chlubnie, świetnie i gęsto zaścielając
trupem pole, rozsadzają okowy, rozpraszają
szwadron ułanów. Lecz już napiera na nich
mur żółtych huzarów, a za nimi bezmiar czar-
nej jazdy. Więc bój ugrzązł na miejscu, za-
mienił się w sto pojedynków nierównych, bez-
nadziejnych.

Tymczasem pierwszy szwadron polski, wypadłszy poza ramy walki, organizuje się gorączkowo, gdy z czoła wrogiej awangardy poczynają odrywać się szeregi piechurów, rozsypywać w tyraljerkę i prażyć ogniem ułanów tak, że odskakują w bok i część ich uchodzi na drogę nowomiejską, aby połączyć się z Garczyńskim.

Ogień tyraljerski ustaje, a rotmistrz Czap-ski z szablą wysoko wzniesioną, elektryzuje swoich:

— Formuj się!!

W kilka minut gromadzi się pod szablą jego pół setki ułanów i natychmiast wpada na czarną masę huzarów z heroiczną fantazją, która zgasiłaby ducha każdego mniej licznego zastępu. Ale o stado trzystu koni, do których przyłącza się niebawem żółta, lekka jazda i garstki ułanów, musi rozbić się bohaterski hufiec Czapskiego.

Zresztą huzarów ujął w ryzy komendy ich szef i dowódca wstępnego ataku, von Se-genberg. W pierwszym starciu nawałnic major zranił z konia ułana Jaraczewskiego, poczem lancą, niby maczugą smagnięty, zwałił się sam na ziemię i cała fala końska przeszła nad nim, nie wyrządzając mu wszakże najmniejszego szwanku. Dosiadł przeto jakiegoś pochwyconego konia i czuwa z ubocza nad

reczwojem walki, podziwiając brawurę Polaków.

Wskakują oni po raz drugi w czarne, nieprzebrane fale, wbijają się w nie lancami z przepysznym szalem stracciców. Opodał rotmistrza Piniński.

Przejechał się on na wstępie przez szarą huzarską, jednego jeźdźca ugodził lancą w szyję, poturbował innego i sam nie wiedząc jak, wydostał się z fermentów. U siodła jego wisiał lekko raniony towarzysz, który, spadłszy, uchwycił się puśliska i wyrwał z pod kopyt. Odbiegł w bok a Józef trzymając się swego szefa, stanął wśród plutonu niezłomnych.

Wspiąwszy konia bezlitością ostrogą, runął naprzód z gotową lancą, jakby wyolbrzymiały, wyanielony w aureoli złotych włosów i w blasku młodzieńczego oblicza, heroiczny jak Zawisza, zjawiskowy. Kula huzarska zdarła mu czapkę, wrogi pałasz okaleczył ucho, lecz on nie czuje tego; nurza się w boju zapamiętałym.

Każdy ułan obleżony, każda lanca w robocie. Zawierucha szaleje, huk, łomot gra w uszach. Z jednej i drugiej strony padają żołnierze i konie. Zielona murawa zamienia się w przygodną trupiarnię.

Wreszcie tłuszcza huzarska poczyną ustępować pod naporem męstwa. Wprawdzie

walczą, przeważnie bronią palną, podtrzymywani moralnie okrzykami oficerów i każdy wyrąb w ich szeregach wypełnia się nowym koniem, lecz coraz częściej otwiera się przed Polakami wolna przestrzeń.

Ta garść Polaków wżarła się w korpus wrogów i urągając śmierci, dokazuje cudów brawury, sieje postrach taki, iż miasto otoczyć ich i wziąć do niewoli, huzarzy albo podają tyły albo usuwają się wstecz, przerażonemi oczyma śledząc krwawą grę lanc.

Tymczasem tylne, niemal bezczynne szeregi huzarów odrywają się i cwałują za czterdziestką Polaków krwią zbryzganych, którzy potykali się z ułanami i żółtą jazdą. Reszta czarnej jazdy puszcza się za nimi, bezcelową pogoń przenosząc nad krwawe korowody z hufcem Czapskiego.

Ułani polscy jadą na zadach pruskich.

Piniński hula, lecz raptem zabiega mu drogę z boku kilku jeźdźców i staje przed nim murem.

— Wart, du Hund, ich werde dir versetzen! (Czekaj, ty psie, ja cię poczęstuje!) — wrzeszczy zwalisty wachmistrz, sięgając do ładownicy.

Józef, narazie bezradny, cofa konia, zastanawiając się, jak się do nich zabrać. W tej chwili przypomina sobie, że ma przecież krucicę, dotąd nietkniętą. Sięga szybko do olstra,

uprzedza wachmistrza i celnym strzałem wbi-
ja mu w brzuch kilka loftek...

— Ach, du Hund! — (Ty psie!) — wyrzu-
ca chrapliwie huzar i spada na ziemię bez ży-
cia.

Jednocześnie kula szeregowca świszcze
Józefowi nad głową, lecz żołnierze śmiercią
wachmistrza przejęci zatrzymują się, a on
zdziera konia, cofa, chcąc dostać się na flankę
ich, niejako „zajść w prawo“ i wziąć jednego
z nich w obroty.

Huzarzy klną, przesyłają mu tuziny obelg
i pogrózek na wzór homerowych bohaterów,
zakłócają całem plugawem słownictwem ko-
szarowem cichą grę w kotka i myszkę.

Jeden z nich poczyną nabijać karabinek.

Na to Józef, nie tracąc momentu, bodzie
konia i pędzi na huzara w pośrodku czwórki.
Wpycha mu lancę w bok. W tej chwili spada
mu ze świstem pałasz na lewe ramię i w ogro-
mnem wstrząśnieniu lubo nie wysadzony
z siodła, wypuszcza z dłoni zboczoną lancę.

Wdzięczna to dla napastników chwila.
Mogliby go rozsiekać, lecz oni rejterują, a hu-
zar, który cięciem ubezwładnił mu ramię, ucie-
ka syt sławy. Piniński zaś, dobywszy pałasza,
odskakuje pędem, poczem zawraca na mar-
twem pobojuwisku, aby połączyć się z resztą
hufca, ścigającego wrogów.

Jednakże raptem wyrasta przed nim oficer ułanów z kilku huzarami.

Dostrzegł on krwawą jego hulankę i, dotknięty w swem „esprit de corps“, przytrzymał go na placu, gdzie Czapski ranny wije się we krwi.

Piniński ustępuje poza wianek trupów, otaczający ranionego rotmistrza. Pot leje się z pod włosów jego szochranych, słabość, lubo chwilowa, przechodzi po członkach niby podmuch zefiru, krew ścieka z rany, chrapliwy oddech wydziera się z ust rozchyłonych i ułan wpija się wzrokiem w smukłą postać oficera, zaciskając kurczowo rękojeść pałasza.

Jedyna to broń, jaka mu została. Kochany pałasz, przyjaciel! Błyszczysz się, śmiejesz. Teraz na niego kolej do hulanki.

Piniński mógłby swobodnie popędzić na nagie pola, uciec. Nie zrobiłoby to nawet ujmę świetnemu a srodze spracowanemu i rannemu ułanowi, lecz on wykreślił słowo „ucieczka“ z mózgu. Widzi ułana i huzarów, widzi żołnierzy zdradzieckiego króla, co naigrawał się z losu oszukiwanych Polaków, aby ich oszukać pozorami ugody, widzi wrogów kraju i płonie w nim jeszcze cudny ogień zapалу.

Oni nie spieszą się.

— Zum Donnerwetter! — krzyczy na huzarów oficer ułanów — Diesen einen Polaken

kriegen sie nicht runter?! (Tego jednego Polaka nie możecie zwalić).

Huzarzy jednak wcale nie zdradzają już ochoty do boju z tym odciętym, z tym ostatnim, który w ich oczach dwóch pokonał przeciwników. Wiercą się w siodłach, potrząsają szablami, ale nie ruszają naprzód. Mruczą coś do porucznika, który wytyka im, że nie godni, aby należeć do walecznego pułku „przybocznej“ jazdy i srebrną czaszkę nosić na czolach.

— Nabijajcie broń! — rozkazuje im lajtnant i sam zwraca się przeciwko Pinińskiemu.

Verflucht! Przekleństwo! Ten ułan polski rąbał w Prusaków, jak w trzodę, pławił się w ich krwi i teraz zda się drwić sobie z ich zbrojnego zastępu. Zamiast uciekać, stoi spokojny, wyzywający i w bezładzie odzienia dziwnie piękny. Sokół rycerskiego znaku!

Pręży się w piersi porucznika jakaś struna, przyskakuje do ułana z wzniesioną szablą i woła — po polsku.

— Panie Polaku ze mną sprawa!

Na dźwięk mowy polskiej krew uderza do skroni Pinińskiego i z wrzasku uczuć wyłania się — radość, że przyjdzie mu położyć trupem renegata.

Bo on nie wątpi w swe zwycięstwo nad nim, nie wątpi ani na mgnienie oka.

— Brawo, panie Prusaku! — odpowiada z zacięciem i, waląc ostrogami w zbroczone boki swej klaczy dodaje z fantazją:

— Lubię chwatów... nawet między zdrajcami!

Łysk, brzęk kling! Krzyżują się pałasze, świszczą z wzrastającą szybkością.

Piniński zajechał od prawego boku, zbliżył się prawie na krok odległości. Lewa jego ręka omdlała, ciecżą gorącą oblepiona wypuściła cugle, lecz klacz nie rusza się, w tej chwili do chabetów żydowskich podobna. A on, osadzony w strzemionach wyprężonemi nogami, wciela się cały w klingę, rąbie, paruje, znowu rąbie, jakby z obłoków spozierały nań oczy dawnych bohaterów.

— Ty łajdaku! — wyrywa się świst ze zaciśniętych warg i jak zgrzyt wgryza w duszę oficera.

— Broń się! — wyrzuca smagnięty tem słowem lajtnant von Burski.

Lecz Piniński nie broni się — on atakuje, rozpoczynając niejako drugi akt pojedynku — na śmierć.

Błyskawice ich żrenic krzyżują się z błyskawicą kling rozegranych na wspaniałą nutę.

Przez chwilę rżenie wydiera się z płuc Józefa; czuje on, że krew sączy się obficie z ramienia. Nawiedza go coś niby sine przecucie śmierci, atoli napięte mięśnie prawicy,

pracują jeszcze sprężyste. Nadchodzi znów przypływ energii, wzrasta w nim duch, zęby zacinają się i, siekąc z najwyższą sprawnością, szybkością i siłą, przysięga wrogowi śmierć każdym tętnem krwi swej dumnej.

I raptem — piorun pada na szako lajtnanta.

Rozpłatanie ciało usuwa się z rozkrzyżowanymi ramionami i spada z siodła na murawę...

Triumf krótki.

Trzy padają kule i chrobry ułan polski kona przy boku ранego dowódcy na zielonej ziemi.

XVIII.

Dookoła Książa płoną na wysokich tyczkach smolne wiechy — zwiastuny rozpoczętego boju — wici przyzywające rozpuszczonych chłopów.

A do Nowego Miasta pędzi goniec od Dąbrowskiego z lakonicznem wezwaniem:

— Przybywaj!... Krew nasza już się leje.

Na zewnętrznym pierścieniu obronnym ludzie gotowi do strzału. Oblepili szczelnie pierściami barykady, nadto obsadzili domki, lamusy, szopy w opłotkach na krańcach mieściny osiadłe. Gdzie nie stało strzelców — a niestety, nie stało ich w wielu miejscach — tam zamykają się kosy piątego plutonu. Jednakże te do-

mostwa, rozsypane między wylotami ulic, a nie zazębiające się w korpus Książa, stanowią naj-słabsze punkty beznadziejnej pozycji.

Nad placówką Jarocińskiego panuje z jednej strony on sam, z drugiej Węgierski, a w pośrodku kryje się fajerwerkier Bajerskiego przy wątlej, półfuntowej armatce.

Stachowi powierzył kapitan jednopiętrowy domek wysuwający się przed lewy bok barykady. Podporucznik pozabijał tam górne okna deskami, pozostawiając w nich otworem tylko jedną poprzeczną szczelinę, przez którą można i wyrzeć, i strzelać wygodnie i ustawił przy nich swych kilku strzelców, między nimi Lubowieckiego i Jędrka. Na dole zaś umieścił garść kosynierów, a jednego z nich, sprawnego, wyrostka, wziął do nabijania zapasowego karabinu.

Drewniany ten domek przysłaniał barykadzistom poniekąd widok na pola zakrzewskie, na scenę zapasów kawaleryjskich. A rozlegający się szczęk broni elektryzował beczynnych żołnierzy, więc Rafał pobiegł na piętro do Stacha, będące niezłym punktem obserwacyjnym.

Z zapartym oddechem strzelcy pożerali oczyma przez szczeliny obraz zaciętej walki, kojarząc się sercem z ułanami Czapskiego i dzieląc się spostrzeżeniami.

Stach tylko milczał długo, aż wyjęknął:

— Oj, szlacheckie wieziemy boje... Widzi mi się szlacheckie.

— To pan zalicza się do wrogów szlachty?
— zagadnął go młody Lubowiecki.

— Niech mnie Bóg broni; miłuję wszystkie stany, wszystkich Polaków. Gdyby było inaczej, miałbym się za złego Polaka. Jestem tylko wrogiem wrogów naszych.

— A cóż masz na sercu? — rzucił Węgierski.

— Po jakiego diabła kazał Czapski czekać swym ułanom, aż panowie Prusacy raczą przygotować się do ataku, zamiast uderzyć na nich nieprzygotowanych?... I powinien był wziąć z sobą kilku dobrych strzelców na konie, którzy w pierwszej chwili zaraz byliby ustrzelili mu dowódcę huzarów, pędzącego na czele. Zresztą po zderzeniu wstępnie, mógł być zakomenderować odwrót, fingować ucieczkę, a jazda pruska byłaby zaawanturowała się pod miasto, gdzie bylibyśmy przywitali ich kulami.

Po chwili zaklął siarczyście.

— Patrz! W nagrodę za swój piękny kontratak dostali się nasi ułani pod lufy awangardy... Oczywiście przednie jej szeregi idą w tyraljerkę, ostrzelują naszych... Psiakrew, bawimy się w rycerzy, urządzamy turnieje popisowe...

Widząc czterdziestkę ustępujących ku miastu ułanów, Stach zauważył:

— Nie może być inaczej. „Non valet virtus contra plures“. Nie rozumiem wogóle jak Czapski mógł być przyjmować potyczkę na tym terenie...

— Ależ to teren doskonały do rozprawy kawaleryjskiej!

— Nie wiem co tam napisano w uczonych księgach strategicznych, ale zdaje mi się, że inaczej trzeba było rzecz urządzić...

— Jak?

— Ustawić ułanów na przeciwnej stronie Książa.

— Gdzie? W błotach?

— Przed błotami i stawem i na nie koniecznie ściągnąć atakujących. Na dwadzieścia kroków przed szeregiem ułanów można było wykopać wilcze doły. (Pytanie czy takimi dołami nie należało otoczyć całego Książa?) Nadto w opłotkach nad stawem ukryć strzelców. Kto z huzarów wyszedłby cało z dołów, przedostał się przez nie cudem, zginąłby niechybnie wzięty między dwie siły: strzelców naszych od strony miasta, a ułanów z drugiego boku stawu. A na te szeregi, które zagmatwałyby się przy wilczych dołach, rzucilibyśmy inną przygotowaną partję strzelców.

— Mądry Polak po szkodzie — mruknął strzelec.

— Gadałem ja to oficerom jazdy i Leonowi Śmitkowskiemu, ale któżby liczył się z mem zdaniem? Ha, może głupia moja rada, a może uznają oni fortele za niegodne mężnego Polaka... Dla mnie chłop, w boju z przemocą każdy środek dobry. Zresztą ze zdrajcami sprawa.

— Garczyńskiego nie widać jeszcze! — zawołał w tej chwili jeden ze strzelców, który był wlaźł przez strych na dach i zlustrował drogę nowomiejską, aż po las i zagajnik boguszyński.

— Nie myśl, przyjacielu, o Garczyńskim, tylko o swej fuzji — rzekł doń Stach i umilkł, w obliczu widowiska jakie miał przed sobą.

Fala czarnych jeźdźców posuwała się chyżo za ułanami, zbliżała ku miastu.

Węgierski bez słowa pobiegł do swych szeregowców, w przypuszczeniu, że teraz rozpocznie się akcja strzelców.

Istotnie przyskoczył z miasta do barykady major Dzierżanowski, z rozkazem do Węgierskiego, aby ze wszystkimi ludźmi rzucił się na spotkanie huzarów, między ostatnie zabudowania. Jednocześnie skrzydło barykadzystów Fałęckiego debuszowało i rozsypało się po zagonach warzywnych, rowach i chrustach.

Skoro tylko ułani przedostali się przez tę linję, Węgierski dał znak gwizdawką leżącym

na ziemi strzelcom, którzy zerwali się z bronią gotową i pędem skoczyli naprzód.

— Pal! — huknęła komenda, na całym półkolu podniósł się trzask i Węgierski sam wymierzył karabin.

Spadło kilku huzarów, runęło kilka koni, powstało zamieszanie. Zatrzymała się fala i prażeni ogniem huzarzy poczęli zawracać. Węgierski kazał ścigać ich co tchu.

— Naprzód! Naprzód! — krzyczał, chcąc wyzyskać korzystny moment i choć kilka jeszcze siekańców posłać huzarom.

Zapędzili się tak strzelcy na skraj pobojo-wiska.

Jazda pruska była już daleko. Spieszyła na wzgórze zakrzewskie.

Straszny obraz przytrzymał strzelców na moment. Błonie poznaczone było gęsto trupami; karabinki, lance, czapki, szable, rozliczne ślady zaciętej walki wpadały w oczy, a tu i ówdzie odzywały się jęki rannych i bolesne rżenie zdychających koni. Było miejsce, na którem śmierć nachlipała się krwi do syta. Kilkanaście ciał spoczywało tam w bezładzie tragicznym.

Aczkolwiek nie czas było myśleć o unoszeniu rannych, Węgierski przeczuciem jakimś tknięty podbiegł do tego pokosu śmierci, pochylił się nad zwłokami porucznika ułanów pruskich, którego uniform odcinał się barwnie

na tle seledynowem. Podniósłszy zaś głowę, spostrzegł — Józefa.

Spoczywał nawznak z kamizelą we krwi staplaną, z piersią strasznie rozdartą, piękny, młodzieńczy, lodowaty.

Ból szarpnął za serce Rafała. Przyskończył, pochwycił go za rękę stygnącą, potrząsnął ją, jakby chcąc pożegnać przyjaciela, czy też rozbudzić w nim iskrę życia, lecz ramię opadło jak kłoda, maska w niebo wzniesiona pozostała marmurem, dłutem śmierci rzeźbionem szlachetnie.

Zapatrzony w rysy skamieniałej twarzy, Rafał, pojął swoją istotę, że dostał się w ramy powagą śmierci przesyconego dramatu heroicznego, i głębokiem westchnieniem złożył hołd młodemu rycerzowi, co poległ za honor lancy polskiej.

Uniósł z sobą we krwi zbroczony pałasz jego jako drogą pamiątkę dla rodziny, której żałoba zamroczyła duszę jego, zroszoną łzami i natchnioną czcią.

W tej chwili z lasku zakrzewskiego wyjechał na koniu pułkownik Brandt. Nie czekając na przybycie kolumny Blumenthala, nawet nie chcąc, aby uprzedzono go i wydarto mu zasługę pierwszego, stanowczego sukcesu, kazał natychmiast maszerować na Książ pułkom pieszym.

Sam w pośrodku rozsypanych na froncie fizyljerów dziewiętnastego pułku, zbliżył się na sześćset kroków do miasta i posłał ich do ataku.

Runęły naprzód podwójnym krokiem dwa rozdarte łańcuchy strzelców, a za nimi dosuwała się reszta bataljonu, w kompanje uszykowana.

Lecz skoro tylko ogniki łysnęły z barykady i krawędzi miasta i kule poczęły bzykać, niby baki, fizyljerzy zawrócili, jakby nt komendę, i pobiegli do bataljonu.

Przyskoczył do nich wódz.

— Vorwärts! — krzyknął wściekły. — Huncwotem ostatnim, kto ucieka!

Na to tyraljerzy, przez oficerów swych zachęcani puścili się znów z lewego skrzydła na krańce miasta, skąd słaby wiał ich ogień.

Polacy oszczędzając amunicji strzelali na wyprzódki. Partja Stachowa nie przyszła jeszcze do strzału. Wargocki tylko i część strzelców Węgierskiego trzymała tyraljerów w pewnej odległości. Padło z nich kilkunastu, reszta pukała bezmyślnie, myśląc o odwrocie, który wszakże zamykał im mur piechoty.

Prawego skrzydła Brandt nie wysuwał naprzód, aby nie dostało się ono przypadkiem pod kule kolumny Blumenthala, która lada chwila musiała zaatakować Fałęckiego i zachodnią część Książa. Natomiast przekonany

c zupełnej bezsilności fizyljerów, ustawił na pagórku pod wiatrakiem kilka sześćofuntowych dział, które niebawem bryznęły ogniem, w kierunku pozycji Wargockiego.

Zegar ratuszowy wskazywał kilka minut po jedenastej, gdy pierwszy strzał armatni runął z wyniosłości z pomiędzy dróg do Zakrzewa i Świącena, rozwalił bok obory i wzniecił pożar, który strwożeni mieszkańcy poczęli załewać pośpiesznie. I poszły kule coraz celniejsze na barykadę, nie wyrządzając jej wszakże szkody.

Huk, zgrzyt łupanych brył kamiennych, ogłuszył, oszołomił na chwilę strzelców polskich, lecz Wargocki z całą, niezamaconą przytomnością umysłu odwołał ich niezwłocznie od barykady pod osłonę domków. A Dąbrowski, przyglądający się tam z okna kanonadzie, huknął doń coś i kapitan, obrosły na twarzy jak niedźwiedź, wpadł ze swymi strzelcami w ogrody i opłotki, skąd pospołu z ludźmi Węgierskiego, poczęli skradać się naprzód.

Na łuk północno-zachodni bowiem spadała lawina tyraljerów pułku osiemnastego, który stał dotychczas w asekuracji dział.

Jednocześnie niemal na ustępujących fizyljerów dziewiętnastego pułku skoczył z barykady i z kryjówek pluton Jarocińskiego ze Stachem w pierwszym szeregu. Spędził Prusaków z pola i, rzuciwszy się na ziemię,

począł ostrzeliwać prawe, beczynne, skrzydło Brandta.

Pułkownik, wściekły, wobec tego obrotu rzeczy zawołał do adjutanta:

— Donnerwetter! Bestje wyzywają mnie do walki. Muszę przeciwko nim debuszować.

I spojrział na landwerę, której bataljon miał pod ręką.

— No, — zawołał z konia — otóż teraz macie sposobność do pomsty za te wszystkie bezprawia, na jakie tak długo byliście wystawieni. Dzielna landwera pruska okryje się sławą!...

Jednakże „dzielna“ landwera miała miny — bardzo rzadkie. Wyrażnie nie pożałowała ani pomsty za nieznane bezprawia, ani sławy, jaką dotychczas okrywała się w rabunkach i napasciach na rozbrojonych chłopów. Wręcz odmawiała wodzowi posłuszeństwa.

— Ta hołota nie warta, aby uczciwy landwerzysta wystawiał się na jej ogień — przekładał Brandtowi brodaty żołnierz.

— Rozbić w gruzy to gniazdo polskie kartaczami! — radził mu inny.

— Spalić ten kurnik! — zalecał sierżant.

— Szkoda porządnych Niemców na strawę dla strzelb tej bandy! — głosił porządny obywatel pomorski.

Wódz był innego zdania. Parlamentarką rozgoryczony, zaklął od serca i krzyknął w furji:

— Marsch!!!... Verflucht noch mal!

Okrzyk: Marsch! powtórzył ospały major landwery, podjęli kapitanowie i z dobytymi pałaszami pomknęli raźnie przeciwko linii tyraljerów polskich, zagrażającej im coraz więcej, która w tym momencie przylgnęła do ziemi i sypnęła ogniem w oczy landwerzystów.

Popłoch padł na obywateli niemieckich, oficerowie ich posuwali się ku nieprzyjacielowi, ale — bez szeregowców, którzy wymykali się im z pod szabli, zostawali w tyle, gubili się. A obłęd zdjął ich taki, że pukali z karabinów w powietrze, robiąc wrażenie warjatów rozsalałych.

Stach, przypadłszy na kolano, raz wraz przykładł kolbę do policzka i gęba śmiała mu się, promieniowała radością urwisa.

Używał jak bies w studni, bo chociaż co chwila soldat kładł się plackiem na ziemię, landwera nie uciekała, tak absolutna opanowała ją bezradność. Zdało im się, że dookoła nich snują się Polacy, towarzyszków swych poczytywali za wrogów skacząc, tańcząc w dzi kim jakimś paroksyzmie, i hukali z karabinów niekiedy do swoich.

Oficerowie usiłowali nakłonić ich już nie do ataku, lecz rejterady — napróżno. Ani na-

przód, ani nawet w tył nie mogła pchnąć ich żadna siła.

Brandt rzucił ku nim dwie inne kompanie landwery, aby podeprzeć ich moralnie, uspokoić, a potem ująć w karby. Lecz snadź oblęd ich działał zaraźliwie, bo skoro posiłki dostały się w kręgi opętańców i kilkadziesiąt kul polskich świstem nappełniło przestrzeń, nowe szeregi nie tylko uwieźły na miejscu, lecz również wszczęły szaloną pukaninę.

Nareszcie cała ta tłuszcza odpłynęła wstecz, a gdy prośby, zaklęcia, krzyki i klątwy majora zniewoliły ją do wtórnego awansowania, podsunęła się ona tylko kilkanaście kroków i znowu podała tyły nieprzyjacielowi.

Ani jednemu strzelcowi polskiemu nie dostała się kula, aczkolwiek najmniejszej nie mieli osłony. W rozprawie z mniej tchórzliwym bataljonem czterdziestka zuchów, dość daleko od swych pozycij zaawanturowanych, mogła była snadnie dostać się do niewoli.

A oni, niby pionki ze stali, oddawali się spokojnie ćwiczeniom strzeleckim, niekiedy tylko przylegając twarzami do ziemi. Stach z odważnym chłopakiem wiejskim przy boku, pracował bez słowa, jak machina, licząc swe ofiary. Jędrak zaś, nabijając swój karabin pruski, mamrotał pod nosem opodal:

— Wej to djable wesela!... Topi się sadło pruskie... Cholery przeklęte!... Dalej tego nie-

dźwiedzia!... Leży!... Żeby was, tchórze, szczury zjadły! Boita się swojej własnej gewery?! Czekaście, tył wam wyszpilkuję waszym siekańcem! Uciekacie Szwaby brzuchate? Aż fetor od was zalatuje!.. Ulękli się Glapy!.. Jeden aby ślip mam, ale dobry. Dychtownie w gzub wyceluję temu opasowi... Znowu idą, a portki im się trzęsą! Chodźta sam bliżej!... Olaboga, ochficer nogami się nakrył. Pewnie kulka pana Wichury; Opoka górą! Hurra!

Kapitan Jarociński bez przerwy hukał z sztuceru, lecz zerkał okiem wstecz i nie śmiał już posuwać się dalej, aby nie odcięto go znienacka od Książa, zwłaszcza, że o dwieście kroków od barykady Wargockiego wrzał bój, i rezerwa pruska walczącego tam pułku mogła każdej chwili wpaść na jego flankę.

Wrzał tam bój karabinowy jakby w wielkiej batalji. Przeciwno strzelcom polskim wystąpiły tam kompanje jęgrów ze Zgorzelic najlepiej uzbrojonych w karabiny najnowszo kalibru, z których dwa nabył Wichura w Berlinie. Nie były one jeszcze zaprowadzone w innych pułkach, więc strzelcy śląscy, tem więcej że dobrze wyszkoleni, stanowili kwiat kolumny Brandta. Młodzi, sprawni, wolni od tórnistrów, prześcignęli tyraljerów osiemnastego pułku i oskrzydłili łukiem pozycje do Książa i drogi nowomiejskiej sięgające.

Wargocki nie odsłaniał swej siły. Ludzie jego i Węgierskiego tkwili przyczajeni między drzewkami owocowymi i zagonami, powynajdowali sobie tam odpowiednie stanowiska, niby kotliny zajęcze, i trzymani w okowach karności przez dwóch oficerów, których męstwo i pewność siebie oddziaływały dodatnio, doskonale wywiązywali się z zadania.

Nie dopuścili jęgrów do miasta, odparli dwa ich ataki, położywszy pokotem kilkudziesięciu ludzi.

— Brawo! brawo! — wołał Węgierski, czując jak zbawiennie działa słowo pochwały w ogniu bojowym, a gdy raz jeszcze począł staczać się rząd zielonych żołnierzy pruskich, wzmocnionych kompanją 14-go pułku linjowego, zanucił na cały głos mazurka Dąbrowskiego.

Cudowna iskra zapału zelektryzowała strzelców, zagrała w sercach jakaś muzyka triumfalną nutą, a świetna ekstaza opromieniła wszystkich, gdy Węgierski spozierając na wysłoneczniony w tej chwili obraz, krzyknął jakby na wiwat:

— Słońce racławickie!!..

Byliby dali posiekać się w kawały, byle w słońcu racławickiem...

Śpiew wtórzył trzaskaniu kurków, unosił się śladem kłębow dymnych. Jak stado wil-

ków chytrych rozgorzałemi ślepiami upatrywali jegrów, chociaż rzęsimy grad kul sypał się ponad głowami.

Nagle po lewej ich stronie zagrzmiała siarczysta kanonada.

Nadciągnął podpułkownik Blumenthal i bezzwłocznie rzucił pułk piechoty na zachodnie barykady, a zwłaszcza na wylot ulicy Śremskiej, lecz tak niefortunnie skierowano lufy, że kule pruskie poczęły sypać się poniekąd na jegrów, usiłujących oskrzydlić barykadę Wargockiego.

Jednakże zdawało się, że Blumenthal odniósł pewien sukces. Goniec od niego wysłany do Brandta, mówił nawet coś o zdobyciu barykady i wieść ta tak podnieciła otoczenie woźdź, że wielu jego oficerów pobiegło do Blumenthala, szukając niebezpieczeństwa.

Ale wieść okazała się przedwczesną. Na całym półkolu od łąk aż do zabudowań Księża toczyły się boje, nie tyle kierowane głową woźdź, ile zapalczywością i męstwem jednostek, jak to bywa zwykle w potyczkach, gdzie barykady i domostwa wielką grają rolę.

Dwie godziny trwała nieustająca prawie strzelanina bez najmniejszego powodzenia dla oręża pruskiego, gdy patrol huzarów, wysłanych na wywiady w kierunku Nowego Miasta, przywiózł Brandtowi wiadomość, że od

brzegów Warty nadciąga pospiesznie oddział z około pięciuset ludzi złożony, a zagajnik boguszyński jest przez Polaków zajęty.

Przeraził się Brandt. Zła sprawa! Minęło tyle czasu a on nic dotąd nie wskórał. Ten marny kurnik książki, który potężna jego kolumna winna była w godzinę zamienić w kupę rumowisk, był nietkniętym. Ta garść źle uzbrojonych Polaków, którą dawno już winien był mieć w niewoli, przerzedzała mu nieustannie szeregi najbitniejszych żołnierzy. A teraz nadmiar mają spaść mu na kark nowe zastępy polskie! To chyba Mierosławski z ośmiu czy dziesięciu tysiącami ludzi z nad Warty?!..

Wielkimi oczyma strachu ujrzał Brandt ogromną kolumnę Mierosławskiego... Zaprawdę przeczuwał, iż Polacy tak bohaterski stawiali opór w tym celu, aby wpił się kłami w Książ silnie i pozwolił Mierosławskiemu nadejść na czas z odsieczą... Teraz otoczy on wyczerpane wojsko pruskie i zada pięknej jego kolumnie cios śmiertelny...

Blady, frasunkiem dręczony, pocwałował na wzgórze, skąd rozpościerała się panorama, aby rzucić okiem w strony nadwarteńskie. Spostrzegłszy istotnie nadciągających Polaków, wyprawił przeciw nim grafa Lüttichau z kawalerją i dwu działami. A nadto wkrótce wysłał za nim kompanję piechoty.

— Hurra!! — zagrzmiało w tej chwili na linji polskiej. — Bij! Zabij!

Strzelcy wypadli z kryjówek, ścigając mężnych jęgrów zgorzelickich, odpartych po raz trzeci.

Znów poczęły grać działa z pod wiatraka, walić bezowocnie w potężne barykady. W myśl landwery, artylerja nie cofając się przed niczem, słała na drewnianą miejscinę palne kule, szybujące łukami. W dwóch, trzech miejscach przeto wznosiły się w górę kłęby dymu, ale gasły i — nic zachwiać nie mogło stalowej odwagi Polaków.

Sam jeden, niby zawieszony nad teatrem bojów wódz pruski spozierał przed siebie ponurym wzrokiem. Nie wydawał już rozkazów, nie pędził żołnierzy na Książ, bo gdzież jest bataljon, który nie byłby dotąd wziął cięgów? Gdyby mógł sam zmienić się w kompanję, runąłby całą piersią między barykady, rozdarł cieniutką nić Polaków i wniósł z sobą w Książ zwycięstwo.

Świetnie broni się Dąbrowski. Snadź odwaga przywiązana do tego nazwiska... Dziarsko biją się Polacy! Biją się tak, jak wonczas, gdy on musztrował w szeregach wołyżerów Księstwa Warszawskiego... Przyznać to musi każdy i powiedzieć sobie w zaciszu duszy, iż naród, co tak bić się umie, nie zginie — ma przyszłość przed sobą...

Bunt gromki, protest płomienny podniósł się przeciw tej myśli w ambitnej, pruskiej piersi.

Nie! Stokrotnie nie! Nie ma jutra ten naród, póki łyskają dumnie w słońcu bagnety niemieckie! Nie spoczną Polacy, póki Prusy stoją na nogach!.. Rozdziobać ich, roztratować, zmiażdżyć i mur chiński wznieść przeciwko Słowiańszczyźnie...

Wściekłość bezsilności pieni się i ryczy w gadzinowej duszy wodza.

Jakby zgoła beznadziejny pozostawił tok bojów fali losów. Wzywa przeciw hardej, niezłamanej garści Polaków w pomoc duchy krzyżackie i moce piekielne, a jednak na dnie duszy szepce mu coś:

— ...nie zginie.

XIX.

Z chwilą gdy kolumna Blumenthala runęła na Książ, pluton Jarocińskiego musiał zawrócić na swoją placówkę, chmurą dymów owianą.

Osadził się znów na okopach, pospołu ze strzelcami Węgierskiego. Pomimo nieustannej kanonady wszyscy rozpromienieni, albo zajadali pośpiesznie, co kosynierzy byli uwarzyli w kotłach, albo czyścili broń, napychali

ładownice, krzepili się jakimś cienkuszem, lada moment spodziewając się nowej roboty.

Niewielu odniosło rany. Zaniesiono ich do lazaretu w budynku szkolnym przygotowanego, gdzie wraz z polskimi lekarzami niósł im pomoc żydowski fizyk, wbrew uczuciom swych współwyznawców.

Na rynku zatarasowanym nie było widać prawie nikogo okrom czterech setek kosynierów, skazanych na bezczynność, zniecierpliwionych. Oswojeni z łoskotem kanonady, drwinami witali szalejące kartacze i gasili powstające od bomb pożary.

Tymczasem do Brandta przyskoczył cwałem szef kawalerji z radosną wiadomością: od Nowego Miasta nie grozi im już niebezpieczeństwo!

Przed lasem boguszyńskim zapędziło się na jazdę pruską czterystu „wyborowych“ kosynierów Jana Mittelstaedta, który na odgłos batalji, wyruszył natychmiast ze Solca na pomoc Dąbrowskiemu. Bohaterski partyzant, który w innej okazji miał sobie i swym równie bohaterskim chłopom kujawskim wystawić pomnik chwały — wtargnął w sierp huzarów, armat i piechoty i musiał złożyć kosy, połamane w rozpacz. Zaczem graf Lüttichen puścił ich w tem przekonaniu, że nie chwycą więcej za broń.

— Aber, Herr Graf — strofował go Brandt. — Jak można było nie brać do niewoli tego chłopstwa? Toż Mittelstaedt uzbroi ich jutro! To najlepsze podobno plutony kosynierskie!

Wszelako rad był, że widmo Mierosławskiego okazało się wytworem wyobraźni.

Odetchnął swobodnie i skierował konia ku miastu, gdzie stan rzeczy nie uległ zmianie. Przewlekał się tam potężny, prawie bezskuteczny ryk kolubryn, a na zachodzie grzmiały salwy. Zdało się, że trzęsienie ziemi nawiedziło Książ i pastwi się nad mieścina. Domki dygotały w posadach, miejscami szyby wypadały z okien.

Pod energicznym naporem pułków Blumenthala, zachwiała się zrazu zachodnia linja obronna, lecz Piotr Fałęcki wkrótce doprowadził swych ludzi do równowagi. Biegając tu i ówdzie, jak opętany, wrzeszczał:

— Do stu katów, bomb, furgonów i beczek!.. Serca w górę!.. Tuj — cel! Pal! — komenderował.

I spokój wstąpił w szeregi, zwłaszcza, że przykład umiłowanego wodza pokrzepił ducha. Dąbrowski sam bowiem stanął pod barykadą i słał kulę za kulą w szeregi pruskie.

Wreszcie Prusacy ustąpili za linję dla dubeltówek dosięgłą, aby z bezpiecznej odle-

głości ostrzeliwać okna domków. I tu przeto walka zatrzymała się w martwym punkcie.

W czasie bezdusznej tej pukaniny, niesfor-na rezerwa Blumenthala, z landwerzystów złożona, zabłąkała się nad ciche łąki, myśląc o pokątnej grabieży. Natknęła się tam na kilku żydków i Niemców, którzy przeprowadzili ją chyłkiem przez bagniska w cuchnącą uliczkę.

Nie zapuszczając się w niebezpieczne knieje Książa, szlachetni obywatele Brandenburgji i Śląska, których nawet ich wódz darzył głęboką pogardą, zrabowali w przelocie kilka mieszkań żydowskich, w nagrodę za usługi oddane Prusakom przez ludność izraelską i podłożyli ogień pod lamus przez gimnazjastów trzemeszeńskich obsadzony.

Na pomysł ten genialny wpadło kilku landwerzystów, zauważywszy, iż ze ściany tego odosobnionego budynku padały celne strzały na atakujących piechurów. Aby pomścić odważniejszych towarzyszków i wyprawić sobie godne igrzysko, osaczyli od tyłu podwójnym czworobokiem lamus, zaczęli podrzucili kilka garści płonącej słomy. I chichotali, czekając z najeżonemi bagnetami na przyjęcie młodych strzelców.

— Poczekajcie, bratki! My wam damy lekcję!.. Zobaczycie, jak się wojuje z Prusakami!.. — odgrąжали się.

A ogniste języki lizały ściany, pokrywały je krwawemi płachtami, pożerały z chrzęstem, dymem kurząc coraz gęstszym i gorętszym. Rwetes powstał we wnętrzu i w rozbitym dachu zjawiała się głowa. Zapewne dowódca, chcący parlamentować.

— F e u e r ! Ognia! — rozległa się komenda, grad kul posypał się na głowę, która przepadła w otworze.

Wrzało w gorejącej Gehennie, dym gryzący rozchodził się, żagwie syczące poczynaly padać, a chór śmiechów jadowitych wtórzył widowisku męczarni, gdy raz po raz gimnazjaści, to kilkunastu, to pojedynczo, jęli wyskakiwać z kotła piekielnego, do upiorów podobni. Wtedy Prusacy rzucili się do roboty, jednym nadstawiali bagnety, innych wpychali, wtrącali napowrót w czeluście rozhulanych płomieni, nie znając litości dla młodzieży, nie dając pardonu. Ustąpiwszy nieco przed kłębam dymu i rozwalającemi się ścianami, czyhali na ofiary, mordowali.

Tak zginęli wszyscy młodzi ochotnicy. Tym jedynym wawrzynem bohaterskim ozdobiła swe skronie landwera pruska...

Nareszcie kilka rot kosynierów spadło na tę szajkę, pod wodzą oficera jazdy. Z ogromnym szczękiem kos z wściekłością wilków zgłodniałych, jęli rąbać, siekać żelazem żołdaków, którzy zrazu, w przerażeniu niemem, wy-

stawili machinalnie bagnety, lecz skoro tylko przełamano ich szereg, ratowali się ucieczką.

Wszelako wskazaną raz drogą wdzierały się do miasta bandy landwery i krętymi przemykami zachodziły na skrzydło plutonu Fałęckiego, który nic o tem nie wiedząc, trzymał w szachu nacierające na swe czoło szeregi.

Wreszcie Blumenthal rzucił na front oddział strzelców śląskich, jednocześnie wysłał kompanję w kierunku gorejącego budynku i wtedy na oskrzydloną barykadę, posypał się zbliiska straszny ogień karabinowy. Dąbrowski zrozumiał, co się stało, i pojął, że na tej pozycji już nikt utrzymać się nie zdoła. Nie mógł wszakże wykrztusić rozkazu do odwrotu na drugą linję obronną. Strzelał tem namiętniej, aż Fałęcki, porwany sam przez ustępujących strzelców, ujął go za ramię i pociągnął w serce Książa.

Po chwili zdało się, że wulkan wytrysł z posad ziemi. Wzniosła się w powietrze fontanna kamyków, gruzów i próchna, z hukiem rozzdzierającym uszy. Kartacze rozsadziły barykadę.

A Brandt w tym czasie szykował do boju rezerwowy bataljon siódmego pułku, jedyny dotychczas niewciągnięty w bitwę oddział. Skarżył się przed frontem bataljonu, że wojsko nie pełni swej powinności, głosił oficerom, że

należy szybkim, stanowczym atakiem położyć nareszcie kres tej rozprawie. I wołał:

— Jesteście pułkiem księcia pruskiego! W czasach wojny wolnościowej, w latach 1813 i następnych, zdobył pułk wasz dobre imię. Mam nadzieję, że okażecie się godni szefa swego!.. Podnieśmy okrzyk: Niech żyje książę pruski!

Zabrzmiała salwa głosów.

— Na ramię broń! — huknął pułkownik i sam pomknął na czele dwóch kompanij na barykady Jarocińskiego i Wargockiego.

W odległości trzystu kroków od nich usunął się na ubocze i spozierał na długie łańcuchy tyraljerskie, idące raźnie pod ogień łuf polskich.

Mdlały ramiona Polaków, potniały okopcone od dymu oblicza, niejednemu puchły lica od kolby szarpiącej broni. Walczono przeszło trzy godziny bez przerwy, setka strzelców na północnej miasta krawędzi odparła trzy ataki, opłotła Książ bryłami rannych i trupów, zdemoralizowała kilka tysięcy regularnej piechoty.

Ten i ów czuł, że wyczerpują się jego siły, że jeśli nie padnie od kuli, stoczy się jednak na ziemię jakby bez życia. Toż Polacy musieli nabijać broń z niesłychaną szybkością, strzelać z wyteżoną uwagą, ze spokojem i doskonałą celnością, nie zapominając o właściwościach swej poszczególnej broni. Mieli oni trochę sta-

rych, wycofanych karabinów pruskich ze skalą, trochę sztucerów, jakich używano do strzelania do tarczy lub na grubego zwierza, kilka „podwójnych“ sztucerów ciągnionych, ze stożkowatemi kulami, a przeważnie dubeltówki snadnie się rozpalające, jednorurki i odwieczne garłacze. Żołnierz polski był nietyle machiną w ruch wprowadzoną i kierowaną przez wodza, ile raczej swoistym przyrządem wyrzucającym kule, więc nerwy naprężone jak postronki drżały, chwilami pożyły spoczynku i ciszy.

A skoro ustawał piekielny grzmot dział, poczynają bzykać kule, szeleścić w zaroślach, dzwonić po szybach, ścianach i głazach zasieków, szumieć jak bałwany i zgrzytać jak grad rzęsiasty.

I raz jeszcze łysnęły na całej linji ogniki, zagrzechotały karabiny.

Ale Wargocki, osmolony od dymu, zabiegał energicznie około swych ludzi, trzymał ich w formie, czasem rzucając żart, pogroźkę, hasło żołnierskie i odwracając uwagę od płonących pod miastem stodółek.

Ten i ów krzyczał:

— U diabła, gdzież Garczyński?!.. Nie masz go jeszcze?.. Do stu bomb i kartaczów, nie widać go?.. Cóż to znaczy?

— Przybędzie za chwilę! — odpowiadał kapitan i sam niepytany wołał: Wytrwać! Jeszcze kwadrans! Garczyński nadchodzi!..

Istotnie kosynierzy donosili mu, że w lasku boguszyńskim ukazali się zbrojni ludzie. A nie mógł to być nikt inny, jak tylko wódz nowomiejski.

Strzelcy wszyscy, wieścią tą odmłodzeni, rwali się do boju ogniście, i słońce wiktoryi uśmiechało się do nich.

Więc kompanje regimentu księcia pruskiego, dzielnie zapoczątkowawszy atak, zachwiały się, zwolniły kroku, stanęły, przypadły do ziemi plackiem.

Wobec tego Stach Wichura wyprowadził znów swych ludzi z kryjówki, podpełził pod łańcuchy nieprzyjacielskie i wnet z zagonów kapusty wytrysły znów strzały. Już tracił rachubę; wiedział jeno, że dawno przeszedł w tym boju cyfrę pięćdziesięciu ofiar, że ogółem wziął sobie sto głów pruskich.

Nareszcie! Długo czekał, gotował się w zaciszu wiejskiem do krwawej roboty, lecz zestrzeliwszy całą swą wolę stalową w to jedno ognisko, dopiął celu niemal niedoścignionego. I bitwa ta — niewielka liczbami wplątanych w nią żołnierzy, ale wielką ilością wyszafowanych kul, energii i bohaterstwa — wydała mu się teraz taneczną zabawą, w której potężny zasób jego zapału grał, jak grajki na

hucznem weselisku. Jakiś upojony, słoneczny czuł, iż spadło mu z duszy, jak z grobowca, wieko przygnębiające go ciężarem zniewagi, iż odzyskał cześć dla siebie i zdobył sobie indygenat rycerstwa w usługach dla kochanej ojczyzny...

Ach! Służyć tej Pani męczeńskiej do śmierci, przemienić się w prochownię, wysadzać w powietrze reduty pruskie, burzyć hordy najezdnicze, oczyszczać ziemię polską od zdradzieckiego robactwa — to znaczy żyć. Niechajby potem umarł stokrotnie, byle stu Wichurów wyszło z kości jego chłopskich.

Włókł się po brzuchu żółwio, ale nieustannie naprzód, naprzód...

Nagle świst gwizdawki wzywa go do barykady. Cóż to?.. Trzeba służyć rozkazu, ale jeszcze jeden strzał — do tego starszego oficera, co tam stoi za szeregami, usłanemi na ziemi bezpieczny. Karabin Stacha doniesie tak daleko.

Unosi się na łokciu, podwija nogi i w tej pozycji żaby celuje z zapartym oddechem.

Strzał mistrzowski, i major powoli obala się na ziemię.

— To za Dobrzyckiego! — szepce Wichura i poczyną się czołgać na czworakach zpowrotem, śpieszyć pod komendę kapitana.

Co zaszło?.. Przebóg! Ot, tam na krańcu linji bojowej, gdzie nie stało strzelców, prze-

darł się przez wątlą placówkę kosynierską kapitan z garścią szeregowców do miasta. On to — kapitan von Prądyński — otworzył i wskazał drogę zastępom Brandta i w tropy za nim, jakby z lejka, sący się kompanja siódmego pułku.

A od zachodu gromy kartaczów...

Nieba! Jeżeli za chwilę nie przybędzie odsiecz — wszystko stracone.

Przy barykadach zamęt rozpaczliwy.

Dzierżanowski pcha wszystkich w stronę pobliskiego rynku, wszelako garść mężnych strzelców Węgierskiego, pierwszym poniesiona odruchem, pędzi jak wichra na wdzierający się w opłotki strumień sołdactwa pruskiego. Rafał i Stach z nimi; ładując karabiny spieszą, przeskakują krzewiny agrestu i brzozy w ogródkach i dopadają do wału chróstów, przez które przedzierają się zielone figury jeńców. Za przykładem tej garstki walecznych idą kosynierzy i resztki strzelców Wargockiego, którzy nie rejęrowali w śródmieście. Bezładna ta pięćdziesiątka, pijana żądzą walki, przecina sznury Prusaków i zapiera piersiami przystęp do Książa wrogiej tłuszczy.

Pędzą w bój na śmierć. Pod czaszkami ich wre i kipi, bo opanował ich szal bohater-skich straceńców, porwała rycerska namiętność, rozpały kilkogodzinne zmagania się, oszołomyły odory krwi. Ze źrenic obłądnych

tryskają ogień złowrogie, zęby ścinają się w piekielnej zawziętości i tak pędzą — rzekłbyś: upiory.

Węgierski z wyładowanym karabinem w lewej, z pałaszem w prawej ręce wwierca się między bagnety zatrwożonych jęgrów. Chlasnąwszy pierwszego piechura w twarz, zatrzymuje się murem i siecze na ślepo z rozmachem rozpaczy.

A Wichura gdzieś poza nim ryczy do garstki kosynierów:

— Kto w Boga wierzy za mną! Za mną!.. Jeszcze... nie zginęła!..

Głos przepada w szczękę, w jańczarskiej muzyce kos i bagnetów, ścierających się z furją. Krzyki rwą się, szable świszczą.

Złamawszy pałasz na karku pruskim, Wichura chwytą oburącz lufę swego karabinu i rzuca się z tą olbrzymią maczugą w gąszcz piechoty sypiącej się teraz lawiną.

Rąbnął kolbą w jakąś czaszkę aż mózg z niej trysnął i głowa zmieniła się w okropną, rozkrwawioną, bezkształtną masę. Ostrze bagnetu pruskiego wpija się w jego udo, lecz dwie kosy ścielą mu do nóg przeciwnika. Bo za plecami Stacha, w pewnej odległości zgrupowało się kilku kosynierów i z oczyma utkwionemi w niego, stróżują nad nim. zabezpieczają go od tyłu.

A on, nic nie czując, nie widząc, niby Gólat lub Samson setną swą pałką kosiłby pruskie — cały w ogniu, upojony rozkoszą boju, dziki wściekłością, szalony męstwem.

Przedarłszy się przez las prętów kolczastych, zastępy pruskie osłupiałemi oczyma obejmują heroiczną scenę, rozgrywającą się na tle sadu — oplatają niską, krępą postać chłopskiego rycerzyka, wymachującego karabinem jakby cepami dookoła. Pusto zrobiło się przed nim, a z kosynierów i jęgrów utworzyły się dwa półkola ruchome. Ile razy maczuga jego rozśmigana przeszyje powietrze, posuwa się on lamparcim skokiem ku żołdatom i wali, rąbie, siecze, sieje śmierć.

Wstąpił weni duch deptanego chłopstwa wielkopolskiego, ponosi go, uskrzydła, przeszywa huraganu strasznego zapędem. I wala się żołdaty jak kłody bardyszkim ścięte, ustępują w przerażeniu sinem przed widmem pomsty, przed sokołem o sercu z żelaza.

Nad wałem chróstów jawią się łby końskie.

Otchłannem okiem patrzy nań wódz pruski z konia, przytwierdzony do miejsca widowskiem, jakiego nie oglądał jeszcze stary wojak. Brandt nie dziwi się już nadludzkiej sile i nadludzkiemu męstwu Wichury; zna przecież męstwo Polaka. Dziwi się wszakże upiorowej, mistycznej potędze jaka bije od ry-

cerza chłopskiego, paraliżując zastępy. Dziwi się i rozumie, że on powstał z morza łez i krzywd, dziobem sępa pruskiego zadanych, że on jest krzykiem bólu milionów.. I widzi oczyma duszy przerażającą moc olbrzymów z kości tych milionów tryskającą...

Zerwał się sokół z pod niskiej strzechy, rozwinął skrzydła do pysznego lotu przed galerją wrogów, wyzwał ich do walki na śmierć i bryzga im w twarz śliną pogardy, ciska im w dusze: memento...

— Feuer! Ognia! — wrzeszczy wódz na głos w zahypnotyzowaną, ogłupiałą tłuszcę swoją.

Stach Wichura zatoczył się. Karabin jego padł na cielsko pruskie, u nóg jego leżące, rogatywka zsunęła się z głowy. Wzniósł ramiona w górę, ku niebu — wymowny pomnik pomsty — i runął — sokół z sercem dwoma kulami przeszytem.

XX.

O tym czasie z lasu boguszyńskiego wynurzyła się na wzgórze nareszcie kolumna nowomiejska, tak długo i gorąco oczekiwana tętnem serc mdlejących.

Wynurzyła się trwożliwie i — zatrzymała.

Uprzedzony o wiszącej nad Książem napaści Garczyński winien był trzymać swój

obóz w pogotowiu do natychmiastowego wymarszu a nawet, nie czekając wezwania, ruszyć pod Książ. Tymczasem tak pokierował swą siłą, że trzeba mu było kilku godzin na przebycie zaledwie dwumilowego gościńca. Pomimo wyraźnych rozkazów Mierosławskiego i wezwań Dąbrowskiego, gnuśnie zabrał się do pochodu i snadź nato jedynie, aby o kwadrans drogi od Książa stwierdzić, że przybył z odsieczą za późno.

Bo chciał przybyć za późno.

W ręku generała, w karbach panującej nad sobą woli, Józef Garczyński okazywał się służbistym oficerem; umiał słuchać, lecz nie umiał dowodzić, a ślepy traf wysunął go na stanowisko odpowiedzialne, wymagające jeneralskiego gestu i charakteru. Postulat zbyt wielki! Więc w momencie krytycznym omdlał na duchu w poczuciu swego niedołęstwa, załamał się pod ogromem odpowiedzialności i upadł w obliczu położenia, wyrastającego mu ponad głowę.

Wysunąwszy się kilka kroków naprzód z szefem sztabu nowomiejskiego Kosińskim, osadził konia na miejscu i w chmurnem milczeniu spozierał zpodęłba na panoramę Książa, płonącego na krańcach, zalanego inwazją pruską, toczącego boje ostatnie.

Władysław Kosiński błagał, zaklinał go, aby nie zwlekając uderzył na Brandta, odbił

bohaterską załogę, podsuwał mu przed oczy fakt, że sam Dąbrowski liczy nań jak na Zawiszę, że mężni bracia walczą nadzieją jego odsieczy, ślą ku niemu błagalne spojrzenia z dymów i zamętu walki. Daremnie!

— Za późno... — powtórzył brzuchaty jegomość, targając zawieszisty wąs, i tłumaczył się: — Nie wolno mi wydawać mych ludzi na pastwę...

— Nie za późno!.. Nigdy nie za późno pełnić swą powinność! — wołał Kosiński i przekładał, że gdyby już nawet załoga ksiąska niezdolna była do boju, łatwe odniosą zwycięstwo nad wyczerpanym i zdemoralizowanym wrogiem.

Lecz wszystkie argumenty i dźwięki serca padały w próżnię bezduszności wodza.

Kolumna nowomiejska, liczniejsza od obozu Dąbrowskiego, ugrzęzła w kałuży słabości Garczyńskiego. Wreszcie spędziło ją i odrzuciło wstecz kilka dział Brandta.

Książ zaś zapadał się na dno zagłady.

Na błoniach zakrzewskich panowała już pustka; stada wron unosiły się nad padliną końską, krakały nad pobojowiskiem. Połamane drzewa, rozwalone lub płonące budynki podmiejskie, zagwożdżona armatka, obalony furgon, karabiny, ładownice, tornistry, setki rannych i trupy, składały się na ponury wyraz krwawego aktu dziejowego.

Pod kwitnącą jabłonią spoczywał tam w sadzie Rafał Węgierski.

W rozwartych, błędnych jego oczach stało osłupienie. Ocuciwszy się z omdlenia, pytał się, jakim zrządzeniem losu leży w ciszy tak kojącej, pod baldachimem okwieconych ślicznie gałęzi, jakby pasterz uśpiony. Ale zaświtała okropna świadomość wszystkiego, jęk wydzierający się gdzieś opodal z piersi rannego, szarpnął nim i zdziwił się, że zmartwychwstał, że żyje. A raptem z serca Księża rozległ się huk działa i sprowadził w nim nowy przypływ sił i męstwa.

Zerwał się na nogi i teraz dopiero poczuł ciecz gęstą, gorącą, ociekającą mu w usta przez wąsy. Krew! Zamajaczyło mu coś, że w natłoku, sypiących się hurmem Prusaków stracił przytomność, kolbą czy pięścią ugodzony w czoło.

Otarł szybko krew, pochwycił karabin i ładownicę trupa pruskiego, nabił broń i, lubo oszołomiony, pomknął w sad — w miasto.

Pod parkanem ujrzał wśród krzewów malin coś, niby porzucony tłumok odzienia, który niespodzianie zerwał się w górę.

— Jędrek!!!

W strasznych opałach uciekający chłopak rzucił się tam na twarz, zabitego udając, i tak uniknął śmierci. A na szelest kroków samot-

nych uniósł głowę ostrożnie i skoczył do Węgierskiego, jak chart.

— To pan! Chwała Bogu!.. Uciekajma co tchu, panie Rafale! Bez pola i Książek!.. Pan Stach zabity. Wszystko stracone..

— Zabity?!..

— Zabity...

— I on!..

Zabolało go coś w piersi i czuł, że nie pozostaje mu już nic, jak, idąc za wszechmożnym ducha rozkazem, rzucić się w otaczającą go otchłań.

— Uciekaj, jeśli chcesz! Pędź do Garczyńskiego i powiedz mu ode mnie, że jest kiep ostatni!..

Podążył dalej bez zastanowienia, z tragiczną, jakby szerniałą maską. Przepadło wszystko...

Działą Blumenthala, wciągnięte w ulicę Śremską, rozsadziły potężny okop rynkowy w chwili, gdy piechota Brandta z kapitanem v. Prądkyńskim na czele, torowała sobie przystęp do śródmieścia, szturmując domki i oczyszczając podwórka ze strzelców polskich. Wreszcie złączyła się z wojskiem Blumenthala, opanowała północny bok rynku. Dalszy opór ze strony Polaków zdał się niemożliwy.

Lecz nie! Sto piersi kosynierskich zamknęło wyłom w barykadzie i, walcząc z zaciętością rozpaczy, powstrzymywało nawał-

nicę. Ale tylko na krótko, gdyż z tyłu, z zajętych domów ogniem karabinowym prażeni musieli cofnąć się w rynek.

Jednocześnie armaty, z pod wiatraka sprowadzone, rozwalily barykadę Jarocińskiego. Poza ich zionącemi ogniem paszczami tłoczyła się niesforna ćma landwerzystów, wyłącznie rozbojem i mordami zajęta. Próżno Brandt, sterczący wpośród niej na koniu, próbował ująć ich w karby rozkazów. Nie mogąc ruszyć się ani naprzód, ani wstecz w natłoku uliczki, mimowoli obserwował praktyki obywateli niemieckich.

Wypadł bowiem do nich z domku kramarz Izraelita i. gestykulując wskazał na oficynę drewnianą, w głębi podwórza ukrytą, jako na kryjówkę powstańców. Więc część żołdatów biegnie za nim, usiłując wywalić drzwi oficyny, strzela w okna. Atoli broń polska odpowiada kilku celnemi kulami. Strwożeni rezerwiści, podpalają przeto przyległą do klitki stodołę, która niemal w okamgnieniu pokrywa się siatką ognistych języków.

Pożar wrzucony raz w gąszcz drewnianych budynków ogarnia coraz szersze kręgi z szybkością szarańczy, pełza po barłogach od domu do domu, zagarnia całe podwórza, zionie deszczem iskier, napęlnia uliczki północne tumanami gryzących dymów i unosi się

krwawemi płachtami nad skazanym na zabicie Książem.

A horda Brandta naciera na północną barykadę przy rynku, gdzie pluton kosynierów, dzierżąc w mocnych łapach kosy, i grupa strzelców drży żądzą walki. Strzały padające z poza wału głazów nie dopuszczają tchórzliwego nieprzyjaciela pod okopy, lecz pchany z tyłu przez bataljony landwery w wąskiej kiszce, musi on wreszcie rzucić się na ostrzaiącą broni chłopskiej.

W pośrodku barykady wyrasta jędrna, stalowa postać Dąbrowskiego ze sztucerem, skryształizowana w posąg rycerskości. Na placówce Fałęckiego kartacz zgolił mu skórę z prawej szczęki, ale wódz strzela, wypuszcza broń, chwyta kosę z rąk chłopca i ryczy:

— Bij! zabij!

Świst szatańskiego chichotu kos, szczęk bagnetów pruskich ogłusza, rozwściekła walczących. Dąbrowski tnie w czarne kepi jędrów z rozmachem, przepyszna, lwia siła bije ze skamieniałych rysów twarzy. Zda się, iż teraz dopiero sięgnął na spód skarbnicy duchowej po najcenniejsze brylanty męskości, puścił lejce pegazowi wojackiej fantazji, stanął w ognjach rycerskości i, z wodza w żołnierza przemieniwszy się prostego, jako wzór szeregowca chce walczyć i zginać.

A okrzyk generalski wyrywa się, jak ptak dumny z jego klatki piersiowej:

— Hurra!.. Naprzód!

Dźwięk szlachetnej stali przeszywa magnetycznie nieustraszonych, wznosi ich na termopilskie szczyty heroizmu.

— Naprzód!! — woła wódz, aczkolwiek wie, że falanga tytanów nie przełamałaby śmy zbitych zastępów, nie przedarłaby się przez lasy bagnatów i cielska kartaczówek. Wie on to, lecz czuje w sobie moce wulkanów, które, zda się, cudów dokazać muszą.

Jeśli kiedy w jednej ludzkiej piersi kipiało męstwo tysięcy odważnych, to w piersi Florjana Dąbrowskiego w dniu wielkim, ofiarnym, 29 kwietnia r. 1848...

— Naprzód, wiara!.. Za ojczyznę!

Spada z barykady gradem stado srogich ptaków z zadzierzystem, sinem piórem, rozbija łan łbów pruskich, odrzuca atak bagnatów, deptąc po trupach jęgrów.

W przewidywaniu tego momentu Brandt rozkazał podwieźć działa pod swe pierwsze szeregi i teraz, gdy frontowe rotty cofnęły się do łuf artylerji, wysunął je do akcji.

— Wszystko daremnie... — jęczy ktoś przy boku Dąbrowskiego, a wódz odpowiada okrzykiem:

— Pełnić obowiązek!.. Niech żyje wojna!

Wcielił się weń duch wojny i, jak kiedyś mury Warszawy, osłania on swoją pierś gniazdo wielkopolskie przed wrogiem, rwie się z kosą za ustępującymi, gdy wtem z gardzieli armatniej tryskają ognie piekielne i podnosi się z pod barykady słup gruzów, kurzawy i oderwanych członków ludzkich.

Dąbrowski słańia się w tył na piersi przyjaciół, lecz zaraz prostuje, aczkolwiek kartacz zmiażdżył mu kość w biodrze.

— Śmierć Prusakom! — ryczy ranny lew głosem Wielkopolski całej.

Grzmi salwa. Wódz polski pada w objęcia swoich, którzy unoszą pośpiesznie w rynek i składają na stopniach głównej kwatery strzępy granitowego ciała.

Przez rozdartą barykadę poczynają się wdzierać Prusacy. Jeden z oficerów polskich powiewa białą chustą, ale kosynier wydziera mu ją z ręki.

— Zginać chcemy do ostatniego! — woła chłop.

— Hurra! — krzyczy reszta, ślepa na beznadziejne położenie, broni z furją rumowiska, jakby grobów rodzinnych, zagrożonych świętokradztwem.

W ścisku nie mogąc władać kosą, chłop porywają kamienie ze zwalisk zasieki, ciskają na hełmy, druzgocą je, potem chwytają żołdatów za gardła, duszą w szponach Prusaków

niby wściekłych psów sforę. Wpółśród nich czerwieni się i świszcze krwią ociekająca szabla Wargockiego i raz jeszcze prusaczyzna cofa się w popłochu pod osłonę armat.

Rozwijają się w powietrzu kosy, niby pióra jakichś ptaków apokaliptycznych, kosynierzy odsapnąwszy gotują się do szalonego, lamparciego skoku w ciżbę bagnetów, z której rozlegają się zgrzyty kurków, hukają strzały z przystankami, na wyprzódki. Wreszcie grad kul godzi w zgrzeble koszule chłopskie.

Szereg ciał rozkrzyżowanych pokrywa gruzy... Przystęp do rynku otwarty.

Wódz polski żyje jeszcze. Porozdzierane ciało, całe we krwi, w drgawkach. W uszach jego szumi i dzwoni i, zda się, pędzi gdzieś na obłoku ognistym w topiel niepamięci. Po chwili jednak, robiąc lekko piersiami, otwiera przytomne, jakby niezmiernie zdziwione oczy i wodzi po stroskanych obliczach swych oficerów, którzy przywołują służbę lazaretową z noszami i radzą coś między sobą.

Szef jazdy, Leon Smitkowski posyła do Brandta porucznika Sokolnickiego i poddaje się.

Niebawem w różnych stronach Książa grają trąbki, kres bojów obwieszczające.

Na głos ten Dąbrowski rzuca się, niby ryba w sieci, unosi nieco głowę nadludzkim wysiłkiem, i prawą ręką szuka po ziemi pałasza,



Śmierć Dąbrowskiego.

Stach Wichura.

resztą sił chcąc zerwać się jeszcze do boju. Zaczem opada na kamienie z jękiem krzyżowanego:

— Panie, Ty widzisz!.. Bronilem honoru Polaków...

XXI.

Na synów tych, co jak szaraki pierzchali z pod Jeny i Auerstaedu, sygnały te podziały w dziwny sposób.

Podniosła się w nich tatarska wściekłość furjatów przeciw zwyciężonej garstce. Landwerzyści, którzy dopiero teraz odważyli się wtargnąć na rynek i podejść do rozbrajanych Polaków zapłonęli spóźnionem męstwem opryszków. Opuścił ich przestrich, co trzymał ich przez kilka godzin w spętaniu: bezprzykładny obłęd tchórzostwa zamienił się w bezprzykładny obłęd krwiożerczości. Obnażyła się wyzwolona ze wszystkich pętów istota natury pruskiej. Całe żołdactwo wpadło w trans barbarzyńskiego rozpasania i poczęły się igrzyska opętańców — poczęła mordownia, która krwawemi głoskami zapisała się na wieki w zbiorowej duszy Wielkopolski.

W niepomamowanym upojeniu hord Atylli jęgrzy wpadali do domów, mordowali bezbronnych, rannych, kto się nawinał pod bagnety szaleńców. Najlepsi ograniczali się na grabieży.

Wpadł w tę dzicz rozhukaną Rafał, przedarłszy się w dzielnicę, nie objętą pożarem. Karabin dygotał w jego rękach, czuł, że musi wystrzelić, położyć Prusaka trupem, aby wyładować z duszy coś z fermentujących tam ogni piekielnych.

Ujrzał przed sobą zwłoki Wargockiego, a na nich dwa sępy pruskie, obdzierające trupa. Wypalił, potem drugiego żołdaka przeszył nawylot bagnetem i, zgoła nie zdając sobie sprawy z niebezpieczeństwa, pośpieszył w rynek. A rozbojem i mordowaniem zajęta horda nie traciła czasu na pościg.

Południowa część rynku pusta i naga nie wiedziała nic o krwawych scenach. Włokąc okrwawiony bagnet po bruku, Węgierski zataczał się, jak pijany w wybojach, zawadzał o wystające kraglaki i tak zmierzał do muranego ratusza i ewangelickiego kościółka w pośrodku czworoboku rynkowego, oczyma krwią zabiegłemi, upiorowemi pożerając straszny obraz zniszczenia i bezecności.

Z okien i szczytów północnej linii rynku buchały ognie i dymy, obejmowały wschodnie skrzydło, oblewały łuną upalną wielką scenę wybryków żołdackich.

Położywszy trupem kilku po rynku rozsypanych oficerów polskich, landwerzyści spostrzegli kapelana Koszutskiego w ornacie z pałaszem i krzyżem w dłoniach i jak zgraja psów

wściekłych skoczyli ku niemu. Słyszeli o nim w Śremie i zgóry postanowili powiesić Tyrteusza obozu polskiego. Runęli nań z pięściami, zarzucili gradem przekleństw.

— Czekaj, opryszku!! Wniesiemy cię bliżej polskiego Pana Boga!

Już zakładali mu na szyję stryczek, gdy nadbiegł major Gerhard i fuknął na nich gromko. Jednakże czuli się oni w swem prawie, uważali kapelana za przeznaczonego na ich igrzysko i byliby powlekli go na śmierć, gdyby major, z natury jowialny, nie był wpadł na fortel.

— Słuchajcie! — począł z pozorami dobroduszości. — Wpierw trzeba go zaprowadzić do naczelnika, a potem obarczymy go naszym wielkim bębniem, aby nam w drodze takt marsza wybijał.

Myśl ta spodobała się landwerze.

Podczas tego od wschodu szedł odgłos strzałów. Pukali tam landwerzyści przez niskie okna lazaretu do rannych, złożonych na podłodze pokotem, i tak wymordowali kilkunastu. Skakało wkoło nich kilku żydów, szczerząc zęby przyjaźnie, jakby z wdzięczności za zgotowane widowisko. Lecz pożar ogarniający budynek począł zazierać im w twarze, płoszyć żołnierzy, więc partja cofała się w głąb rynku.

Tymczasem w progu lazaretu stanął oficer.

— Ihr Hunde, ihr werdet hier alle verbrennen!

(Wy psy, spalicie się tu co do nogi!).

Temi słowy ozwał się do walecznych, w krwi tarzających się żołnierzy oficer pruski...

Kto z nich miał dość sił, włókł się na czworakach ku drzwiom, uchodził z Gehenny. Reszta zginęła, bo w kilka minut gmach przeżarty przez płomienie zawalił się, grzebiąc nieszczęśnych w topieli piekielnej.

Tymczasem opodał rozbitej barykady zachodniej rozbrajano kosynierów i strzelców pod okiem oficerów Blumenthala. Spostrzegłszy to jeździ, dopadli z wyciem hien głodnych do jeńców, poczęli policzkować ich, kułakować, grzmocić kolbami, podcinać im nogi pałaszami, plwać im w oczy śliną. Ten i ów z oficerów próbował powstrzymać ich w zapale, stanąć w obronie polskiego życia.

Jednakże igraszkom nic przeszkodzić nie mogło. W pobliżu zboru zgromadzili oni grupę kleryków, alumnów, młodzieży, szlachty i wszystkich, w których lepsze podejrzewali pochodzenie, i pastwili się nad nimi, powalając ich na ziemię, bijąc i krzycząc. Opodał inna banda zabrała się do kosynierów.

Rafał widział wszystko i nic. Wsparty o omszały mur ratusza stał, niby złamane drzewo z głową na piersi zwieszoną w go-

rażce, z wyrazem piekielnej udręki w rysach. Gdzie wzrok jego się zabłąkał, pożar, gwałty, mordy, ohyda. W rozdartej duszy romantyka huczały, wrzały jęki jesiennego wichru i nie wiedział, czy to jawa, czy sen potępieńca.

Zapomniał o sobie, zatopił się w potopie i w piersi, grozą wibrującą przepojonej, nie miał nic prócz milczącego oczekiwania swego końca, grozę rezygnacji skazańca.

A pchało go coś naprzód. Może nie wierzył oczom, może dość miał udręczenia, dość fragmentów strasznych, które odbijając się w zwierciadle duszy, przeobrażały się bez spółudziału skamieniałej świadomości w palącą lawę grozy. Z maską w skurczu strasznym zamarłą, posunął się niby Dant w czeluście piekła, naprzeciwko żniwującej szumnie śmierci — kostuchy.

Gdzie stąpnął, czerwieniła się krew, czerwiał trup. Jak piękne, ścięte drzewo spoczywał na bruku major Dzierżanowski z roztrzaskaną głową. Dalej bratni uścisk zdawał się łączyć dwa ciała: porucznika Jakiewicza i kapitana Fałęckiego. Major Kamiński nurzał się twarzą w kałuży krwi, obok kosynier leżał rozkrzyżowany z obliczem sinem, z zamglonymi oczyma w niebo wzniesionemi, jakby mówiąc: Panie! Otóż jestem ukrzyżowany na wzór Twój — ukrzyżowany na krzyżu ojczyzny...

Jęki przeszły lodowatą pierś Rafała, błędzącego jakby we śnie lunatycznym. Wydierały się one z ust śliną i pianą ociekających dzielnego Waligórskiego, który bagnetem w kłęby żył brzusznych ugodzony, wił się w kontorsjach, w katuszach najboleśniej rany. Męki Laokoona wykrzywiły młode lica torturowanego.

— Dobijcie! Dobijcie przez litość!.. — bełkotał, a od jęków jego mróz przechodził po czaszce Rafała dreszczem śmiertelnym, ciemność gasiła wzrok jego obłądny.

Oni wszyscy i wielu innych polegli po otrąbieniu pokoju. Pokój ten pochłonał więcej ofiar polskich, niż walka...

Nie zauważywszy już ciężko rannych braci Mizerskich, Jarocińskiego i ułana Terleckiego, błędny rycerz stratowany rozpaczą i grozą, drżący febrycznie zatoczył się na szereg jeńców — chłopów, klęczących z oczyma w żary ognia zwróconemi. Igrzysko rozbawionych fizyljerów „księcia pruskiego“!

Gdy jeniec jak i zerwał się na nogi, żołdacy poczynali walić go kolbami, katować kijami, innym kazano całować zbójecką szablę pruską i za to plwano im w żrenice.

W półmartwem, znieczulonem ciele wizjonera, przez szatanów dręczonego, przesiliły się bole, pękły opancerzające go lody. Rozprostował się nagle, niby pyszniąc pięknem swej po-

sagowej postawy Antinousa i z cudowną błyskawicą w oczach Rafał skoczył w zgraję rozbastwionej prusaczyny. Roztrącił ich i, między nimi a jeńcami stanawszy dumnym filarem, wrzasnął po niemiecku tonem pana i wodza, zasyczał w furji, jak żelazo w ogniu do białości rozpalone:

— Te u f e l! Jak śmiecie!.. Hordo przekłeta!..

Imperatorskim tonem, jakby piorunem rażona wataha opuściła plugawe dłonie, oniemiała, struchlała. Poczytali go za kogoś, co miał prawo tak do nich przemawiać. Zgięły się karki. A zgoła egzaltowane o władzy i wielkości jego odebrali wrażenie, gdy Węgierski z twarzą dumną jak cesarz a wściekłą jak lucyfer rąbnął kułakiem okrutnego sierżanta w twarz tak, że drab rozciągnął się na bruk jak długi.

Pyszna ta zuchwałość rycerska byłaby może uszła mu płazem jeszcze przez chwilę, ale Węgierski zwrócił się odruchowo do swoich:

— Na nogi!

Dość było polskiego słowa, aby fizyljerom otworzyć oczy na polski uniform i srebrne na kołnierzu galony. Spojrzeli na niego, jak na upiora, jeden z nich huknął go w głowę, drugi z tyłu wepchnął ostrze bagnetu w łopatkę, i na padającego porucznika zważyło się stado kru-

ków. Poczęli walić go kułakami i kolbami, aż nadbiegł kapitan i spędził drapieżną hałastrę ze skóry ofiary.

Spłoszeni puścili się w stronę zapomnianego odwachu, gdzie wśród garstki ludzi, otaczających go wiankiem, jęczał zcicha Dąbrowski.

Domyślając się w rozkrzyżowanym na stopniach wodza polskiego, wataha zwęszyła nową dla siebie igraszkę. Nuże ciskać weń kamieniami, bić go kolbami i bryzgać plugawą pianą karczemnej, koszarowej gwary.

— Zdychaj ty wściekły psie polski!

Działo się to w oczach kilku wyższych oficerów pruskich. Zrazu daremnie próbowali oni uśmierzyć rozbestwienie, wreszcie odpędził dzicz adjutant Brandta, dobywając przeciw niej szpady.

Nic z tego nie uszło uwadze przytomnego jeszcze wodza. Uniósłszy głowę z wysiłkiem rozglądał się on dookoła po twarzach bladym, spokojnym okiem. Na rysach jego osiadł ton ujarzmionej, głębokiej boleści.

— Pugilares... — wyjęknął dość silnie, pracując pierśią, i obok niego klęczący rodak wyjął z zanadrza jego portfel i schował.

— Zegarek... — wyszeptał Dąbrowski i wskazał oczyma na majora Voigt-Retza, który osłonił go przed zniewagą dzikiej hordy.

Zrozumiano, że wódz pragnął doręczyć mu w upominku zegarek. Upokorzony pięknym odruchem umierającego wojaka polskiego, nieprzejednany ten wróg Polaków wzbraniał się. Wreszcie przyjął go, lecz czując się go niegodnym, doręczył go następnie komitetowi polskiemu w Poznaniu.

— Dziękuję...

Szept spadł z drżących warg Dąbrowskiego. Major jakby w obliczu monarchy pochylił głowę kornie, uścisnął dłoń wodza i chlubił się później, iż danem mu było dotknąć ręki gasnącego bohatera.

Cześć dla dzielnego Polaka przejęła dogłębi wrogów; stali bez słowa, bez ruchu, jakby spełniało się przed nimi święte misterjum. I polscy wojacy pojęli instynktownie, iż nieprzyjaciela zwyciężyć, podbić i rzucić przed sobą na klęczki można jedynie niezłomnym charakterem i bohaterstwem.

Grupę tę nabożnie dookoła Dąbrowskiego zgromadzoną ujrzał pułkownik Brandt, nadjeżdżając konno. Zapraagnął popatrzeć na heroicznego przeciwnika.

Spotkały się promienie ich źrenic. Nie zapasnicy, lecz ludzie zajrzeli sobie w dusze.

Brandt wodził okiem po strasznie poszarpanem ciele Dąbrowskiego, milczał długo i układał w głowie pięknie brzmiące zdanie. Pyszałkowaty, na Poniatowskiego pozujący

za w gruncie zdradziecki Prusak nie mógł po-
minąć wdzięcznej sposobności do uświetnie-
nia samego siebie we własnych oczach, do glo-
ryfikacji.

— Boleję, że zastaję pułkownika w ta-
kim stanie... — ozwał się po polsku.

Dąbrowski, innej miary człowiek, inne
miał słowo. Wyższy o niebo nad puste dźwięki
dał wyraz tylko temu, co jedynie miało dlań
jeszcze znaczenie.

— Spełniłem swój obowiązek... — wy-
szeptał.

— Zinusiliście mnie, drogi kolego, do
krwawego z wami obrachunku. Niewątpliwie
byłoby lepiej, gdybym nie był do tego zniewo-
lonym — kłamał zdradziecki najmita, drapujący
się w szatę wykwintnej galanterji, i ciągnął: —
Ale walka skończona. Pragnę być koledze po-
mocnym. Czy mogę, czy mogą moi oficerowie
służyć pułkownikowi czemkolwiek?..

Czy zdawkowe dźwięki nic mu nie mówi-
ły, czy obluda i czelność sparodjowanego ry-
cerza, który śmiał się odzywać doń jako do
„drogiego kolegi“, odepchnęła go, dość, że Dą-
browski przymknął oczy i zamilczał.

A gdy major powtórzył pytanie swego
wodza, ranny potrząsł głową przecząco i bąk-
nął:

— Nie mam życzenia...

Nie wyświadczył „drogiemu koledze“ zaszczytu.

Złożono go na nosze, aby podźwigać na podwoły dla rannych. A wódz pruski szukał jeszcze spojrzenia Dąbrowskiego jakby łaski, gdyż przed chwilą wielki w swem pojęciu, dumnie dzierżący głowę jako zwycięzca i jutrzejszy generał, spadł raptem w swem poczuciu w proch pospolitości.

W tym momencie pierzchła odeń radość i pycha, skurczył się jego duch mały, bo zaświeciła mu w oczy wielkość zwyciężonego.

Prześcignął on już wszystkich generałów pruskich na tej ziemi, a jednak — rzecz dziwna — jakże małym był i nikczemnym wobec nieporównanej, na najwyższą próbę wystawionej cnoty wojskowej, wobec spełnionego ofiarnie obowiązku żołnierskiego, wobec ogromu miłości ojczyzny, wobec lwiego, szlachetnego serca polskiego, pięknej duszy bohatera i wobec majestatu jego śmierci.

Odczuł jakąś cząstką swej duszy, że łatwy sukces nie przeważy sądu historii na jego korzyść, że klęska stokroć chlubniejszą być może od zwycięstwa, że w księdze dziejów on, zwycięzca, zapisanym będzie jako pospolity trabant, a imię zwyciężonego Florjana Dąbrowskiego, wyryte w duszy przyszłych pokoleń, jaśnieć będzie w panteonie narodu polskiego jak gwiazda...

Książ stał się rumowiskiem tysiącznych pochodni, stekiem kotłów piekielnych, olbrzymiem, rozmiotanem kłębowiskiem płomieni rozstających, przelewających się w orgji żywiołowej. Z trzaskiem, łoskotem zanikało strawiało się miasto w dymach pożogi, które buchały czarnymi chmurami i rozplýwały się daleko po panoramie. Nad morzem zwichrzonych ogni trzepotał na wysokiej wieżycy kościoła proporzec polski.

Fale żarów i odory spalenizny, wiatrem nies one, ogarniały niekiedy konwój rannych jeńców, posuwający się na drodze do Śremu.

Na wymuszonych wozach drabiniastych odzywały się ciche jęki, a żalosne spojrzenia żegnały pamiętny obraz zniszczenia.

Na zoranem obliczu starego, rannego chłopca zaduma pokładła głębokie cienie. Ważył coś w umyśle, aż wreszcie wyrzekł:

— To nie Książ się pali, ale nasza przyjaźń z Prusakami...

EPILOG.

W zimny, posępny dzień trzeciego maja Rafał ocknął się ze snu pokrzepiającego, ukołyszany w stan niewysłowionej, podniebnej błogości.

Powracał do zdrowia. Ustąpiła gorączka, wieczorem przechodząca w malignę, pełną ża-

rów. Wszystko, co przeżył, przeboleł, cofnęło się w mroczne zaułki duszy, wszystko, co ziemskie zsunęło się zeń jak szata i wszystkie czynniki psychofizyczne spoczęły w hamaku ukojenia, niby fale wysłonecznionego jeziora.

Siły zwycięskie podnosiły się nieśmiało w przygasłym organizmie niby słońce zaranne, wygładzające duszę tchnieniem zaziemskiej cizy i nieznanej, wegetacyjnej szczęśliwości młodego kwiatu. Jeszcze oderwany od świata, daleki od tysiącznych trosk jego, istniał gdzieś wysoko wzniesiony, zakłęty w bezprzedmiotową myśl — w świadomość swego istnienia i odrodzenia.

W lichej izdebce śremskiego rzemieślnika spoczywał, jakby w bezludnym gaju, w zapomnieniu swej skorupy cielesnej i gonił motylowe fragmenty ostatnich przeżyć, jakie lekko uczepliły się umysłu.

Z wieczora dr. Matecki lekarz poznański, ratując z kilku kolegami stu pięćdziesięciu rannych ksiąskich w Śrebie rozmieszczonych, przybył z kolei do swego towarzysza kaźni moabickiej.

Ostrze bagnetu zbira, oślizgnąwszy się po łopatkę, przeszło szczyt płuca Rafała i zadało ranę głęboką ale nie zabójczą.

Opatrzywszy ją z pomocą panny Ludwiki Wierzbńskiej, która pod egidą Emilji Sczanieckiej dostarczała kompresów, bandażów

i szarpi, lekarz ucieszył się, że młodość pokonywała już zapalenie i triumfowała nad wielkim ubytkiem krwi. Rzucił choremu słowo otuchy, a Rafał wyjąknął słabo.

— A cóż Dąbrowski?

Zmieniło się oblicze obywatela.

— Przed tronem najwyższym... Skończył na mych rękach. Odniósł rany tak straszne, że jeno człowiek o tak dębowej żywotności mógł się jeszcze bronić przed śmiercią, poszarpany kartaczami. Cierpiąc prosił, aby modlić się o szybki kres bólów, lecz krzepił się na duchu, mówiąc: „Ale to przecież dla Ojczyzny“. Były to ostatnie jego słowa, które niejako pozostawił nam wszystkim w spuściźnie... ten rycerz obowiązku narodowego.

Bezwiednie na wspomnienie granitowego żołnierza pochyliły się głowy nabożnie.

Po chwili dr. Matecki podążył dalej, pozostawiając Emilję Szczaniecką z towarzyszką i Krysią Pinińską, które zaraz na pierwszą wieść o napaści na Książ pospieszyły do boku dzielnej obywatelki. Utworzył się w Śremie sztab młodych, pełnych poświęcenia kobiet; panny Bolewskie, Sabina Mlicka, Melanja Ła-kińska, Glogierówna, rozdzielwszy między siebie funkcje sióstr miłosierdzia z Ludwiką Wierzbińską i Krysią, dniem i nocą pracowały niestrudzenie dla dobra rannych żołnierzy polskich. A pani Barbara Raczyńska i wiele osób

z miasta i okolicy zносиło żywność i bieliznę do rozporządzenia „aniołów opiekuńczych“.

Panna Emilja, lubo upadając ze znużenia, poświęcała rannym kilka chwil na rozmowę.

— Nic pan zapewne nie wie jeszcze o zwycięstwie pod Miłosławiem! — rzekła.

— Zwycięstwo!? — zawołał zelektryzowany porucznik.

— Z pomocą Białoskórskiego i Garczyńskiego. Podobno Mierosławski pędzi teraz Prusaków na Wrześnię... Oczekujemy szczegółów i dalszych wiadomości.

Upojony radosną nowiną Węgierski milczał i brał w duszę wieści. W pierwszej chwili zwycięstwo miłosławskie wyrosło do sprawy brzemiennej w błogie następstwa, lecz po odejściu pań Rafał zadumał się nad tem trzęźwo i powziął przekonanie, iż powodzenie to oręża polskiego, chociażby najznamienitsze, przyszło poniewczasie, bo wtenczas, gdy na ziemi poznańskiej stało już trzydzieści sześć tysięcy Prusaków, opierających się o cytadelę i całą armję pruską, uniemożliwiając pospolite ruszenie, o jakim śnił w stosownym momencie Stach Wichura.

Żal głęboki za Dąbrowskim, za Stachem i Józefem Pinińskim wplątywał się cieniem w przedzę rozmyślań.

— Boże! — westchnął. — Jak dziwnie plecie się na tym bożym świecie: Dąbrowski

zwyciężony. Mierosławski zwycięzcą. Dzielnego wojaka opuścili w krytycznej chwili, wydali na pastwę hord pruskich, a amatorskiemu, samozwańczemu generałowi ponieśli pomoc skuteczną wszyscy...

Niedługo pozostał Rafał sam ze swemi myślami: wkrótce bowiem przeniesiono go na podwody, aby przewieźć do pobliskiego folwarku Lubomira, gdzie wszystkich rannych zgromadzono pod jednym dachem, w dwupiętrowym śpichlerzu a dawniejszym, starym kościele. Zszeregował się raz jeszcze z rodakami — leżał na białem pościeliu w rzędzie łóżek. Obok niego pojękiwał Hipolit Cukrowicz, inżynier obozowy, tak pobity kolbami, że pierwotnie uważano go za straconego, z drugiej strony zaś świecił bladą, zamarłą twarzą pokłóty bagnetami artylerzysta Łucjan Bajerski, o którego ratunku jednak nie zwątpiła jeszcze sztuka lekarska.

Węgierski wodził oczyma za snującemi się po ogromnej przestrzeni „siostrami“, które białe odziane, zdały się labędziami czy anielskimi zjawiskami, przygodnie błakającemi się wpośród obozowiska ludzkiej niedoli, a wyśnionemi przez cierpienie. Rozpoznając zdaleka Krysię, dziękował jej we wdzięcznem sercu za usługi oddawane wszystkim i kochał ją tem więcej za to, że nie zabrakło jej na posterunku obywatelskim, że była Polką.

Niespodzianie stanął przed nim brat.

Jaś przyjechał z Miłosławia zdrów, podniecony chlubnie przebytą walką, rozbijały zwycięstwem.

Tak jak zsiadł z konia podbiegł do brata, zdrożony, w zakurzonem mundurze i zawołał raźnie:

— Chłopie kochany! Żyjesz! Do stu katów...

Natychmiast Krysia poskromiła go, nakazując zniżyć głos, aby nie zakłócał spokoju lazaretowego. Przysiadł się tedy do brata potulnie i cicho, ale snopy iskier sypały się z młodych źrenic i wnet począł żywym szeptem:

„W dzień waszej bitwy przybył do nas, do Pleszewa, pod wieczór, Jędrzej Moraczewski z Poznania, z różnemi wiadomościami o pożarze Książa, o planach pruskich. Białoskórski wyniósł z tego pewność, że lada chwila zaatakują go Prusacy z Krotoszyna i odetną od Miłosławia. Natychmiast, prawie bez namysłu, rozkazał zatrzeć i chleb ludziom rozdawać i w kilka pacierzy już byliśmy w drodze. Sto czterdzieści koni Kirkora, trzystu strzelców Kuszla i Andrzeja Prądyńskiego, oraz dwa razy tyle kosynierów, chłopów setnych. W Jarocinie zagarnęliśmy z sobą doskonały oddział strzelców Goślinowskiego.

„Psiakrew, mówię ci, było na co pa-
 łać! — ciągnął Jaś, zapalając się. — Nawet
 w tak forsownym marszu przedstawialiśmy
 się chyba jako siła wymusztrowana i krzepę
 w kościach niosąca. Nawet po kilkogodzinnem
 wyciąganiu nóg piechurzy utrzymywali for-
 mację jak na paradzie, nie mylili kroku. Bo,
 podnieść trzeba, oficerów mieliśmy wszyscy
 nie pierwszych lepszych.

„Na czele kosynierów jechał konno ber-
 nardyn sędziwy, ale silny, wysoki, z krzyżem
 w rękę, a pałaszem przy boku. Zaśpiewaliśmy
 „Kto się w opiekę“, o zachodzie słońca odmó-
 wiliśmy pacierze, poczem przyszedł rozkaz
 milczenia. Zamurowały się gęby i tak noc ca-
 łą słyszeć było tylko parskanie koni, miarowe
 łopotanie kopyt i butów.

„Od Jarocina skierował nas Białoskór-
 ski pół obrotu w prawo, na Żerków, gdzie do-
 wiedział się o moście przez Wartę, naprędce
 z promów zbitym przez Garczyńskiego. Po
 prawdzie, nie rozumiem, dlaczego Garczyński
 nie kazał go zburzyć, przeprawiwszy się na
 drugi brzeg. Musiał przecież oczekiwać, że
 Brandt poskoczy w jego tropy. Notabene, mo-
 gę ci powiedzieć, że Brandt miał rozkaz połą-
 czyć się z korpusem Blumenau niezwłocznie po
 batalji ksiąskiej. Jednakże przez wzgląd na
 zmarnowane swe wojsko musiał opóźnić marsz
 o całą dobę. Chciał o tej zwłoce dać znać Blu-

menowi: wyprawił do niego huzara, który wszakże wpadł nad Wartą w ręce inżyniera obozowego z Miłosławia, Szuberta. List Brandta dostał się tedy do Mierosławskiego, który tym sposobem dowiedział się nie tylko, co zaszło w Książu, ale co go czeka...

— Co mówisz?!.. — wybuchnął przejęty Rafał. — A więc nie napróżno stawiał Książ opór tak bohaterski!.. Kto wie bowiem, czy bylibyście dali radę Prusakom, gdyby Brandt był wzmocnił korpus Blumenau!

— Istotnie. Dąbrowski pośrednio przyczynił się do naszego zwycięstwa... Nie było to na marne...

— I cóż dalej?

— Było coś około pierwszej, gdy po całonocnym marszu zatrzymaliśmy się w boru, po prawej stronie drogi z Miłosławia do Nowego Miasta. Co zastaliśmy? Otóż Mierosławskiego zwyciężonego. Miłosław wzięty, pałac opanowany.

— A jednak nie odeszliście jak niepyszny Garczyński z pod Książa!

— Gdzieżby! Białoskórski to chwyt. Nie namyśla się nad niczem, nie skrobie po głowie. Postanawia w mig i rzuca rozkaz jak kulę. Za ledwie odsapnąwszy, już pod osłoną gęstwiny leśnej tworzyliśmy coś nakształt widel z kosynierami w pośrodku, ukrytymi w zagłębiu.

Nasz szwadron obsadził ostrza tych wideł. Tymczasem siła miłosławska szykowała się do dalszego boju: dzięki zabiegom Oborskiego, Ponińskiego i Langego zorganizowało się pod folwarkiem Bugaj około 600 kosynierów i grupa strzelców. Brzezański przyprowadzał do ładu jazdę, sto pięćdziesiąt koni, chociaż nie-ujeżdżonych i źle umontowanych. Większość jeźdźców, jak w naszym szwadronie, no i w waszych obozach, siedziała naoklep...

— I cóż dalej?

— Piechota pruska była załaza całkowicie Miłosław, kawalerja zaś wyciągnęła się długą linią między Miłosławiem a wsią Kozubcem. Lewe jej skrzydło, do nas skierowane, tworzyli huzarzy i artylerja konna, centrum kirasjerzy, a prawe skrzydło ułani. Nie popasając rzucili się huzarzy z armatami w tyle na nas, poczynając nas może za ułanów miłosławskich. Byliby niechybnie wyginęli co do nogi, wpadłszy między dwa nasze ramiona, i nadziali się na kosy, gdyby zbyt pochopni do bitki kosynierzy nie byli wrzasnęli: „hurra!“, zanim zamknęły się za wrogiem oba boki wideł.

— A Kirkor?

— Ujął nas jakby sforę psów i puścił... Przyznam ci się, że w ciągu pochodu chwilkami, na myśl o bitwie, tchórz mię trochę oblatywał, bo niech tam przy kieliszku gada kto co chce, swadą pijacką i pieniacką uniesion, ale

bitwa to nie przelewki, nie harce. Mimo to, skoro zerknąłem na Kirkora, wszystkie takie obłądne myśli przeleciały mi przez pięty, jakby wichur je wywiały. W mgnieniu oka poczułem, że ułan... Bom ujrzał, psiakrew, ułana jak się patrzy!.. A jak nam major huknął: Lance do ataku!.. to chyba każdy czuł w kościach, że to sprawa ojczyzny...

— I złamaliście ich... — podsunął rozpromieniony porucznik.

— Odrazu! Pierwszym impetem odrzuciliśmy ich wstecz sto kroków. Gdy Brzeżański rzucił się na nich z pobliża, i zważali śliczny nasz szyk bojowy, nie było już wiele do roboty. Umykali do Miłosławia. Kirasjerzy wcale ich nie poparli: z miejsca dali nogę. Artylerja, ułani, wszystko to pędziło w tak pierzchliwej ucieczce na złamanie karku, że na zbiegu dwóch dróg przejechali przez swoją piechotę.

„Uciekają!!“. podniósł się w lesie okrzyk w tym przełomowym momencie bitwy. Bój zawrzał na nowo powszechny, bój zwycięski.

„Najpierw w Bugaju. Strzelcy nasi uderzyli na Prusaków z furją, a najwścieklej bataljon nasz, już pod Raszkowem ostrzelany. Zwłaszcza oficerów brali na cel i wkrótce folwark oczyścili i opanowali. Tymczasem piechota miłosławska zabrała się do odzyskania

miasta, obok niej zastępcy Garczyńskiego, który w tym ruchu zaczepnym został kulą raniony. Szefa jego zaś Kosińskiego chlasnął pałaszem uciekający huzar.

„Prusacy, obwarowani w pałacu i na okólniku kościelnym, stawili czoło mężnie, lecz w Langem, Ponińskim, Oborskim mieli nielada przeciwników. Nadto armatki Węclewskiego rzygały na Prusaków żelastwem. Nadeszli także nasi kosynierzy i Kujawiacy Jana Mittelstaedta. Klęska Prusaków była zupełna. Największe straty poniósł oddział ich przy kościele; pobliski rynek i uliczka zasłane były trupami.

„Blumen chciał formować swe rozdarte na trzy części wojsko za cmentarzem podmiejskim, zagrały trąbki, i reszta Prusaków ratowała się ucieczką z miasta w najwyższym popłochu, który nie opuścił ich już. Pędzili ku Wrześni, przyczem strzelcy polscy jeszcze tyły szpilkowali im ołowiem. Padło ich ogółem zgórą trzystu, naszych stu pięćdziesięciu do dwustu. A było ich pięć tysięcy regularnego wojska przeciwko trzem tysiącom ochotników.

— Ścigaliście ich? — pytał Rafał.

— Nie. My pleszewiacy upadaliśmy już poprostu ze zmęczenia. Reszta wojska, która przez dwanaście godzin była na nogach, byłaby z głodu gryzła własne palce, a w utru-

dzeniu chrapała na gołej ziemi. Ładownice puste były, jak nasze kiszki, koniska bezsilne. Więc Mierosławski musiał zaniechać pościgu.

„Pruskie plemię zmykało, jak sfory psów ulewą splukanych i harapami srodze posieczonych, respekt w łydkach unosząc dla polskiego oręża. A wzięli w skórę, jak się należy, li tylko dzięki Białoskórskiemu i nam pleaszewiakom, bo nie tylko, że przełamaliśmy szyk kawalerji i zarzewie zamętu wnieśli w ich szeregi, ale, jak wyłuszczał Kirkor, natchnęliśmy wszystkich naszych pewnością wiktoryi. Od chwili, gdy zjawiliśmy się, żołnierz nie szedł już w bój z poczuciem, że to defensywa, lecz atakując sięgał po należną sobie palmę zwycięstwa. A tylko tak zwycięża, mówi Kirkor — tylko taki...

„Okazało się to wczoraj pod Wrześnią...” — ciągnął bez przerwy Jaś z ferworem, a słowa jego, acz przyciszone, padały na pobliskie łoża rannych jak rosa ożywcza i kojąca.

Opowiadał o krwawych, zaciętych bojach pod Wrześnią i Sokołowem Mierosławskiego z głośnym jenerałem Hirschfeldem, brutalem o sadycznych skłonnościach, podnosił dyscyplinę i wyszkolenie kosynierów „wyborowych“, unosił się nad ich nieźłomnym hartem wśród gradu szrapneli, nad ich brawurą w atakach, lecz wieczorowe, gęste mroki wałęsały się już po lazarecie, więc wydalono go

z hali, w którą wkroczyła cisza, pełna widm i snów krwawych.

.
W niezwykle ciepłym słońcu inajowem Rafał wygrzewał się na łożu w sadzie, oddychając wonią roślinności, gdy stanęła przed nim nieznana mu jasnowłosa dziewczyna, z bolem wyzierającym z mądrych źrenic. W lękliwej postawie grzesznicy zbliżała się doń niby do konfesjonału, gdzie duszę jej miało rozdzierać na szmaty, — nie urodziwa, o rysach dość grubych, lecz lampą rozjarzonych uczuć oświetlonych.

Była to Aniela Żerkowiczówna.

Na list jej do Stacha odpowiedziała siostra Węgierskiego z całą sympatją dziewczyny dla kochającego serca niewieściego, donosząc o wiszących nad obozami polskimi bojach i wojowniczych zamiarach Wichury. Na to niepokojem o Stacha porwana dziewczyna zerwała się do natychmiastowej podróży, puściła się do państwa Węgierskich i z nimi pojechała do Śremu, w nadziei, że albo między jeńcami, albo między rannymi, odnajdzie żołnierza, który ostatnimi słowami pożegnalnemi przykuł ją jakby gwoździem do siebie — do swej mogiły.

Bezwiednie ściskając oburącz rękę porucznika, znękana dziewczyna szeptała modlitewnie:

— Niech mi pan mówi o nim!..

Więc Rafał zrazu z żalością, potęrn z wzrastającym uniesieniem opowiadał jej o pierwszych, świetnych strzałach Stacha pod Obornikami, o ich przygodzie nocnej pod Wrześnią i o ogromie jego bohaterstwa w bitwie, powtarzał orzeczenia jego skąpe a treściwe, podnosił przedziwną, żelazną konsekwencję życiową, wylewał przed nią całą swą adorację dla cichego męża, w którym widział wzór i typowy przejaw zbiorowości kmiecej.

— Bohaterem tych dni ostatnich, panno Aniello — mówił — był lud wielkopolski, a tego ludu skończonym, pomnikowym i symbolicznym wyrazem wasz Stach Wichura...

W uwielbieniu poległego bojownika kojarzyły się ich serca miłujące.

Na skłonie sadu, gdzieś w ostępach gestwin liściastych, słowik poczynął swe trele, zadziwiał fantazją wyskoków głosowych, a drobni śpiewacy wtórzyli mu ćwierkaniem i pogwizdem, trzepocąc się, szeleszcząc w łzach. Niekiedy wiaterek chochlikowaty wpadał w luźne, tyraljerskie szeregi śliw i jabłonek, trącał swywołnie okwiecone okiście, zrywał, rozsiewał w powietrzu motylkowate ich płatki i pierzchał płochliwie. A w stronie gumien czerniło się stado wron,

wachlujących zawzięcie skrzydłami, i skrzy-
piał żóraw folwarczny.

Słońce zniżało się ku zachodowi. Pierwszy podmuch wieczorowego chłodu sprowadził do sadu posługę lazaretową i przeniesiono rannych do hali, z której okien wypływały strumienie sopranowych pieni. Odprawiał tam proboszcz śremski krótkie nabożeństwo a ze-
spół sióstr śpiewał suplikacje, zaczęły zagrały piersi wszystkich, zadrżały najpiękniejsze struny dusz i wzbił się polski hymn narodowy. Zakwitły serca, wyniesione ponad nizinę cierpień osobistych, i jarzyły się niby krze płonące, poczynając w sobie ziarna jutrzejszych, zbożnych zasiewów.

Skoro przebrzmiały pienia, nad posłaniem Rafała zawisło, niby tarcza księżyca, szerokie, brózdami zorane, a jakby aureolą wyniosłości otoczone oblicze Libelta.

Ogromna dobroć, która magnetycznie jednając mu wszystkich, wynosiła go ponad śmiertelnych, wyrzała ze źrenic wielkiego przyjaciela ludzi i ludzkości, gdy wzruszony witał Rafała.

— Wyprowadził cię Bóg z odmetów zagłady i zachował... dla dalszych ofiar.

Tulił dłoń jego, jakby pragnąc ogrzać ją i mocą płynącej z siebie życzliwości wskrzesić bezsilnego.

— Nie mogłem sobie tego odmówić, aby przybyciem mem nie dać świadectwa czci i hołdu dla was, mężni bracia...

— Niestety już w ziemi ci, którym głównie należałby się pokłon — wyrzekł Rafał.

— Tak, Dąbrowski... Umarł, by żyć wiecznie w sercu Wielkopolski. Smutne czasy... Ale, mój Rafale, nie zawiśmy ojczyźnie tej wielkiej przez niego i tylu wymordowanych złożonej ofiary. Ofiara nie jest nigdy płonną: oczyszcza, odmładza, uświęca duszę i czyni naród godnym wolności.

Szept balsamiczny spłynął z duszy Libelta. Ale Rafał bąknął cierpko:

— Godnym, lecz nie bliższym... Mój Karolu, drogi nasz nauczycielu, krwawe dzieje dni ubiegłych, odsłaniając rdzeń duszy pruskiej, wywiały chichotem wiem wiarę, jaka w nas zakwitła w festynach berlińskich... Twoje ideały braterstwa ludów, miłości chrześcijańskiej obryzgane krwią, oplugawione jadem i śliną pruską. Codziennie morduje je bagnet pruski, wpajając w nas przekonanie, iż siła, nie tylko siła panuje i rządzi. Więc najwyższy rozum stanu przejawiał się nam w Stachu Wichurze, który, zda mi się, woła do nas z poza grobu: Bądźcie silni, pod każdym względem i za każdą cenę silni, bardzo silni!..

Zamykając dyskurs, w abstrakcjach się obracający, Węgierski zagadnął go o stan układów z władzami.

Skończyły się bowiem walki. Po Wrześni i Cieluścinie zwycięskie wojsko polskie stopniało, pokonane beznadziejnością dalszych wysiłków orężnych. Jeszcze po kniejach błakały się partje chłopskie, jeszcze pod Stęszewem operował nie bez powodzenia oddział Cedrowskiego, a w okolicy Kórnika awanturniczki Krankhofer-Krotowski proklamował Rzeczpospolitą polską, jeszcze szmermele i ruchawki łyskały błędnymi ognikami na widowni poznańskiej, lecz już resztki siły Mierosławskiego rozpręgły się i on sam dostał się do niewoli, a ochotnicze bandy Luttichau'a i Treskowa, osławione „frajkury“, poczęły zaprowadzać porządek, czyli święcić orgje teroryzmu. Punkt ciężkości ruchu, który wahając się między dyplomacją a mieczem, poszedł po przekątnej, przeniósł się znów do kancelarii komisarza królewskiego, a następcy Willisena, jen. Pfuela.

Zatwierdziwszy stan wojenny, komisarz rozpoczął zwodniczą akcję na papierze, rzekomo zmierzającą do reorganizacji W. Ks. Poznańskiego, czyli do podziału na część niemiecką, jaka miała być wcielona do Rzeszy niemieckiej, i na część polską, która kurcząc się coraz więcej na mapie, pod nożycami

Pfuela, zdrobniała do „księstwa gnieźnieńskiego“, aby ostatecznie pograżyć się wraz z całą „reorganizacją“ i owocami rewolucji berlińskiej w zaledwie odrodzonej, jakby duchem Bismarka owianej fali wstecznej.

Aczkolwiek w łunach pożogi ksiąskiej komitet narodowy rozwiązał się, Libelt czekał na zawołanie obowiązku obywatelskiego, aby w błędnem kołowisku układów i poswarków ścierać się dalej z zachłannością pruską i, o ile możliwości, ocalić okruchy przyrzeczonych swobód.

Tą nadzieją karmił ранnego przyjaciela więziennego. Odgadywał wszakże, iż w zbołałą duszę żołnierza nie wsiąka ni promień ufności w jakąkolwiek poprawę losu Wielkopolski, więc zwiesił głowę smętnie.

Zaiste, w czarnej chwili, gdy nawet zwycięskie czyny narodowe rozpryskiwały się bezowocnie o spiętrzone skały przemocy, ileż to duchów padać musiało w martwą toń zwątpienia!? A urodzony przyjaciel ludzi i „wszechstronny nauczyciel narodu“ nie chciał opuścić Rafała, nie rzuciwszy weń zapładniającą iskry pełnego życia. Więc ozwał się:

— Czyliż zwątpiłeś o sobie?.. Skoro podniesiesz się na nogi i wyjdiesz na świat boży, kochany i kochający, odnajdziesz znów w sobie życiodajne blaski wiary w siebie, a jednocześnie w naród i w poprawę jego losu. Bo kto

istotnie wierzy w siebie, wierzy także w swoją gromadę i jej przyszłość... Tak i całe nasze społeczeństwo, wyleczone z ran, jakie zadała mu judaszowska przyjaźń, otrze łyzy, podniesie głowę do pracy organicznej, zasilone sokami z podstaw. W tej nieszczęsnej zawierusze narodziły się nam, jako trwałe dorobek, tysiące nowych obywateli; lud nasz tak niepodobny do obłąkanego chłopca galicyjskiego, wstąpił w kadry narodu i odebrał prawdziwy chrzest obywatelstwa... Będziemy zatem silni, jak chcesz, mój Rafale. Prusy zdradziły nas raz jeszcze, Republika Francuska wyintrygowała się z wód tej sprawy wolnościowej, mocarstwa zawiodły, ale my sami nie zawiedziemy się na sobie... Minęły boje, teraz trąbka inną gra pobudkę. Uzbroić się trzeba w inny oręż i inne wznosić okopy... Umiałeś być dzielnym żołnierzem, okaż, że potrafisz być równie dzielnym obywatelem. Umiałeś umierać jak rycerz, okaż, że umiesz żyć jak rycerz. Na chorągwiach naszych rozpinamy hasło: Nie przez śmierć ofiarną, lecz przez życie ofiarne...

Na pożegnanie Libelt oplótł przyjaciela ramionami bratniemi i pozostawił go pod wrażeniem testamentarnem szeptu:

— Już nie umierać pięknie... Uczmy się żyć pięknie!

.

Noc nasączyła przestrzeń lazaretu bezmia-
rami ciemnicy. W pieczarze tej nikły maleń-
kie, niby robaczki świętojańskie, światełka ka-
gańców, przy ciężko chorych ustawione. Cisa
sarkofagu zawisła nad legowiskiem żołnier-
skiej niedoli.

Nadmiar różnobarwnych wrażeń dnia te-
go wstrząsnął słabym jeszcze organizmem po-
rucznika. W rozpalonym mózgu wibrował, hu-
lał tuman rozhukanych, skłębionych myśli. Na-
wiedziła go śnieżna wizja Krysi, jakiejś za-
ziemskiej, w eterach srebrzystych skąpanej,
lecz przeszła niby uśmiech księżycy po szybie.
Natomiast wspomnienia bojów Stachowych,
wywołane opowiadaniem z zakamarek duszy,
zalały mózg wrzątkiem i porwały go w hura-
gan uniesień bitewnych. Zapiętrzyły się frag-
menty strasznych obrazów książkich, rozkrwa-
wiły się rozdarte wnętrzości końskie i zbry-
zgane głowy trupów, huczały spiżowe cielska
dział i gruchotały salwy, a nadewszystko
szarpały go z furją jędz krzyki bezbronnych,
żganych bagnetami na śmierć...

Ale nagle zacichło, ukołysało się wszyst-
ko. Dusza obrazów tych wzniosła się z pro-
chów ziemskich w przestworza ideału.

Przez roztocze fal obłocznych prześwie-
cały błyskawice stali i żelaza, przesuwwały się
hufce chłopstwa i rycerzy różnego znaku, dą-
żąc w pielgrzymce uroczystej wzwyż. Wy-

nurzyły się z oceanu pierzastych bałwanów, wyolbrzymiały w apoteozę, i zakrólowały na tym świętych godnym piedestale z banderami, zakwitły rabatami barw, rozegrały w słońcu symfonią kolorystyczną, prześwietną, aby wtajemniczyć się w smugi obłoczne. Wśród nich kroczył jakby do szturm Wichura, tak jak Rafał widział go raz ostatni — z karabinem i szablą wzniesioną, z obliczem w ekstazie upojenia, z okrzykiem na ustach. Biły odeń moce zenitowe, fantazje wojackie i radości heroiczne tak przepyszne, że zdał się kryształem mistyczne i świetlane potęgi zamykającym.

— Stachu! Stachu!.. — wyjęknał Rafał, przyzywając go i zarazem hołd składając temu, co skraplał w sobie perły bohaterstwa i ofiarności w odbłysek młodego, pod sukmaną ukrytego ducha.

— Stachu mój!.. — uleciało westchnienie tęskne, grające hymnem na cześć ludu wielkopolskiego.

A Wichura nagle uciszony w sobie, skryształizowany w posąg, zaświecił już nie z bronią, lecz z misą złotą w wyciągniętych rękach, niosąc na niej Serce, najczystszy ogniem gorejące.

Posąg spokoju, posąg — Siły.

K o n i e c.

